

KWARTALNIK

FKS STAL MIELEC

I KWARTAŁ 2026



Tworzony przez topowych
dziennikarzy i ekspertów

Bartłomiej Płonka / Bartosz Wiśniewski / Filip Macuda / Israel Puerto / Jakub Skarbek / Kamila Bik
Karolina Jaskulska / Łukasz Wolsztynski / Maciej Decowski-Niemiec / Mateusz Prokopiak / Maja Strzelczyk
Michał Mitrut / Michał Wiacek / Paweł Gołaszewski / Paweł Karmelita / Radosław Sekuła
Sebastian Staszewski / Szymon Janczyk / Szymon Stachowicz

Sponsorzy



KWARTALNIK FKS STAL MIELEC – SOLSKIEGO 1

NR 1 | I KWARTAŁ 2026

Data publikacji: 27 stycznia 2026

Wydanie: bezpłatne | online (PDF + flipbook)

Wydawca: FKS Stal Mielec S.A., ul. Solskiego 1, 39-300 Mielec

Redaktor prowadzący / pomysłodawca: Mateusz Prokopiak

Kontakt redakcyjny: mateusz.prokopiak@stalmielec.com | +48 510 892 713

Skład i opracowanie graficzne: Jakub Skarbek

Współpraca redakcyjna (autorzy rozmów i tekstów): Karolina Jaskulska, Bartłomiej Płonka, Filip Macuda, Kamila Bik, Maciej Decowski-Niemiec, Paweł Gołaszewski, Szymon Janczyk, Mateusz Prokopiak.

Zdjęcia: archiwum FKS Stal Mielec S.A., materiały własne autorów i rozmówców, materiały Pexels, Wydawnictwo SQN.

Treści promocyjne: oznaczone jako „Materiał promocyjny”.

Prawa: Cytowanie krótkich fragmentów jest dozwolone pod warunkiem podania źródła (tytuł, numer, autor). Przedruk całości materiałów lub obszernych fragmentów oraz ich komercyjne wykorzystanie wymaga zgody redakcji.

Dystrybucja: publikacja dostępna na stronie: www.stalmielec.com

PARTNERZY



SPIS TREŚCI

- 1 Okładka
- 2 Stopka redakcyjna
- 3 Spis treści
- 4 Od redakcji
- 5 Israel Puerto: „W Polsce niczego mi nie brakuje” (rozmowa: Karolina Jaskulska)
- 12 Paweł Karmelita: „Uczciwość i wymaganie” (rozmowa: Filip Macuda)
- 17 Radosław Sekuła: „Skauting to relacje. A relacje to zaufanie” (rozmowa: Kamila Bik)
- 20 MATERIAŁ PROMOCYJNY: Akademia Piłkarska FKS Stal Mielec
- 23 MATERIAŁ PROMOCYJNY: Isotonic Drink FKS Stal Mielec
- 24 Maja Strzelczyk – najśłynniejsza kobieta dziennikarstwa sportowego z Podkarpacia (rozmowa: Mateusz Prokopiak)
- 32 Sebastian Staszewski: „Reporterem jest się przez całe życie” (rozmowa: Mateusz Prokopiak)
- 38 Michał Mitrut: „Trzy minuty przed anteną zrobiłem...” (rozmowa: Mateusz Prokopiak)
- 44 MATERIAŁ PROMOCYJNY: Karnety – runda wiosenna 2025/2026
- 45 Michał Wiącek: „Piłka ma być przewidywalna. Reszta to detale” (rozmowa: Bartłomiej Płonka)
- 49 Bartosz Wiśniewski: „Jeśli chcesz coś ustalić w Betclie 1 Lidze, najlepiej mieć mój numer” (rozmowa: Mateusz Prokopiak)
- 56 Szymon Stachowicz: „Kibic ma poczuć, że jest w centrum wydarzeń” (rozmowa: Mateusz Prokopiak)
- 63 MATERIAŁ PROMOCYJNY: Zostań sponsorem i dołącz do biało-niebieskiej rodziny
- 64 Łukasz Wolsztyński: „Warto zawsze wierzyć w siebie” (rozmowa: Maciej Decowski-Niemiec)
- 70 Szymon Janczyk: Jedenastka rundy Betclie 1 Ligi
- 71 Paweł Gołaszewski: Co przyniesie runda wiosenna Betclie 1 Ligi
- 72 MATERIAŁ PROMOCYJNY: Piwo bezalkoholowe STAL
- 73 Tylna okładka



OD REDAKCJI

Solskiego 1 to adres, który w Mielcu znaczy więcej niż tylko punkt na mapie. To miejsce spotkań: klubu, miasta i ludzi, którzy przeżywają piłkę na swój sposób – głośno, wiernie, czasem nerwowo, ale zawsze prawdziwie. I właśnie z tej myśli narodził się Kwartalnik FKS Stal Mielec.

Chcieliśmy stworzyć coś, czego w polskiej piłce wciąż brakuje: premium, bez pośpiechu, do czytania jak dobra opowieść – a jednocześnie dostępne dla każdego. Dlatego ten kwartalnik jest darmowy, ukazuje się online, a jego sercem są rozmowy. Długie, szczere, czasem niewygodne – takie, które pozwalają zajrzeć pod powierzchnię meczu, wyniku i tabeli.

Do projektu zaprosiłem topowych dziennikarzy sportowych w Polsce. Część z nich zadaje pytania, część – odpowiada. Zależało mi na tym, żeby stworzyć przestrzeń, w której spotykają się różne perspektywy: ludzie telewizji, prasy, internetu; osoby znane z ogólnopolskich redakcji i ci, którzy pracują najbliżej boiska. Każdy wnosi tu coś swojego: doświadczenie, styl, wrażliwość i rzemiosło. Dzięki temu ten numer nie jest jedną opowieścią – to raczej mozaika rozmów, które łączy jedno: piłka od kuchni.

To kwartalnik Stali Mielec, ale nie zamykamy się w jednym „pokoju”. Stal jest częścią większej piłkarskiej rodziny – ligi, ludzi, kultur i historii – i my też chcemy być

częścią tej rozmowy. Dlatego obok tematów strictly mieleckich znajdziecie tu świat „wokół” Stali: kulisy pracy w mediach sportowych, spojrzenie na ligę jako produkt, historie, które zostają w pamięci, oraz perspektywy osób, które do Polski przyjechały z zupełnie innego piłkarskiego świata. To wszystko nadal jest „o nas” – bo piłka to nie tylko to, co dzieje się na murawie, ale też to, co dzieje się w głowach, w szatni, w gabinetach, w podróży i w domu.

Ten kwartalnik powstał przede wszystkim dla kibiców Stali – bo to Wy jesteście jego naturalnym adresatem. Ale jestem przekonany, że każdy kibic w Polsce, niezależnie od barw, znajdzie tu teksty, którego zainteresują. Bo dobre historie nie mają klubowych granic, a dobra rozmowa broni się sama: szczerością, detalem i tym jednym momentem, w którym czytelnik myśli: „o, tego nie wiedziałem”.

„Kwartalnik FKS Stal Mielec” nie jest laurką. Jest próbą pokazania piłki i Stali na serio, ale normalnie: z emocją, ale i z wiedzą; z dumą, ale bez zadęcia. Zapraszam Cię do środka. Czytaj spokojnie, wracaj do fragmentów, zaznaczaj cytaty. Jeśli po lekturze poczujesz, że to ma sens – będziemy wiedzieli, że warto budować tę formę dalej.

Mateusz Prokopiak

rzecznik prasowy FKS Stal Mielec,
redaktor prowadzący „Kwartalnik FKS Stal Mielec”



ISRAEL PUERTO: „W POLSCE NICZEGO MI I MOJEJ RODZINIE NIE BRAKUJE. *TO MÓJ DRUGI DOM*”

Israel Puerto w przeszłości grał w Śląsku Wrocław i Jagiellonii Białystok, a od lata reprezentuje barwy FKS Stali Mielec. W rozmowie z Karoliną Jaskulską hiszpański obrońca opowiada o swoim rodzinnym regionie Andaluzji, o różnicach kulturowych między Hiszpanią a Polską oraz o tym, jak odnalazł się w Polsce – w kraju, który stał się dla niego drugą ojczyzną. Rozmawiamy o hiszpańskim stylu życia, kulinariach, rodzinie, pasji do futbolu i emocjach towarzyszących grze.

Andaluzja – styl życia w słońcu

Karolina Jaskulska: Gdybyś miał opisać Hiszpanię komuś z Polski w kilku słowach – poprzez zapach, smak, dźwięk, cokolwiek – co byś powiedział?

Israel Puerto: Przede wszystkim powiedziałbym, że Hiszpania to otwartość ludzi. Hiszpanie są bardzo przyjaźnie nastawieni do każdego, niezależnie skąd ktoś pochodzi. W większości miast mamy też świetną pogodę przez cały rok, co ogromnie wpływa na nasz styl życia. Oczywiście Hiszpania nie jest jednolita – sposób życia różni się w poszczególnych częściach kraju. Inaczej żyje się na słonecznym południu, a inaczej na północy czy w centrum.

Ja pochodzę z Andaluzji, więc najlepiej znam życie właśnie tam. Andaluzja to mój rodzinny region – miejsce, w którym się urodziłem i wychowałem. Ludzie u nas słyną z pogody ducha i gościnności. Jesteśmy otwarci, uśmiechnięci, lubimy żartować i cieszyć się życiem. Bardzo dużo czasu spędzamy poza domem – czy to w barach i restauracjach, czy po prostu na świeżym powietrzu uprawiając sport. Sprzyja temu klimat, bo słońce zachęca, by żyć aktywnie i towarzysko. W Andaluzji mamy też dostęp do morza i piękne plaże, na przykład w okolicach Kadyksu, Almerii czy Granady, więc życie toczy się również na wybrzeżu. To wszystko – otwarci ludzie, dobra pogoda, życie toczące się na ulicach – jest dla mnie kwintesencją Hiszpanii.

Karolina Jaskulska: Brzmi jak coś więcej niż tylko miejsce. Czy powiedziałabyś więc, że Andaluzja to bardziej styl życia niż punkt na mapie?

Israel Puerto: Tak, dokładnie! Andaluzja to pewna filozofia życia. Najlepsze, co mamy w Andaluzji, to właśnie klimat, jedzenie i nasze pozytywne podejście do życia. Ta nasza tożsamość regionalna jest bardzo silna – ludzie mocno identyfikują się z miejscową kulturą. Nasz charakter kształtuje południowy luz i otwartość. Mamy znakomitą kuchnię, żyjemy blisko morza, cieszymy się z prostych przyjemności.



Fot. Roman Odintsov. Pexels (licencja Pexels)

Andaluzja słynie z spokoju i radości życia – nigdzie nam się nie spieszy, zawsze znajdzie się czas na uśmiech, na rozmowę. Dzień zaczynamy i kończymy z uśmiechem. Myślę, że dla nas to powód do dumy – bycie Andaluzjaninem oznacza pewien styl bycia, pełen luzu, uśmiechu i życia wśród ludzi.

Karolina Jaskulska: Co Twoim zdaniem najbardziej wyróżnia Andaluzję na tle innych regionów Hiszpanii?

Israel Puerto: W dużej mierze pogoda – to ona dyktuje rytm życia. Na południu słońce świeci prawie bez przerwy, co naturalnie sprzyja aktywnościom poza domem.

Na północy czy w centrum bywa chłodniej, częściej pada, więc ludzie prowadzą nieco inny tryb. Ważne są też kwestie wychowania i rodzinnych relacji – one wpływają na mentalność w różnych częściach kraju. W Andaluzji styl życia kręci się wokół społeczności: dużo przebywamy z rodziną i przyjaciółmi poza domem, wieczorami spotykamy się na mieście. Mamy morze blisko, to też wielki atut – świeże ryby na talerzu i morską bryzę na co dzień. Oczywiście w innych regionach jest inaczej: w Madrycie czy Barcelonie życie pędzi w szybszym tempie wielkiej metropolii, a na północy kraju ludzie też są trochę inni.

*Otwarci ludzie, dobra
pogoda, życie toczące się
na ulicach – to jest dla mnie
kwintesencja Hiszpanii*

Israel Puerto

– może bardziej powściągliwi. Różnice wynikają z klimatu, historii, położenia.

Karolina Jaskulska: Skoro już mówimy o klimacie i jedzeniu – porozmawiajmy o kuchni! Jakie danie lub produkt uznałbyś za typowo andaluzyjski? Co każdy powinien spróbować w Twoich rodzinnych stronach?

Israel Puerto: Oczywiście każdy region Andaluzji ma swoje specjały, ale są rzeczy wspólne dla całego południa. Na początek – piwo, i to bardzo zimne piwo (śmiech). W upale nie ma nic lepszego niż kieliszek naprawdę lodowatego piwa, to nasza mała tradycja. Do tego przekąski: mamy przepyszne sery, a także słynną hiszpańską szynkę jamón – suszoną, soloną szynkę, z której Hiszpania słynie. No i klasyki takie jak tortilla de patatas, czyli omlet z ziemniakami, czy świetne mięsa i świeże ryby prosto z morza. W każdym mieście i miasteczku Andaluzji znajdziesz znakomite restauracje i bary tapas z fantastyczną atmosferą. Gra muzyka, ludzie rozmawiają, kelnerzy krzątają się z talerzami – panuje wesoły gwar. Uwielbiam tę energię i klimat wspólnego biesiadowania. My, Andaluzjanie, spędzamy wiele czasu na takich towarzyskich wyjściach – jedzenie łączy się z muzyką, śmiechem i dobrą energią. To coś więcej niż samo jedzenie, to część stylu życia.

Karolina Jaskulska: A jak wygląda typowy dzień mieszkańca Hiszpanii? Czym różni się od codzienności w Polsce?

Israel Puerto: Większość ludzi w Hiszpanii zaczyna pracę wcześniej niż w Polsce, powiedzmy około ósmej rano, i pracuje mniej więcej do 15:00–16:00. Później przychodzi czas na relaks – zazwyczaj wychodzimy na miasto. Wielu Hiszpanów po pracy spotyka się ze znajomymi lub rodziną na kawę, a część od razu idzie na piwo lub kolację w restauracji. Wieczory spędzamy poza domem, celebrując chwilę wytchnienia po pracy. To dla nas ważne, żeby zachować balans między pracą a życiem prywatnym – dlatego zamiast od razu wracać i siedzieć przed telewizorem, wolimy wyjść do ludzi, przewietrzyć się, porozmawiać. Życie towarzyskie to podstawa naszej codzienności.

Karolina Jaskulska: A czy są jakieś rytuały typowe dla Hiszpanów, które mogą być niezrozumiałe dla obcokrajowców? Coś, co zaskakuje osoby spoza Hiszpanii?

Israel Puerto: Najważniejszy jest chyba rytuał siesty. W porze lunchu – najedzony człowiek – idzie się zdrzemnąć na jakieś pół godziny do godziny. (uśmiech) Naprawdę, w Hiszpanii prawie każdy praktykuje tę popołudniową drzemkę. Nawet w trakcie pracy wiele firm przewiduje przerwę na siestę, żeby ludzie mogli odpocząć. To kluczowa część naszego dnia – regeneracja po obiedzie.

Karolina Jaskulska: W Polsce tego nie mamy – brzmi cudownie, ale u nas raczej niewykonalne.

Israel Puerto: Tak, tutaj nie ma czegoś takiego jak narodowa siesta. Oczywiście jak ktoś jest zmęczony, to może uciąć sobie drzemkę, ale to nie jest element kultury. Teraz, w okresie przygotowawczym przed rundą, my piłkarze trenujemy bardzo intensywnie i bywa, że w ciągu dnia któryś z chłopaków zdrzemnie się po obiedzie – ale to wynika ze zmęczenia, nie z tradycji. W Polsce ludzie często pracują do 17:00,

więc po pracy nie ma już czasu na drzemkę – idą spać dopiero wieczorem. To jest ta różnica: w Hiszpanii rytm dnia jest inny, a popołudniowy odpoczynek to świętość.

Karolina Jaskulska: Załóżmy, że Twój polski przyjaciel, który nigdy nie był w Hiszpanii, planuje podróż do Twojego kraju. Co byś mu pokazał, żeby zakochał się w Hiszpanii od pierwszego wejrzenia?

Israel Puerto: Oczywiście sporo zależy od tego, dokąd by pojechał, bo każdy region ma swój urok. Gdyby odwiedził Sewillę, moje rodzinne miasto, przede wszystkim chciałbym mu pokazać nasz styl życia. Wziąłbym go na długi spacer uliczkami miasta, żeby zobaczył, jak ludzie żyją poza domem – jak rano uprawiają jogging nad rzeką, po południu piją kawę w kawiarnianych ogródkach, a wieczorem całymi rodzinami jedzą kolację w restauracji pod gołym niebem. Chciałbym, żeby poczuł na własnej skórze różnicę między hiszpańskim a polskim stylem życia – ten luz, radość, to że na ulicach ciągle coś się dzieje. W Sewilli mamy świetną pogodę praktycznie przez cały rok, co oczywiście dodaje uroku. Ostatnio rozmawiałem z jednym z członków sztabu trenerskiego w Stali, który w grudniu odwiedził Sewillę. Był zachwycony i powiedział mi: „Ty to żyjesz w jednym z najpiękniejszych miast na świecie!” – i wcale nie miał na myśli zabytków czy architektury, tylko właśnie ten niepowtarzalny klimat i styl życia. Zwrócił uwagę na różnice w mentalności ludzi, na ich pogodę ducha. Myślę, że każdy, kto przyjedzie do Sewilli czy w ogóle do Andaluzji, zauważy to od razu.

Karolina Jaskulska: Często o Hiszpanii myślimy schematycznie: Madryt, Barcelona... Te miasta pierwsze przychodzą do głowy.

Israel Puerto: To prawda, Madryt i Barcelona to najbardziej znane wizytówki Hiszpanii. Ale mamy wiele innych wspaniałych miejsc! Sewilla czy Walencja są przepiękne – pełne historii, kolorów i życia. Na północy mamy Bilbao, malowniczą Asturię, całą zieloną Galicję – to także cudowne regiony, choć inne od słonecznego południa. W niektórych częściach Hiszpanii częściej pada deszcz, zwłaszcza bliżej Atlantyku, ale one również mają swój urok i fantastycznych ludzi. I znowu – mentalność i styl życia potrafią się różnić od tych południowych, ale wszędzie są wyjątkowe na swój sposób. Dla kogoś z Polski to wszystko będzie kompletnie inne doświadczenie.

Weźmy choćby La Coruña w Galicji – byłem tam niedawno i uważam, że to jedno z najpiękniejszych hiszpańskich miast. Może nie mają tam idealnej pogody przez okrągły rok, bo atlantyckie sztormy potrafią dać w kość, ale ludzie i tak są pogodni, uśmiechnięci. Żyją podobnie jak my na południu – dużo czasu spędzają poza domem, nawet deszcz nie przeszkadza im wyjść na spacer czy spotkać się z przyjaciółmi. To pokazuje, że pogoda jest ważna, ale mentalność jeszcze ważniejsza. Hiszpanie, niezależnie od regionu, starają się cieszyć życiem.

Karolina Jaskulska: Kiedy myślę o Hiszpanach, od razu widzę w głowie ten wieczny uśmiech i pozytywne nastawienie do życia.

Israel Puerto: Coś w tym jest! Nasze nastawienie do każdego nowego dnia



jest bardzo optymistyczne. Staramy się skupiać na pozytywach bardziej niż na negatywach. Może to kwestia słońca, które dodaje energii, a może wychowania – ale faktycznie mamy w sobie dużo radości. W Hiszpanii problemy oczywiście istnieją, tak jak wszędzie, ale ludzie rzadko chodzą przybici. Staramy się rozwiązywać kłopoty z uśmiechem i szukać jasnych stron. To podejście „mañana” – w sensie, żeby się nie zamartwiać na zapas – czasem bywa wyśmiewane, ale coś w nim jest. Życie jest za krótkie, żeby ciągle się stresować. Ten pozytywizm to chyba jedna z cech, którą wyniosłem z domu i którą staram się pielęgnować, gdziekolwiek jestem.

Hiszpan w Polsce: od żurku po język polski

Karolina Jaskulska: Wróćmy na moment do tematu jedzenia, ale już na naszym polskim gruncie. Czy są smaki z Hiszpanii, za którymi tęsknisz, będąc tutaj w Polsce?

Israel Puerto: Przyznam, że czasem brakuje mi pewnych hiszpańskich smaków, ale... bardzo szybko przyzwyczałem się do polskiej kuchni i szczerze mówiąc jestem nią zachwycony! Gdy wychodzę coś zjeść w Polsce – czy to do restauracji, czy nawet kupuję produkty w tutejszych sklepach – jedzenie naprawdę mi smakuje. Polska kuchnia jest pyszna i bardzo domowa.

Jeśli miałbym wskazać jedną różnicę, którą od razu zauważyłem, to byłaby ryba. W Hiszpanii w sklepach mamy ogromny wybór świeżych ryb i owoców morza – doradę, okonia morskiego, tuńczyka, krewetki, kałamarnice... W Polsce na co dzień widuję głównie łososia. (uśmiech) Oczywiście to zrozumiałe, bo Hiszpania ma długą linię brzegową i dostęp do dwóch mórz, a Polska tylko do Bałtyku. Ale tak, czasem tęsknię za tym bogactwem świeżych ryb i owoców morza, bo byłem przyzwyczajony,

że na obiad mogę mieć różne gatunki prosto z połowu. Tutaj jest z tym trudniej. Poza tym jednak naprawdę niczego mi w polskiej kuchni nie brakuje – nawet oliwki i oliwę z oliwek dobrej jakości można dostać, więc jestem uratowany! (śmiech)

Karolina Jaskulska: A jest coś w polskiej kuchni, co Cię szczególnie zaskoczyło lub zachwyciło?

Israel Puerto: Żurek! Ta zupa totalnie skradła moje serce. W życiu bym nie pomyślał, że tak mi posmakuje. Spróbowałem żurku pierwszy raz parę lat temu i od tamtej pory – rewelacja. Uwielbiam też pierogi, zwłaszcza ruskie, bo są trochę podobne do hiszpańskich empanadas. Ale jeśli miałbym wybrać jedno danie, które najbardziej mnie zachwyciło, to zdecydowanie żurek.

Karolina Jaskulska: Żurek to klasyk – jedna z naszych ukochanych zup, tradycyjnie jemy ją zwłaszcza w Wielkanoc. Miło słyszeć, że cudzoziemcowi tak posmakowała!

Israel Puerto: I nic dziwnego, że jest taka popularna, bo żurek jest po prostu fantastyczny. Kiedy się dowiedziałem, że to tradycyjna potrawa wielkanocna, pomyślałem: „Wcale mnie nie dziwi, że macie ją na święta – jest tego warta!” (śmiech) Naprawdę, mógłbym jeść żurek cały rok. Chyba stał się moim ulubionym daniem spośród całej polskiej kuchni. Pierogi także bardzo lubię, bigos próbowałem – ciekawy smak – no i wasze chleby! Polski chleb jest pyszny, cięższy niż nasz, ale ma swój charakter. Generalnie muszę przyznać, że polskie jedzenie ogromnie pozytywnie mnie zaskoczyło.

FOTO ANNA JAKIEWICZ



Karolina Jaskulska: A Twoja rodzina? Czy żona i dzieci polubili polskie smaki, polską kulturę? Jak przebiegało Wasze osvajanie z życiem w Polsce?

Israel Puerto: Moje pierwsze cztery lata w Polsce – dwa lata w Jagiellonii Białystok i dwa w Śląsku Wrocław – to był okres, kiedy już poczuliśmy się tutaj jak w domu. Od początku niczego nam nie brakowało (poza oczywiście dalszą rodziną w Hiszpanii). Szybko się zaaklimatyzowaliśmy – jedzenie nam odpowiadało, pogoda nie odstraszyła, warunki do życia były bardzo dobre. Polacy też przyjęli nas ciepło, więc naprawdę nie mieliśmy żadnych wielkich trudności, żeby się przystosować. Teraz wróciliśmy do Polski po krótkiej przerwie i znów szybko weszliśmy w tutejszy rytm. Nie ma dla nas znaczenia, że jest zima, a ja jestem z południa Hiszpanii – niestraszy nas ani mrozy, ani śnieg. (uśmiech) Mieszkamy w Mielcu w bardzo wygodnym domu, mamy tu wszystko, czego nam trzeba. Do klubu mam pięć minut jazdy, co jest świetne, bo mogę więcej czasu spędzać z rodziną. W Polsce czujemy się bardzo bezpiecznie, co dla mnie jako ojca jest niezwykle ważne – wiem, że dzieci dorastają w dobrym otoczeniu. Nasze maluchy chodzą tutaj do przedszkola i już łąpią pierwsze polskie słówka, uczą się też angielskiego przy okazji. Moja żona również jest zadowolona z życia w Polsce – spodobał jej się tutejszy spokój, porządek, to że ludzie są uprzejmi. Mówi, że podoba jej się polski styl życia, nawet jeśli jest inny niż hiszpański. Naprawdę, kiedy ktoś pyta mnie albo moją żonę, jak nam się mieszka w Polsce, zawsze odpowiadamy to samo: czujemy się tutaj jak u siebie w domu. Polska stała się dla nas drugim domem i mówimy o tym otwarcie, bo tak właśnie czujemy.

Karolina Jaskulska: Czy cokolwiek zszokowało Cię na początku pobytu w Polsce? Często słyszę, że obcokrajowcy są zaskoczeni np. naszą zimą albo czymś w codziennych zwyczajach...

Israel Puerto: Mnie chyba nic nie zszokowało. Raczej nie było kulturowego szoku. Zanim przyjechałem, sporo czytałem i wiedziałem mniej więcej, czego się spodziewać. Byłem przygotowany na trochę niższe temperatury (uśmiech), na inną kuchnię – ale to wszystko poszło gładko. Znałem też trochę Waszą historię, wiedziałem, że Polska przeszła bardzo trudne momenty, wojny, powstania – i że Polacy są przez to niezwykle odporni i zahartowani. Wydaje mi się, że te doświadczenia historyczne wpłynęły na mentalność ludzi tutaj – macie w sobie ogromną siłę i determinację. Bardzo mi się też podoba to, że Polacy są pomocni i życzliwi. Naprawdę, odkąd tu jestem, spotykam na swojej drodze mnóstwo życzliwości. W klubie od pierwszego dnia koledzy z drużyny czy pracownicy – wszyscy byli bardzo otwarci, gotowi pomóc w najdrobniejszych

sprawie. To wiele mówi o Was jako o społeczeństwie.

Karolina Jaskulska: A co z językiem polskim? Nauczyłeś się go przez te lata? Dogadujesz się na boisku i poza nim?

Israel Puerto: Ku własnemu zaskoczeniu nauczyłem się całkiem sporo! Przede wszystkim, jeśli chodzi o piłkę, to na boisku i w szatni porozumiewam się bez problemu. Cała terminologia piłkarska – komendy, okrzyki, podstawowe zwroty – jest już dla mnie zrozumiała. Na treningach wszystko rozumiem i potrafię zareagować, w drużynie komunikuję się po polsku z trenerami i kolegami. Oczywiście, muszę jeszcze sporo się nauczyć, żeby swobodnie rozmawiać o wszystkim w życiu codziennym. Wciąż trochę walczę z polską gramatyką, bo jest naprawdę bardzo trudna. (śmiej) Odmiany przez przypadki, rodzaje, wyjątki – czasem mnie to przytłacza. Ale obiecałem sobie, że się nie poddam i nauczę się polskiego na porządnym poziomie. Już zrobiłem duże postępy, a będzie tylko lepiej.

Karolina Jaskulska: (uśmiech) Trzymam kciuki, bo polski uchodzi za jeden z najtrudniejszych języków świata – to fakt.

Israel Puerto: I myślę, że nie bez powodu! Coś w tym jest, naprawdę. Ale na szczęście, tak jak mówiłem, w szatni czy podczas meczu nie mam żadnych problemów z komunikacją. Koledzy mnie rozumieją, ja rozumiem ich. Ktoś może zauważyć: „No tak, wam Hiszpanom jest łatwiej, bo w Stali jest was trzech, macie swoją mini-paczkość”. Ale w moim przypadku to nie do końca prawda. Szczerze mówiąc, spędzam więcej czasu z Polakami w drużynie niż z moimi rodakami. Od początku zależało mi, żeby integrować się z całym zespołem, a nie trzymać tylko z Hiszpanami. Możesz zapytać chłopaków – oni potwierdzą. Lubię polskich kolegów, ich styl bycia, poczucie humoru. Dzięki temu też szybciej łąpię język – bo na co dzień staram się rozmawiać po polsku. Czasem wtrącę angielskie słówko, gdy brakuje mi polskiego, ale generalnie idzie mi coraz lepiej.

Karolina Jaskulska: A jak to wygląda u Twojej rodziny? Żona, dzieci – uczą się polskiego razem z Tobą?

Israel Puerto: Moja żona na razie nie uczy się polskiego tak na serio. Co prawda osłuchała się już z niektórymi zwrotami – wiadomo, na mieście słyszy „dzień dobry”, „dziękuję”, jak robi zakupy to coś tam wyłapie. Ale generalnie nie mówi po polsku. Na szczęście większość młodych ludzi w Polsce zna angielski, więc ona dogaduje się po angielsku, gdzie potrzebuje. Jeśli chodzi o dzieci, to tak jak wspominałem, chodzą do przedszkola tutaj, więc łąpią podstawy języka naturalnie od rówieśników i pań wychowawczyń. Znają już kilka słówek: umieją powiedzieć „dzień dobry”, „do widzenia”, „dziękuję”.

Uczą się nazw kolorów, liczb, różnych piosenek po polsku. To jest świetne, bo dzieci chłoną język jak gąbka – nawet się nie obejrzymy, a będą mówić lepiej od nas (śmiech). Co więcej, w ich przedszkolu są też zajęcia z angielskiego, więc od małego mają taki fajny miks językowy. Myślę, że to zapoczątkuje w przyszłości.

Powrót do Polski i Stal Mielec – drugi dom na Podkarpaciu

Karolina Jaskulska: Kilka miesięcy temu zdecydowałaś się na powrót do Polski po pewnej przerwie. Grałaś wcześniej w PKO BP Ekstraklasie, potem wyjechałaś – co sprawiło, że postanowiłaś znów zagrać w polskiej lidze?

Israel Puerto: Szczerze mówiąc, ten powrót dojrzewał we mnie stopniowo. Kiedy w 2023 roku wyjechałem z Polski do Arabii Saudyjskiej, doświadczyłem tam zupełnie innego życia – innej kultury, innego futbolu, innej codzienności. I szybko poczułem, że tęsknię za Polską. Tamto doświadczenie było cenne, ale uświadomiło mi, jak dobrze było mi wcześniej tutaj. Pomyślałem, że chciałbym wrócić – do kraju, ligi i otoczenia, które już znałem i ceniłem. Oczywiście w piłce nie zawsze możesz mieć to, czego chcesz w danym momencie; wszystko zależy od ofert, kontraktów, wielu czynników niezależnych od zawodnika. Nie od razu więc nadarzyła się okazja powrotu. Ale gdy tylko pojawiła się realna propozycja, byłem zdecydowany wracać. Polska liga jest dla mnie bardzo atrakcyjna – poziom rośnie, stadiony są coraz ładniejsze, kibice fantastyczni. Czułem, że mam tu jeszcze coś do zrobienia i że mój rozdział w Polsce nie powinien być zamknięty.

Karolina Jaskulska: Podobno miałeś zainteresowanie ze strony kilku polskich klubów, a mimo to wybrałaś Stal Mielec. Dlaczego właśnie Mielec?

Israel Puerto: Rzeczywiście, zgłosiło się parę klubów, ale najbardziej konkretny i zdeteminowany była Stal. To miało dla mnie duże znaczenie. Stal Mielec naprawdę mocno zabiegała o to, żebym do nich dołączył – działacze od początku pokazali, że bardzo im zależy na mojej osobie. Przekonał mnie ich plan na mnie jako piłkarza. Czułem, że trener i klub mają pomysł, jak mnie wykorzystać na boisku, jak wkomponować w zespół. Wiedziałem, że w Mielcu dostanę szansę gry i zaufanie od klubu – a to dla piłkarza ważne. Poza tym Mielec dawał mi właśnie to, o czym marzyłem: powrót do Polski. Mogłem znów grać, w kraju w którym dobrze się czuję. Decyzja o przeprowadzce tutaj była jedną z najważniejszych w moim życiu, naprawdę. Musiałem rozważyć wszystkie za i przeciw – to daleko od Andaluzji, mniejszy ośrodek, nowy zespół – ale serce mi podpowiadało, że warto. I dziś mogę powiedzieć, że to był świetny wybór. Niezależnie od naszej obecnej sytuacji w tabeli czy wyników na boisku, czuję się w Mielcu fantastycznie. Klub bardzo mi pomógł w aklimatyzacji, koledzy przyjęli mnie jak brata. Moja rodzina również jest tutaj szczęśliwa. Cieszę się każdego dnia, że trafiliśmy właśnie do Mielca.

Co więcej, jestem pełen optymizmu, jeśli chodzi o nasze wyniki sportowe. Wiem, że mieliśmy trudniejsze momenty, ale wierzę, że odmienimy naszą sytuację w lidze. Na treningach wszyscy harujemy naprawdę ciężko – cały sztab i drużyna robią wszystko, żeby było lepiej. Mamy potencjał, żeby wygrywać więcej meczów i piąć się w tabeli. Ja jestem z natury optymistą (co pewnie już słyszałaś po moich opowieściach

o Hiszpanii!), więc głęboko wierzę, że wkrótce kibice Stali będą mieli więcej powodów do radości.

Karolina Jaskulska: Powiedziałaś, że Polska stała się Twoim drugim domem. Czy rzeczywiście tak to odczuwasz? Polska to Twój drugi dom?

Israel Puerto: Zdecydowanie tak. Mówię to całkiem szczerze: Polska to mój drugi dom. Już wcześniej, po tych wcześniejszych latach w PKO BP Ekstraklasie, tak się czułem – a teraz po powrocie tym bardziej. Mam w Hiszpanii swój pierwszy dom – Andaluzję, Seville – ale drugi dom znalazłem właśnie tutaj. I powtarzam to wszystkim, bo naprawdę tak jest. Czuję się tu u siebie.

Karolina Jaskulska: Mielec to jednak mniejsze miasto niż Białystok czy Wrocław, gdzie mieszkałaś wcześniej. Nie doskwiera Wam ten mniejszy ośrodek? Nie brakuje Ci czegoś w Mielcu?

Israel Puerto: Mielec faktycznie jest mniejszy, ale mamy tu wszystko, czego potrzeba do życia. Może nie ma wielkich centrów handlowych czy opery (uśmiech), ale jest spokojnie, przyjaźnie – idealnie do życia rodzinnego. A my z żoną mamy dwójkę małych dzieci, więc i tak większość czasu spędzamy wspólnie z nimi w domu lub na spacerach, placach zabaw. Nie jesteśmy już na etapie imprezowania do rana – młodsze lata mieliśmy bardziej rozrywkowe, teraz cenimy sobie domowe zacisze. Oczywiście, czasem wyjdziemy na kolację do restauracji albo na kawę, ale Mielec oferuje nam wystarczająco nawet pod tym względem. Są tu przyjemne knajpki, są tereny zielone, jest gdzie pójść na rodzinny spacer. Jeśli potrzebujemy odskoczni, to Kraków czy Rzeszów są blisko – w godzinę, półtorej możemy być w innym mieście. Lotniska też mamy w zasięgu (Balice, Jasionka), więc nawet podróż do Hiszpanii czy gdziekolwiek jest prosta. Naprawdę, niczego nam tu nie brakuje. Czasem ludzie pytają, czy nie nudzi mi się w mniejszym mieście po dużych, ale szczerze – ja doceniam ten spokój. Wszędzie mam blisko, mniej czasu tracę na dojazdy, mogę się skupić na treningach i rodzinie. To taki rodzinny raj dla nas.

Karolina Jaskulska: Chciałabym zapytać o perspektywę piłkarza, który zna dwa piłkarskie światy – polski i hiszpański. Jak byś porównał kibiców w Polsce i Hiszpanii? Czym się różnią, a w czym są podobni?

Israel Puerto: Jeśli chodzi o pasję, to i polscy, i hiszpańscy kibice kochają futbol ponad wszystko – tu są podobieństwa. Ludzie w obu krajach żyją piłką i swoim klubem, to część ich tożsamości. Natomiast jest coś, co bardzo podziwiam w polskich kibicach: są niesamowicie wierni i fanatyczni bez względu na okoliczności. W Polsce

kibice potrafią wypełniać stadion nawet wtedy, gdy drużynie nie idzie, gdy wyniki są słabsze. Niezależnie od miejsca w tabeli czy ostatnich porażek – oni i tak przyjdą, dopingują od pierwszej do ostatniej minuty. Żyją klubem na dobre i na złe. To jest piękne i wcale nie tak oczywiste w wielu krajach. Są bardzo głośni, tworzą fantastyczną atmosferę. W Mielcu na naszym stadionie czujemy ich wsparcie w każdym meczu, ale widziałem to samo w innych polskich miastach – w Wrocławiu, w Białymstoku, czy choćby jak grałem na Legii czy z Lechem Poznań. Polscy kibice naprawdę żyją futbolem

Polscy i hiszpańscy kibice kochają futbol ponad wszystko

Israel Puerto

całym sercem.

Każdego dnia czujemy tę energię i wsparcie fanów – nawet chodząc po mieście, ktoś nas zaczepi, poklepie po plecach, powie „głowa do góry” po porażce. To buduje. Jako piłkarze czujemy przez to dużą odpowiedzialność, żeby odwdziżyć się kibicom za ich wierność. Wiemy, że oni nas nie zostawiają, więc tym bardziej musimy walczyć też dla nich – gryźć trawę na boisku, by dać im powody do dumy. W Hiszpanii jest oczywiście wielka pasja do piłki – wystarczy zobaczyć, co się dzieje na stadionach Sevilli, Betisu czy Athleticu Bilbao. Ale myślę, że polscy kibice dorównują temperamentem, a czasem nawet przebijają hiszpańskich pod względem właśnie tej nieustępliwej wiary w drużynę. Bardzo to szanuję i cieszę się, że mogę dla takich kibiców grać.

Karolina Jaskulska: Na koniec muszę zapytać: za czym najbardziej tęsknisz, kiedy myślisz o Andaluzji i rodzinnej Hiszpanii?

Israel Puerto: Zdecydowanie najbardziej tęsknię za moją rodziną, która została w Hiszpanii – rodzicami, rodzeństwem, dziadkami. To jest coś, czego nie zastąpi nawet najlepsza praca czy piękne miejsce. Mam to szczęście, że najbliższą rodzinę

– żonę, dzieci – mam ze sobą tutaj. I odkąd oni są przy mnie, tak naprawdę nic więcej mi nie potrzeba do szczęścia. Dla mnie najważniejsze jest, żeby moja rodzina była zdrowa, bezpieczna i szczęśliwa. Jeśli oni się uśmiechają, ja jestem szczęśliwy podwójnie. Wiadomo, czasem brakuje mi wspólnych chwil z resztą rodziny w Andaluzji – niedzielnego obiadu u mamy, spotkań z dalszymi krewnymi. Ale taka jest piłkarska droga, że dom budujemy tam, gdzie akurat gramy. Dzięki technologii jesteśmy w stałym kontakcie, a w przerwach między rozgrywkami staramy się odwiedzać Hiszpanię. Na co dzień jednak absolutnie nie czuję się samotny – bo mam przy sobie ukochane osoby, a do tego w Mielcu czujemy się jak wśród przyjaciół.

Karolina Jaskulska: Bardzo dziękuję za rozmowę i życzę powodzenia – zarówno na boisku, jak i poza nim!

Israel Puerto: Również dziękuję, Karolina. Na koniec chciałbym tylko podkreślić, że cała nasza drużyna naprawdę ciężko pracuje na treningach i zrobimy wszystko, aby odmienić naszą sytuację w lidze. Chcemy zostawić za sobą to, co było złe, i skupić się na przyszłości – wierzę, że wspólnie wyjdziemy z każdego dołka. Jestem pewien, że przed nami jeszcze wiele radosnych chwil dla nas i dla kibiców.



Wywiad przeprowadziła

Karolina Jaskulska
Redakcja: Kanał Sportowy

X @k_jaskulska

PAWEŁ KARMELITA: *UCZCIWOŚĆ I WYMAGANIE*

Asystent trenera FKS Stal Mielec opowiada o „niewidzialnej” pracy sztabu: od stałych fragmentów gry i analizy danych, przez psychologię w czasach hejtu, po tydzień stażu w Napoli u Luciano Spallettiego zorganizowany dzięki Piotrowi Zielińskiemu. To rozmowa o rzemiośle, relacjach i odpowiedzialności – bez fajerwerków, za to z konkretnymi.

Asystent trenera: niewidzialna robota i specjalizacja

Co robi asystent trenera, czego kibic nigdy nie zobaczy?

Obecnie asystent, to trener, który jest specjalistą w określonej tematyce. Odpowiada za przygotowanie i realizację procesu w swojej dziedzinie, podczas gdy pierwszy trener pełni funkcje menedżera, którego zadaniem jest optymalne zorganizowanie pracy swoich asystentów oraz nadawanie kierunku pracy całego sztabu. Ze względu na coraz większą złożoność procesu treningowego w sztabach jest po kilku asystentów, z których każdy ma ściśle określone zadania i funkcje do wypełnienia.

Mówi Pan o funkcjach, że jest ich wiele. Jaką funkcję pełni Pan w Stali Mielec? Czy to jest konkretna specjalizacja?

W moim przypadku te zadania się zmieniają. Obecnie jestem odpowiedzialny za analizę stałych fragmentów gry przeciwnika, przygotowanie naszych ofensywnych wariantów na mecz oraz teoretyczne i praktyczne przygotowanie zespołu w tym zakresie. Dodatkowo w zakresie moich obowiązków jest przygotowanie i prowadzenie treningów indywidualnych.

Z Lubina do Mielca: trenerzy i lekcje z różnych szkół

Przed podpisaniem kontraktu ze Stalą przez wiele lat pracował Pan w Zagłębiu Lubin. Mowa o pracy w akademii, rezerwach, przy pierwszym zespole. Tych ról było mnóstwo. Która z nich była tą najważniejszą, która najbardziej Pana ukształtowała?

Na pewno bardzo dużo dał mi czas spędzony z drugim zespołem, który rywalizował na poziomie Młodej Ekstraklasy oraz na poziomie III ligi. Z perspektywy czasu jak sobie robię taką analizę to był to do dla mnie jako dla trenera bardzo owocny czas. Następnie, jak każdy ambitny człowiek chciałem skosztować pracy na poziomie seniorskim. W pewnym momencie było mi to dane. Trener Stokowiec zaprosił mnie do współpracy i przez 6 lat mogłem rozwijać swoje kompetencje pracując z pierwszym zespołem Zagłębia i współpracując z wieloma różnymi trenerami. Z perspektywy swojego rozwoju, mogę powiedzieć, że był to bardzo owocny czas i każdy z nich mnie wiele nauczył. Dlaczego? Bo każdy

z nich był inny. Każdy trochę inaczej patrzył na piłkę nożną i wiem, że od każdego wiele wyciągnąłem.

Wyprzedził Pan moje kolejne pytanie. Co i od którego trenera udało się Panu wyciągnąć?

Nie posłużę się nazwiskami, bo to mogłoby zostać różnie odebrane. Od każdego z nich – nie jest to naprawdę żadna kurtuazja – udało mi się wyciągnąć pewną naukę. Miałem to szczęście, że każdy z nich był na swój sposób inny i wydaje mi się, że każdego można by opisać w odmienny sposób. Jeden był bardzo odważny w pomysłach, był świetnym organizatorem i umiejętnie zarządzał sztabem. Inny miał autorytet wynikający z doświadczenia zawodniczego i potrafił na wiele teoretycznie trudnych spraw boiskowych spojrzeć ze strony zawodnika, który widzi pewne rzeczy prościej. I okazywało się, że rzeczywiście one były proste a my często je niepotrzebnie utrudniamy. Inny był obcokrajowcem, miał podejście analityczne i przykładł dużą wagę do spraw taktycznych. Jednocześnie z racji wykształcenia trenerskiego w innym kraju miał nieco inne spojrzenie na proces treningowy. Jeszcze inny opierał się na budowaniu dobrych relacji z zawodnikami. Każdy z nich był inny. Mieli odmienne osobowości, inny warsztat pracy i pomysł taktyczny na grę.

Ja jak wspominałem na początku starałem się czerpać pełnymi garściami i od każdego wyciągnąć to co mogłoby mi pomóc w mojej pracy trenerskiej. Oczywiście nie jestem w stanie określić co było najważniejsze ale uczciwie powiem, że w swojej pracy systematycznie korzystam z tych doświadczeń.

Piłka bez rutyny: plan, improwizacja i zarządzanie kryzysem

Pracuje ponad już ponad dwie dekady. Jak bardzo na przestrzeni tego czasu zmieniła się rola asystenta?

W 2008 roku trafiłem do Zagłębia, a wcześniej pracowałem w Jeleniej Górze. To są rzeczywiście ponad dwie dekady i moja przygoda trochę już trwa. Te zadania one się ciągle zmieniają, relacje zawodnik-trener zmieniają się, bo piłka nożna się zmienia. Ona staje się bardzo wymagająca i coraz więcej aspektów jest branych pod uwagę. Praca sztabu uległa ogromnej zmianie. Większy nacisk kładzie się na relacje interpersonalne, bo wydaje



mi się, że większa staje się też ścś zawodników. Oni coraz więcej od nas wymagają, są coraz większymi profesjonalistami i musimy być gotowi na ich potrzeby.

Kiedy czuje Pan, że sztab działa najlepiej? Wtedy kiedy wszystko jest zaplanowane od A do Z, czy wtedy kiedy potraficie improwizować? Na przykład wtedy, kiedy jakaś kryzysowa sytuacja burzy Wasz plan.

Wydaje mi się, że pan w dużej mierze na to odpowiedział. Naszym zadaniem jest wszystko przygotować, ale takie zamknięcie się – okej, zaplanowałem i tak na pewno będzie – nie jest możliwe. Piłka nożna jest grą, w której jest bardzo dużo zmiennych. Przygotowując siebie i zawodników musimy być odporni na to, że te zmienne się pojawiają. Trzeba umiejętnie na takie zmiany reagować. Dobre planowanie, dobry sztab to jest grupa ludzi, która potrafi przygotować się na takie sytuacje. Nie można dać się zaskoczyć.

W tej pracy jest dużo rutyny, czy więcej reagowania na bieżące problemy?

Piłka nie pozwala na rutynę. Mikrocykle zmieniają się – także ze względu na to, że mamy innych przeciwników. Jesteśmy w innym miejscu w tabeli, mamy inne cele, problemy zdrowotne, itd. Różne są wyzwania i nie ma miejsca na rutynę. Trzeba być ciągle przygotowanym na rozwiązywanie trudnych sytuacji. Szczególnie pierwszy trener jest zmuszany do tego, żeby rozwiązywać różne wyzwania. Teoretycznie tydzień do tygodnia jest podobny, ale to jest pozorne. To może tak jedynie wyglądać z boku, ale od środka jest zupełnie inaczej.

Forma jako sinusoida: praca z zawodnikiem w dołku

Porozmawiajmy o tych wyzwaniach. Czy ma Pan w głowie jakąś konkretną sytuację – czy to z Zagłębia, czy ze Stali – która była bardzo trudna do zarządzenia i rozwiązania?

Aż tak wyraźnej nie jestem w stanie przywołać. ale kilka razy pełniłem funkcję pierwszego trenera i znalazłem się w sytuacji, gdy musiałem wybrać kadrę meczową i poinformować zawodników, że nie ma ich w tej grupie. Nie jest to sytuacja miła, zważywszy na fakt, że w tygodniu robili wszystko czego oczekiwali. Mówimy tu oczywiście o zespole seniorskim na poziomie Ekstraklasy, gdy z grupy ponad 20 zawodników mających swoje czasami bardzo wysokie ambicje, zawodników, których bardzo dobrze znasz, musisz wybrać. Nie zawsze jesteś w 100% pewien czy to najlepszy wybór a jednocześnie jesteś świadomy, że za takim wyborem mogą iść konsekwencje.

A czy są sytuacje, w których zawodnik potrzebuje czegoś innego niż uważa pierwszy trener, a Pan – jako asystent – musi to wcześniej wychwycić?

Zdecydowanie. To jest jeden z naszych głównych obowiązków. Asystent często jest bliżej zawodnika niż pierwszy trener. Mamy z nimi trochę inne relacje, czasami powiedzą więcej. Czasami widzimy pewne sprawy trochę inaczej. Naszym

obowiązkiem jest komunikować się z pierwszym trenerem i przekazać swój punkt widzenia – tego się od nas wymaga – ale też komunikując się z zawodnikiem wytłumaczyć punkt widzenia pierwszego trenera. To jest działanie w dwie strony.

Są momenty kiedy piłkarz jest w dołku. Czy Pana rolą jest wtedy uspokojenie takiego zawodnika, czy bardziej wskazanie detali na boisku? Chodzi mi o pokazanie palcem tego, co nie działa i dlaczego nie działa.

Jedno i drugie. To co pan wspominał – piłkarz bywa w dołku. Forma jest sinusoidą i to jest normalna rzecz. Naszym zadaniem jest uświadomić piłkarzowi. To, że ty dzisiaj jesteś w gorszej dyspozycji, jest dla nas rzeczą absolutnie zrozumiałą. Ty możesz być w gorszej dyspozycji ale musisz mieć świadomość, że chcemy, aby ta sinusoida miała charakter wznoszący. W tej świadomości zawodnik nie ma marudzić, nie ma się poddawać, tylko

pracować. Jeśli poprzednio wychodziło i wszystko było dobrze, to celem powinien być powrót do tego stanu. Z reguły takie podejście i zmiana mentalna sprawia, że wszystko wraca na właściwe tory. Zawodnik ma za zadanie uwierzyć i pokazać nam – tak, chcę być ważną częścią tego zespołu.

Kiedy zespół ma trudniejszy moment to wtedy rozmowa nad głową często zastępuje taktykę? Wiemy, że to ma zastosowanie w przypadku napastników. Kiedy napastnik strzeli pierwszego gola, przełamie się, to później strzeli drugiego, trzeciego, czwartego. Działa prawo serii.

Aktualne pytanie, bo są różne koncepcje. Wszystko zależy od podejścia pierwszego trenera, bo to do niego musimy się dostosować. Na pewno strona mentalna jest kluczem do wszystkiego. Świat nam pokazuje, że w tym kierunku się idzie. W coraz większej liczbie sztabów są osoby odpowiedzialne za przygotowanie psychologiczne. Pamiętam taką wypowiedź Wojtka Szczęsnego, który powiedział kiedyś, że nie wyobraża sobie zawodników na wysokim poziomie nie korzystających z pomocy psychologów. Ten aspekt mentalny jest rzeczą bardzo istotną. I oczywiście – kiedy nie idzie nie możemy się skupiać tylko na głowie i zapomnieć o aspektach stricte piłkarskich. To musi się połączyć i wtedy istnieje dużo większe prawdopodobieństwo, że zdołamy zażegnać kryzys. Zawsze starałem się patrzeć na to, jak trenerzy zarządzają kryzysem. Są różne metody, bo to jest rzecz powtarzalna i trzeba być na nią przygotowanym.

Hejt, psycholog i granice: relacje trener-zawodnik

Element, który na pewno nie był tak widoczny na początku Pana pracy jest hejt. Jak sztab może dziś filtrować informacje docierające do Was z zewnątrz? Kibic jest dziś bliżej zespołu i to pewnie też nie zawsze jest dobre.

Żyjemy w czasach, w których media społecznościowe odgrywają bardzo ważną rolę. Trudno się jest od nich odciąć – zwłaszcza młodym osobom. Z jednej strony musimy być przygotowani i świadomi tego, że jak wygrywamy to wszystko jest pięknie. Wtedy klepią po plecach, chwalą nas. Kiedy nam nie idzie to może być odwrotnie.

Nie ma się co na to obrażać. Najłatwiej jest wtedy powiedzieć, że jeśli masz z tym problem to nie czytaj. Ale okazuje się, że nie jest to takie proste. Ważne są proporcje i to w jakim wymiarze chcemy czerpać informacje z tego, co ktoś pisze na nasz temat. Niestety nie wiemy kto dzieli się swoimi „sposrzedzeniami”. Czy to jest osoba, która ma kompetencje do tego, by nas oceniać? Nie mamy zielonego pojęcia. W swoim doświadczeniu zawsze starałem się doradzać zawodnikom, by jak najmniej korzystali z tych informacji i umiejętnie je selekcjonowali.

Kwestia zmiany przyzwyczajzeń?

Trener Paweł Karmelita dołączył do sztabu szkoleniowego Stali Mielec 4 września 2024 roku.

Tak, ale chodzi o to, by ta druga strona wiedziała – w porządku, mówimy do siebie na ty, ale też te relacje zawodowe muszą istnieć. Ktoś musi być trenerem, a ktoś zawodnikiem. Nie może być dwóch trenerów.

Miał Pan taką sytuację, że zawodnik przyszedł i powiedział: „Trenerze, ja nie daję rady. Skupiła się na mnie cała krytyka”.

Aż tak wyraźnej nie miałem, bo nie każdy zawodnik jest w stanie przyznać się do tego. Zawsze starałem się przedstawiać swoją wizję tej sytuacji – ty nie musisz z tego korzystać, to nie musi na ciebie wpływać. Twoja mądrość może pozwolić ci się od tego odciąć. Nie musisz tego czytać. Staram się w taki sposób ukierunkować zawodnika, bo wtedy będzie mu łatwiej. Ostatnio miałem rozmowę z zawodnikiem, który poprosił mnie o odpowiedź. Prawdopodobnie był w podobnej sytuacji. To już była sprawa z wyższej półki. Odesłałem go do zaufanego trenera-psychologa. Obserwuję to z boku i widzę, że efekty są. Tym chłopcom potrzebna jest pomoc osoby kompetentnej.

Gdzie według Pana jest granica między trenerem, a zawodnikiem? Czy stawia Pan jasno granicę – ja trener, ty zawodnik? Wiemy, że są szkoleniowcy, którzy upraszczają komunikację przechodząc na ty z zawodnikami.

Z żadnym z zawodników nie byłem na stopie koleżeńskej. Dopóki mieliśmy relacje trener – zawodnik i pracowaliśmy w jednym klubie. Nie tworzyłem takiej relacji. Wynika to z tego jak zostałem wychowany, podejścia kulturowego kraju, w którym żyję. Widzę natomiast, że to się zmienia. To będzie postępować, ale ja takich relacji nie miałem. Takie relacje trener – zawodnik zmieniały się na kolega – kolega w momencie, gdy ci piłkarze przechodzili na piłkarską emeryturę. Stawały się zupełnie inne, bardziej koleżeńskie, choć dystans zawsze czułem. Są trenerzy, którzy od początku budują bliższe relacje. Chyba to w tym kierunku pójdzie, choć mam wrażenie, że to zależy od osobowości trenera. Każdy trener musi być przede wszystkim prawdziwy, być sobą i nie udawać.

To jest coś dobrego, czy bardziej odbiera to Pan jako znak czasów?

To kwestia dojrzałości każdej ze stron. Gdybym nagle miał pracować w sztabie, w którym są takie bliższe relacje, to absolutnie to by mi nie przeszkadzało.

Czyli jakaś granica musi być.

Rozumie pan, można sobie mówić wewnątrz grupy po imieniu. Zawodnik może mówić do mnie „Paweł”, ale on musi pełnić funkcję zawodnika, a nie mojego kolegi. Te role nie mogą pozostać zachwiane.

A jak wyglądają granice w sztabie? Zwłaszcza w tych sytuacjach stresowych. Gdzie jest granica w spieraniu się między sobą o detal, a rozjeżdżaniem wizji?

Tę granicę zawsze stanowi pierwszy trener. To jest frontman, który odpowiedzialny jest za podejmowanie decyzji, selekcję. Wydaje mi się, że każdy trener chce dyskutować i chce tego, żeby jego sztab się nie bał przekazywać swoich pomysłów. Oczywiście, że na końcu to on musi podjąć decyzję – panowie, robimy tak i tak. Nie może pozwolić na dwie drogi, żeby to się nie rozmyło. My, będąc w jednym klubie zakładamy, że robimy wszystko w jednym określonym kierunku. Naszym zadaniem jest powiedzieć swoje zdanie. Wydaje mi się, że fajną rzeczą jest to, gdy pierwszy trener dysponuje grupą zróżnicowanych ludzi. Nie patrzy wtedy tylko swoimi oczami.

Zdarza się zadać pytanie, którego nikt nie chciałby usłyszeć? Czy są takie momenty, że to czym się zajmujemy nie idzie w dobrą stronę i musimy teraz zareagować?

Rozumiem intencje tego pytania. Czy mogą się zdarzać takie sytuacje? Mogą i nawet mi się zdarzały, ale wtedy gdy pełniłem rolę pierwszego asystenta. Wiedziałem, że pierwszy trener tego ode mnie oczekiwał. To nie jest nic złego. Patrzę na to z perspektywy swojej osobie i tego jakich chciałbym mieć ludzi w sztabie. Ja chciałbym mieć takich którzy się nie boją powiedzieć swojego zdania. Intencja przecież jest jedna. Wszyscy chcemy wygrać. Pierwszy trener może się mylić i dlatego otacza się grupą doradców. Mogę powiedzieć, że obecnie każdy z nas może coś takiego wyrazić i trener Mamrot nie ma żadnego problemu, by każdy z nas może przedstawić swoją wizję.

chyba budujące.



To jest budujące i dla mnie powinno być normalne. Zwłaszcza w sytuacji, gdy trener czegoś ode mnie oczekuje. Nie może być oczywiście tak, że coś dobrze funkcjonuje, wygrywamy mecze, wszystko idzie, a ja za wszelką cenę próbuję przeforsować swoje pomysły i zaczynam coś mieszać. Nie o to też chodzi. Musimy wiedzieć, w którym momencie trener oczekuje naszego wsparcia.

Dane i stałe fragmenty: nowoczesne narzędzia w sztabie

Jeszcze kilka lat temu pewnie najczęściej wypowiadany słowem w szatni było słowo pressing. Teraz przeszliśmy do momentu, gdy na każdym kroku słyszymy o xG, xPoints, PPDA. Rozumie Pan te zmiany, czy jest Pan przeciwny komputeryzacji piłki? To jest bardzo nośny temat i wiemy, że są bardzo różne szkoły.

W stu procentach akceptuję ten kierunek rozwoju piłki, w którym ona idzie. Piłka coraz więcej wymaga, mamy coraz więcej danych. Dostajemy mnóstwo liczb, składowych, statystyk, które musimy przeanalizować. Naszą mądrością jest wykorzystanie tych danych poprzez określenie czego chcemy się dowiedzieć i jak później wykorzystamy te analizy. Liczby są niezbędne, bo one pomagają w rozwoju zespołu i przygotowaniach do meczów i nie możemy powiedzieć, że są złe. Chodzi o odpowiednie przefiltrowanie tych informacji tak aby można je było wykorzystać.

Jako trener stałych fragmentów gry podpatruje też Pan lepszych od siebie? Widzimy mnóstwo zespołów – z Arsenalem na czele – które oparły swój sposób grania o ten element piłki. Czy da się w jakimś stopniu zaimplementować rozwiązania? Dziś, będąc w Mielcu, ma Pan nieograniczone możliwości obserwowania tego, co dzieje się w najlepszych ligach.

Zdecydowanie tak i każdy trener odpowiedzialny za stałe fragmenty gry z pewnością to robi. Nie jest to żaden wstyd, wręcz przeciwnie to normalność. Analiza najlepszych jest bardzo inspirująca i musimy tylko dostosować te pomysły do naszych możliwości. Odpowiadając za stałe fragmenty gry w Zagłębiu Lubin też to robiłem i namawiałem zawodników aby mnie w tym wspierali. Dzięki zaangażowaniu się zawodników, stworzyliśmy naszą bazę pomysłów, dzięki której rozwijaliśmy się w tym elemencie.

Pan ogląda dużo piłki?

Dużo, ale to znowu nie jest coś nienaturalnego. Musimy to robić.

A jakie ligi?

Włoska, głównie włoska. Poza tym, bardziej zespoły niż ligi. A jest ich wiele. Nie będę oryginalny, gdy powiem, że obecnie Arsenal jest zespołem, który pozostaje inspirującym wzorem nie tylko pod względem stałych fragmentów gry. To, co mogę staram się oglądać i szukać pomysłów czy inspiracji, które uda się nam wkomponować.

Neapol i Spalletti: tydzień, który zostaje w głowie

Pan był we Włoszech na stażu trenerskim. Jak do tego doszło? Kto do kogo zadzwonił?

Miałem tę przyjemność pracować w Zagłębiu z Piotrkim [Zielińskim – przyp. FM]. Obecnie Piotrek jest na światowym poziomie. Wszedł na ten szczyt. W momencie kiedy skończyła się moja przygoda w Zagłębiu Lubin to podjąłem decyzję, że idę dalej. Skończył się jeden etap mojej pracy, zaczyna się drugi. Trzeba w siebie inwestować i zadzwoniłem do Piotrka, który powiedział, że bez problemu wszystko zorganizuje. To był mistrzowski sezon w Neapolu trenera Spallettiego. Miałem wielkie szczęście bo znalazłem mikrocykl, w którym grali dwa mecze u siebie. Z Lazio i z Atalantą, dwa wielkie mecze w Neapolu. Przyjechałem do Neapolu i dzięki Piotrkowi mogłem jako jedna z niewielu osób z bliska obserwować pracę Luciano Spallettiego z fantastycznym zespołem który później zdobył scudetto. Dla mnie to było coś, o czym marzyłem. Mówimy o wielkim zespole, świetnym trenerze. Mogę powiedzieć, że wyjechałem z głową nabitą pomysłami. To był bardzo owocny czas.

Nie będę ukrywać – jestem kibicem Romy i od wielu lat obserwuję pracę Luciano Spallettiego. Jaki to jest człowiek? Co Pana uderzyło albo zaskoczyło w bliskim kontakcie? Udało się Wam porozmawiać?

Postać wielka. Miałem przyjemność zamienić krótką rozmowę. Osoba bardzo charyzmatyczna i bardzo pozytywna. Czuję od niego bardzo pozytywne emocje. Jest trenerem który tak wiele osiągnął ale wydaje się bardzo normalny. Potraktował mnie bardzo miło, choć patrząc z perspektywy czasu, z pewnością było to też wyraz szacunku do Piotrka, który był dla niego ważnym zawodnikiem. Status Zielaka w Neapolu jest niepodważalny. Odnosząc się z kolei do pracy trenera Spallettiego – był bardzo, ale to bardzo aktywny na treningu. To było dla mnie wielkie zaskoczenie. On nie obserwował zajęć z boku. On je prowadził. Spalletti wchodził między zawodników, układał ich, od środka organizował cały zespół. Robił to z ogromną energią.

Który z zawodników zrobił wtedy na Panu największe wrażenie?

Być może to dziwnie zabrzmiało, ale patrząc na każdy trening wiedziałem dlaczego Piotrek jest tak szanowany. On wchodził na trening z tak wielkimi zawodnikami i wyglądał genialnie. A inni? Był Kwaracchella, który kiedy miał tylko piłkę przy nodze, to oko się radowało. W ataku grał świetny Osimhen. Lobotka, który przez cały tydzień nie stracił chyba ani jednej piłki. To był wielki zespół i byłem pod wrażeniem jakości Piotrka w takim zespole. Mówię to szczerze – bez faworyzowania, bez koloryzowania.

Talent i charakter: Zieliński i praca w cieniu

Męczą Pana pytania o Piotrka? Mówisz Karmelita, myślisz Zieliński. Kim był wtedy, gdy go Pan poznał?

Tematami Piotrka nie jestem zmęczony. Jestem dumny. Pochodzę do tego bardzo pokornie, ale jestem dumny z tego, że mając okazję pracy z tym chłopakiem... nie zepsułem go. I on dalej mógł iść do przodu. Co takiego miał? Poznałem go przed pracą w Zagłębiu Lubin. To był olbrzymi talent. Postać takiego drobnego chłopaczka, w którą zaklęty był pan piłkarz. Potrafił zrobić z piłką naprawdę mnóstwo, umiał świetnie dryblować, bezbłędnie posługiwał się dwoma nogami, co sprawiało że miał pełną kontrolę nad piłką. Piotrek był świetny technicznie i to nie jest tak, że ja go nauczyłem czegoś. Ja go takiego spotkałem. Wpływ na to na pewno mieli jego tata, jego bracia, z którymi uczył się grać. Dodatkowo do tego talentu był charakter. Nie jechał na tym, że jestem utalentowanym Piotrkim i na pewno będzie dobrze. Chciał wygrywać, chciał zdobywać najwięcej goli. Zawsze chciał być „naj” i to jest coś, co go pchało do przodu i tego nie zatracił. Wie pan, że są zawodnicy, którzy

są utalentowani, ale osiadają na laurach. Dodatkowo, zawsze powtarzam, że miał gigantyczne wsparcie rodziców – myślę, że tutaj należą się ogromne ukłony za to, jak został przez nich pokierowany i jak dozowali to, co się wokół niego działo. Nikt się nie obrazi, ale to największy talent, z jakim kiedykolwiek pracowałem.

Takich piłkarzy – może nie skali talentu Piotra Zielińskiego – miał pan więcej. Oni wyszli na duże stadiony. Co u takich chłopaków jest wspólne? Głowa, czy podejście? Przypominam sobie rozmowę Łukasza Poręby z Wesoło, w której powiedział wprost, że w pewnym momencie wziął go Pan na bok i powiedział mu, że jest słaby. Poręba przyznał, że od tamtego momentu wszystko się zmieniło.

Jeśli masz to szczęście pracować z utalentowanym zawodnikiem, to jako trener musisz o niego walczyć. On może mieć lepsze, słabsze momenty, ale nie możesz odpuścić. Zwłaszcza wtedy, gdy coś się dzieje nie tak. Jemu może się udać albo nie, ale musisz zrobić wszystko, by mu pomóc. To mogą być różne rzeczy. Pamiętam tę sytuację z Łukaszem. To był naprawdę bardzo trudny moment i on wielokrotnie mi mówił, że wywarło to na niego wpływ. To nie była łatwa rozmowa, a mówimy o zawodniku, który był nietuzinkowy i trzeba było go ukierunkować. Fajnie, że się to udało. Jeśli widzisz takiego zawodnika, to musisz od niego wymagać, a nie go tłumaczyć. Oboje wiemy, że zdarzają się sytuacje z którymi się nie zgadzam, gdy młody zdolny zawodnik, zaczyna się gubić i jest to w jakiś dziwny sposób tłumaczone i akceptowane. Z reguły nie kończy się to dobrze. Od takiego zawodnika, naszym zadaniem jest wymagać. To moje zdanie, mówię to jako Paweł Karmelita. Nawet jeśli dla młodego piłkarza jest to trudne do przyjęcia. Moja odpowiedzialność jest w tym, by rozwijać zawodnika. Nie stać z boku i milczeć, a interweniować – męsko, zdecydowanie.

Jacek Magiera powiedział kiedyś, że „można op***ć albo wymagać”.**

To jest nasza uczciwość wobec tego chłopaka, jego rodziców i samego siebie. Nie oczekiwałem tego, ale mam satysfakcję, że tak się wtedy zachowałem.

A jak Pan patrzy na młodego zawodnika, to co jest sygnałem że on idzie do góry? Zwłaszcza wtedy, gdy nie ma goli i asyst.

To nie jest jednowymiarowy wskaźnik, który łatwo wskażemy. Bardziej elementy, które się składają na całość. To kumulacja kilku czynników i założeń jakie ma trener. Punktem wyjścia są wymagania stawiane przez trenera. Każdy z nas może mieć inne. Poprzez to zawodnicy mogą być inaczej oceniani i ta ocena jest bardzo subiektywna.

Jakie są trzy zasady bycia dobrym asystentem?

Ambitny, pracowity, lojalny

Na koniec nie sposób nie zapytać. To są lata w roli asystenta, było kilka meczów w roli pierwszego trenera. Czy była taka myśl, żeby przejść na swoje? Nie szukajmy się, że zespół wygrywa, to zawsze myślimy w utartym schemacie. Prosty przykład. Stal Mielec wygrywa 1:0 i utrzymuje się w I lidze, a gola na wagę utrzymania po rzucie rożnym strzela Puerto. Uwaga skupia się na nim, a nie na Karmelicie, który ten rzut rożny przygotował. Przecież Wy – jako ludzie ze sztabu – jesteście trochę aktorami drugoplanowymi.

Po pierwsze, nauczyłem się zarządzać swoim ego i wiem że najważniejszy jest klub a nie któryś z trenerów. Dzisiaj jesteśmy w sytuacji, w której liczy się tylko to aby Stal wygrywała. Najmniej istotne jest, kto przygotował opcje jakiegoś rozwiązania. A po drugie, wracając do mojej osoby, to takie było moje zamierzenie, aby wrócić do roli pierwszego trenera, jednak moje życie toczy się tak, a nie inaczej. Mam dużą wdzięczność, że mogę ciągle pracować w piłce nożnej, bo miałem trudniejszy moment, który jest już historią. Czerpię satysfakcję i wiem, że się rozwijam. Dzisiaj bardzo szanuję swoją rolę. Na wszystko przyjdzie czas.



Wywiad przeprowadził

Filip Macuda
Redakcja: Sport.pl

X @f_macuda

SKAUTING TO RELACJE. A RELACJE TO ZAUFANIE

Ile razy trzeba zobaczyć młodego zawodnika? Co jest ważniejsze: trening czy mecz?
Jak wygląda decyzja o przyjęciu do akademii – i dlaczego nawet kilka tygodni testów nie daje gwarancji?
Radosław Sekuła opowiada o kulisach wyszukiwania dzieci i młodzieży dla Akademii FKS Stal Mielec: o procesie, kryteriach i o tym, jak rozmawiać z rodzicami, by presja nie odebrała dziecku radości z piłki.

„Trener jest skautem?” Nie do końca – ważne rozróżnienie

Kamila Bik: Chyba mało kto zdawał sobie sprawę, że trener jest skautem.

Radosław Sekuła: Skautem to może nie do końca – dokładniej koordynatorem skautingu. Tak to się oficjalnie nazywa. W praktyce ta różnica jest ważna, bo „skaut” kojarzy się często z osobą, która jeździ, ogląda i „wybiera”. A koordynator skautingu ma jeszcze jedną warstwę obowiązków: układa proces tak, żeby to nie była pojedyncza obserwacja i spontaniczna decyzja, tylko system, który działa w czasie. To trochę jak w treningu – każdy lubi „mecz”, ale jeśli nie ma planu pracy, nie ma regularności i komunikacji w sztabie, to nawet najlepsze intencje nie wystarczą.

Kamila Bik: Na czym dokładnie polega ta rola?

Radosław Sekuła: To funkcja odpowiadająca za rozwój struktur skautingowych oraz identyfikację utalentowanych zawodników, którzy w przyszłości mogą reprezentować barwy Stali Mielec. Tak to brzmi oficjalnie. W praktyce polega to na wyszukiwaniu potencjalnych chłopców, którzy mogliby wzmocnić poszczególne zespoły młodzieżowe w akademii. To także kontakty z klubami, współpraca, umowy partnerskie i wszystko, co jest z tym związane. Do tego dochodzi codzienność, której kibic zwykle nie widzi: ustalanie priorytetów (jakie roczniki, jakie pozycje, jakich profili szukamy), porządkowanie informacji po obserwacjach, dobór momentu, kiedy zawodnika zaprosić, a kiedy jeszcze „dać mu rosnąć”. W akademii nie chodzi o efekt na jutro – chodzi o to, żeby zawodnik trafił w środowisko, które go rozwinie, a nie tylko „wyciągnie” z jednego meczu.

Kamila Bik: Czyli w skrócie: mniej „polowania”, więcej „procesu”?

Radosław Sekuła: Dokładnie – bo proces chroni i klub, i chłopaka. Chroni klub przed pochopną decyzją, a chłopaka przed sytuacją, w której trafia do miejsca, na które nie jest gotowy albo które nie jest gotowe na niego.

Kamila Bik: Ile razy trener musi zobaczyć młodego zawodnika, żeby powiedzieć: „to jest materiał do akademii”?

Radosław Sekuła: Na pewno to jest kwestia kilku treningów plus mecz, a często więcej niż jeden mecz czy sparing. Dopiero wtedy możemy mniej więcej ocenić, czy dany chłopak ma potencjał, czy jednak nie. W młodzieży jedna obserwacja prawie zawsze jest niepełna.

Ktoś może mieć „dzień życia”, może trafić na słabszego przeciwnika, może zagrać na euforii, bo akurat przyszli go obejrzeć. A my chcemy zobaczyć powtarzalność: czy on podejmuje podobne decyzje, czy uczy się w trakcie, jak reaguje na błąd, czy potrafi wrócić do meczu po stracie piłki. Treningi są tu często ważniejsze niż sam mecz, bo na treningu widać nastawienie: jak słucha, jak pracuje, jak traktuje szczegół, czy chce poprawić drugi kontakt, ustawienie ciała, przyjęcie kierunkowe.

Kamila Bik: Co jest dla Ciebie bardziej „prawdziwe”: mecz czy trening?

Radosław Sekuła: Jedno i drugie. Mecz pokazuje odwagę i zachowanie pod presją, trening pokazuje nawyk pracy. A akademia potrzebuje obu rzeczy.

Największy błąd o skautingu: „wystarczy jeden dobry mecz”

Kamila Bik: Jaki jest największy błąd w myśleniu o skautingu – że wystarczy jeden dobry mecz?

Radosław Sekuła: Skauting to długi proces. Nawet jeżeli weźmiemy chłopaka na tydzień, dwa, trzy czy cztery i damy mu kilka meczów, to on może być z nami miesiąc, dwa albo nawet trzy i nadal możemy się pomylić. Szczególnie przy dzieciach łatwo o błąd – zarówno w jedną, jak i w drugą stronę. Można kogoś przecenić albo nie docenić. Dzieci bardzo szybko robią progres, ale czasem też regres. Przykładowo chłopak, który dziś wyróżnia się fizycznie, za rok może zostać dogoniony przez rówieśników i wtedy wszystko wygląda zupełnie inaczej. Takich przypadków



w pracy z dziećmi jest bardzo dużo. I tu jest sedno: skauting w wieku dziecięcym to nie tylko „kto jest najlepszy dzisiaj”, ale „kto ma fundament i środowisko, żeby być lepszym jutro”. Czasem chłopak dominuje, bo jest większy i szybszy – i to jest fakt, nie zarzut. Tylko że my musimy zadać sobie pytanie: co zostanie, kiedy ta przewaga się wyrówna? Czy zostanie technika? Czy zostanie odwaga w pojedynku? Czy zostanie myślenie na boisku? Jeśli zostanie – świetnie. Jeśli nie, to znaczy, że oceniliśmy „warunki”, a nie piłkarza.

Kamila Bik: Czy zdarza się, że pierwsze wrażenie jest bardzo dobre, a kolejne obserwacje wszystko zmieniają?

Radosław Sekuła: Jeżeli ktoś jest w piłce od wielu lat, pracował i z młodzieżą, i z seniorami, wygrał i przegrał wiele meczów, to rzadziej się myli. Choć oczywiście takie przypadki się zdarzają. Często jednak już po pierwszych obserwacjach można wstępnie określić, czy zawodnik ma potencjał i czy będzie się rozwijał. Doświadczenie pomaga w tym, że zaczynasz szybciej zauważać „sygnały”: czy ktoś szuka gry, czy się chowa; czy gra odważnie, czy bezpiecznie; czy bierze odpowiedzialność, czy oddaje piłkę przy pierwszym kontakcie. Ale jednocześnie doświadczenie uczy też pokory: że nawet jeśli intuicja mówi „to jest to”, to i tak trzeba to sprawdzić w kolejnych warunkach. Inny przeciwnik, inna rola, inny dzień, inne emocje.

Kamila Bik: Jakby trener w jednym zdaniu miał wytłumaczyć rodzicom, czym jest skauting w akademii?

Radosław Sekuła: To trudne pytanie. Po części jest to danie dziecku czasu na rozwój i szansy na to, by mogło robić w życiu to, co kocha najbardziej – spełniać

swoje marzenia o graniu w piłkę. I dodałbym, że to także odpowiedzialność: żeby te marzenia prowadzić mądrze. Bo akademia nie jest obietnicą kontraktu, tylko obietnicą pracy i drogi. Rodzic często chce „pewności”. My w piłce młodzieżowej tej pewności nie możemy obiecać – ale możemy obiecać proces, opiekę, rozwój i jasne zasady.

U8 i U19 to dwa różne światy

Kamila Bik: Jak bardzo różni się skauting w rocznikach U8, U12 od pracy z zawodnikami U15 czy U19?

Radosław Sekuła: To duża różnica. W starszych rocznikach mamy już zawodników bardziej ukształtowanych, także fizycznie – często po skoku pokwitaniowym. Widzimy ich zalety i wady. W młodszych kategoriach trzeba być bardzo ostrożnym, uważnym i nie podejmować pochopnych decyzji. W młodszych rocznikach częściej patrzysz na „iskrę” i zachowanie w grze: czy ktoś lubi piłkę, czy chce z nią przebywać. W starszych rocznikach dochodzą kolejne warstwy: rola na boisku, rozumienie gry, przygotowanie motoryczne, odporność na presję i – co ważne – gotowość do regularności. Bo w pewnym momencie talent bez powtarzalności przestaje wystarczać.

Kamila Bik: W młodszych rocznikach ważniejszy jest talent czy potencjał do nauki?

Radosław Sekuła: Szukam chłopców z naturalnym talentem – czasem to jedna, czasem dwie lub trzy cechy. Naturalność w tym, co robią na boisku. Jeżeli ktoś ma takie cechy, to na tej bazie można później zbudować bardzo dobrego zawodnika.

MATERIAŁ PROMOCYJNY



Stal Winter Camp

Półkolonia zimowa z FKS Stal Mielec

23-27.02.2026

Zapisy:

Kamil Zaskalski

Koordynator Akademii Piłkarskiej FKS Stal Mielec

✉ kamil.zaskalski@stalmielec.com

☎ 508 471 676

SPONSORZY I PARTNERZY



NCMETAL



PODKARPACIE

4F

A&K

HURT-MARKET

C efectivo



TOYOTA SACAR



enervigo

Często na turniejach czy meczach od razu widać chłopca, który robi coś naturalnie – drybluje, prowadzi piłkę, czerpie radość z gry. Ale ta naturalność musi iść w parze z otwartością na naukę. Bo w akademii szybko przychodzą momenty, kiedy „to, co działało w osiedlowej grze”, przestaje wystarczać. Jeśli chłopak ma talent, ale nie chce słuchać, nie chce pracować, obraża się po uwadze – to na pewnym etapie stanie w miejscu. Dlatego szukamy tej mieszanki: iskra + chęć rozwoju.

Kamila Bik: Co w skautingu młodzieżowym jest trudniejsze – ocena umiejętności czy przewidzenie rozwoju?

Radosław Sekuła: Zdecydowanie przewidzenie rozwoju. Jest zbyt wiele zmiennych: sytuacja w domu, w szkole, adaptacja do grupy, trening. To wszystko wpływa na rozwój zawodnika. I to jest część, o której rzadko się mówi w piłkarskich dyskusjach. My widzimy chłopaka przez 60 minut meczu, czasem przez kilka treningów – a on wraca do szkoły, ma swoje obowiązki, ma relacje w klasie, ma zmęczenie, czasem ma stres. Do tego dochodzi dojrzewanie, zmiany w ciele, zmiany w głowie. Dlatego w piłce młodzieżowej nie ma „prostej prognozy”. Można tylko zwiększać szanse: dobrym środowiskiem, dobrym treningiem, dobrym prowadzeniem.

„Iskierka naturalności” – jak ją rozumieć?

Kamila Bik: Jak trener definiuje potencjał u dziecka?

Radosław Sekuła: To ta iskierka naturalności. Pasja do piłki, radość z gry, naturalne zachowania na boisku. Często na turniejach szkolnych widać chłopca z mniejszej miejscowości, który wyróżnia się prowadzeniem piłki, dryblingiem, odwagą. Dla mnie ważne jest też to, co dzieje się między akcjami. Czy on po stracie piłki chce ją odzyskać? Czy wraca? Czy pomaga koledze? Czy ma odwagę wziąć odpowiedzialność drugi raz, nawet jeśli pierwszy drybling nie wyszedł? Potencjał często siedzi w tej mentalnej „sprężynie” – w tym, że on chce grać i chce się mierzyć z trudnością.

Kamila Bik: Co jest ważniejsze w długiej perspektywie: technika, taktyka, mental czy motoryka?

Radosław Sekuła: Wszystko – to cztery nogi stołu. Mental i pasja są kluczowe, bo bez tego ognia nic się nie osiągnie. Techniki w pewnym stopniu można się nauczyć, ale są zawodnicy, którym piłka po prostu „klei się do nogi”. Taktyka przychodzi z czasem. Motoryka jest ważna, choć nie zawsze decydująca. W młodszych rocznikach technika i odwaga w grze często są tym pierwszym wyróżnikiem. Taktyka rośnie wraz z treningiem i doświadczeniem, bo to jest wiedza i powtarzane nawyki. Motoryka bywa zmienna – ktoś później „dochodzi fizycznie” i nagle jego piłka wygląda inaczej. Dlatego znowu wracamy do procesu: trzeba patrzeć szeroko, a nie tylko na jedną „nogę stołu”.

Kamila Bik: W jakim wieku najłatwiej się pomylić w ocenie zawodnika?

Radosław Sekuła: Do około 12–13 roku życia. Wtedy zmiany rozwojowe są bardzo

dynamiczne. Chłopcy, którzy dominują w wieku 8–9 lat, później mogą stać się przeciętni, a inni nagle zrobić ogromny postęp. W tym wieku dochodzi też zjawisko, które wielu trenerów i rodziców zna z praktyki: w jednym roczniku dzieci potrafią różnić się rozwojowo jak o rok czy dwa. Bywa, że ktoś urodzony na początku roku wygląda „jak starszy”, a ktoś z końcówki jest jeszcze drobniejszy – i to potrafi zafałszować pierwszą ocenę. Dlatego trzeba mieć cierpliwość i uważność, żeby nie mylić przewagi rozwojowej z przewagą piłkarską.

Kamila Bik: Jak często zawodnik, który nie rzuca się w oczy, okazuje się bardzo dobrym wyborem?

Radosław Sekuła: Bardzo często. Tacy chłopcy muszą więcej pracować, są bardziej zdeterminowani. Ci, którzy od początku są wyróżniający i szybko trafiają na kadry czy testy, czasem tracą koncentrację. To bywa złudne. W piłce młodzieżowej łatwo zakochać się w kimś, kto „robi efekt”. A czasem największą wartością jest chłopak, który robi rzeczy proste, ale powtarzalne, uczy się, nie odpuszcza. On nie zawsze ma highlighty z turnieju – za to ma fundament pracy. I w dłuższej perspektywie ten fundament bywa mocniejszy niż chwilowy błysk.

*Mental i pasja są
kluczowe, bo bez
tego ognia nic się
nie osiągnie.*

Radosław Sekuła

„Oko” i dane – jedno bez drugiego dziś nie wystarcza

Kamila Bik: Ile w pracy skauta jest „oka”, a ile danych i raportów?

Radosław Sekuła: Jak mówił śp. Franciszek Smuda – najważniejsze jest oko. Ale dziś trzeba je łączyć z twardymi danymi: analizą wideo, statystykami, arkuszami obserwacji. Oko daje intuicję i pierwszy filtr: widzisz, czy chłopak „ma coś”. Ale arkusz obserwacji pomaga trzymać równość oceny i wracać do konkretów. Wideo pozwala zobaczyć detale: ustawienie ciała, decyzję przed przyjęciem, reakcję po stracie. Dane nie zastąpią człowieka – ale pomagają

człowiekowi nie uciekać w emocję chwili.

Kamila Bik: Czego nie pokażą żadne statystyki ani nagrania?

Radosław Sekuła: Zachowania na żywo: uśmiech, komunikacja, reakcje w grupie, pasja. Tego kamera nie odda. Widać też, jak chłopak wchodzi w środowisko: czy potrafi być częścią zespołu, czy potrafi poprosić o piłkę, czy potrafi zaakceptować uwagę, czy potrafi przyjąć rolę. To są rzeczy, które często decydują, czy on wykorzysta swój talent w akademii.

Jak podejmuje się decyzje w Akademii FKS Stal Mielec?

Kamila Bik: Jak wygląda proces decyzyjny w Akademii FKS Stal Mielec?

Radosław Sekuła: Decyzje podejmujemy wspólnie: dyrektor, koordynatorzy i trenerzy. Zaczynamy od zaproszenia zawodnika na testy, obserwujemy go przez kilka tygodni, analizujemy arkusze i dopiero wtedy decydujemy. Ten wspólny model jest ważny, bo każdy patrzy z innej perspektywy. Trener rocznika widzi dopasowanie do grupy i realia treningu, koordynator patrzy bardziej długoterminowo, dyrektor



AKADEMIA PIŁKARSKA FKS STAL MIELEC

TU ROZWIJAJĄ SIĘ PIŁKARSKIE SKRZYDŁA!



WWW.AKADEMIA.STALMIELEC.COM
AKADEMIA@STALMIELEC.COM

SPONSORZY I PARTNERZY



patrzy na całość programu. A chłopak w trakcie testów ma czas, żeby się „pokazać prawdziwie”, a nie tylko w stresie pierwszego dnia.

Kamila Bik: Jak ważna jest współpraca skauta z trenerami roczników?

Radosław Sekuła: Bardzo ważna. To codzienne rozmowy, wymiana informacji i próba pogodzenia potrzeb zespołu z długofalowym rozwojem zawodnika. Skauting w akademii nie może być odklejony od treningu. Jeśli trener mówi: „potrzebuję zawodnika o takich cechach”, to to jest informacja. Ale równie ważne jest pytanie: „czy chłopak, którego chcemy, będzie miał warunki, żeby się u nas rozwijać?”. To zawsze działa w dwie strony.

Kamila Bik: Czy zdarza się, że trener i skaut widzą zawodnika zupełnie inaczej?

Radosław Sekuła: Oczywiście. Jeden widzi potencjał długoterminowy, drugi chce zawodnika gotowego tu i teraz. Dlatego potrzebny jest dialog. W piłce młodzieżowej łatwo wpaść w myślenie „wynik tu i teraz”. A akademia musi pamiętać, że jej celem jest rozwój. Dlatego potrzebne są rozmowy, argumenty, cierpliwość i jasne kryteria. Nie po to, żeby ktoś miał rację – tylko po to, żeby zawodnik miał najlepszą ścieżkę.

Kamila Bik: Co jest większym zagrożeniem – zbyt szybkie skreślenie czy zbyt wczesna pewność?

Radosław Sekuła: Jedno i drugie. Trzeba dać zawodnikowi czas na adaptację i pokazanie pełni możliwości. Jeśli skreślisz za szybko, możesz stracić „późno dojrzewającego” chłopaka, który za rok zrobi ogromny skok. Jeśli zachwycisz się za wcześnie, możesz przeoczyć braki, które wyjdą dopiero przy większej intensywności. Dlatego tak ważne są tygodnie testów i obserwacja w różnych warunkach.

Kogo szuka i jak rozwija Akademia Stali Mielec?

Kamila Bik: Jakich zawodników szuka dziś Akademia FKS Stal Mielec?

Radosław Sekuła: Chłopców z pasją, chęcią rozwoju i naturalną cechą dominującą – na przykład umiejętnością gry jeden na jeden. To „coś”, co go wyróżnia, jest często punktem startu. Potem buduje się resztę: decyzje, odwagę, powtarzalność, pracę w defensywie, rozwój motoryczny. Najważniejsze, żeby chłopak miał w sobie energię do nauki i nie bał się pracy.

Kamila Bik: Jak wygląda ścieżka rozwoju w akademii?

Radosław Sekuła: Celem jest pierwszy zespół



Stali Mielec. Droga prowadzi przez zespoły młodzieżowe, rezerwy, czasem wypożyczenia. Równolegle dbamy o rozwój społeczny i życiowy, bo nie każdy zostanie piłkarzem. To jest bardzo ważne zdanie: piłka jest marzeniem, ale my mamy obowiązek przygotować chłopaka do życia – niezależnie od tego, jak potoczy się sportowa kariera. I paradoksalnie to często pomaga sportowo: kiedy chłopak ma poukładane sprawy w szkole i w domu, kiedy czuje wsparcie i spokój, wtedy łatwiej mu skupić się na treningu i rozwoju.

Kamila Bik: Jak wygląda współpraca z mniejszymi klubami i trenerami z regionu?

Radosław Sekuła: Z tym bywa różnie. Jeśli chodzi o sam Mielec, to w mieście funkcjonują trzy akademie: Akademia Stali Mielec, Piłkarskie Nadzieje oraz UKS SMS.

W przypadku współpracy z Piłkarskimi Nadziejami wszystko układa się bardzo dobrze. Podpisaliśmy umowę o ścisłej współpracy, czego efektem jest Szkoła Mistrzostwa Sportowego Stali Mielec. Dzięki temu możemy rozszerzyć swoją ofertę dla zawodników spoza regionu i zaoferować im szkołę podstawową, szkołę średnią oraz bardzo dobry internat. Natomiast jeśli chodzi o współpracę z UKS SMS, to tutaj jest znacznie trudniej. Ogólnie my, jako Stal Mielec, chcielibyśmy dobrze współpracować z każdym klubem w regionie – a jest ich spora liczba – i wspólnie budować silną Akademię. Uważam, że silna Akademia, posiadająca zespoły występujące w Centralnych Ligach Juniorów, to po pierwsze duża możliwość rozwoju, a po drugie okno wystawowe dla zawodników z mniejszych klubów na całą Polskę. Dla mnie klucz jest jeden: wszyscy gramy w tej samej piłce młodzieżowej. Jeśli współpraca jest dobra, wygrywa dziecko – bo trafia na właściwą ścieżkę w odpowiednim momencie. A jeśli współpracy brakuje, tracimy czas, energię i często zaufanie. Dlatego warto rozmawiać, tłumaczyć zasady, budować relacje – nawet jeśli czasem jest trudno.

Rodzice: presja, ambicje i granice

Kamila Bik: Jakie są największe wyzwania we współpracy z rodzicami?

Radosław Sekuła: Nadmierna ingerencja, presja wyniku i przenoszenie własnych niespełnionych ambicji na dzieci. To jest temat delikatny, bo rodzic zwykle chce dobrze. Tylko że czasem „dobrze” oznacza „szybko”. A rozwój w piłce młodzieżowej rzadko bywa szybki. Nadmierna ingerencja potrafi zabrać dziecku radość, a presja wyniku potrafi sprawić, że chłopak gra „żeby nie zepsuć”, zamiast grać odważnie. A bez odwagi nie ma piłkarza.

Kamila Bik: Jak tłumaczy trener rodzicom, że rozwój to proces?



Radosław Sekuła: Rozmowę. Tłumaczymy, że ważniejszy jest rozwój indywidualny niż wynik meczu. I w tej rozmowie warto wracać do konkretów: co poprawiamy, jaki jest plan, czego oczekujemy w danym miesiącu, a czego nie oczekujemy jeszcze. Rodzice często uspokajają się, kiedy słyszą, że to nie jest „przypadek”, tylko program. A zawodnik rośnie, kiedy ma spokój i jasność: czego się od niego chce dziś, a co przyjdzie jutro.

Kamila Bik: Jedna rzecz, której nie da się nauczyć na treningu?

Radosław Sekuła: Pasja. To ten wewnętrzny „ciąg” do piłki: że dziecko chce wyjść na boisko, chce dotknąć piłki, chce grać, nawet jak jest zimno, nawet jak przegrało, nawet jak coś nie wyszło. Trening może dać technikę, może dać motorykę, może dać taktykę – ale pasja jest paliwem. Bez niej daleko się nie zajędzie.

Akademia Piłkarska FKS Stal Mielec

27
DRUŻYN
MŁODZIEŻOWYCH

26
TRENERÓW

570
DZIECI OBJĘTYCH
SZKOLENIEM

Kamila Bik: Skauting w jednym słowie?

Radosław Sekuła: Danie dzieciom możliwości spełniania marzeń o graniu w piłkę. I to jest chyba najlepsza puenta, bo skauting w akademii nie jest „rankingiem talentów”. Jest momentem, w którym ktoś z dorosłych może otworzyć drzwi, dać szansę, stworzyć warunki. A potem już wszystko zależy od pracy, od środowiska i od tego, czy dziecko dalej będzie miało radość z piłki. W piłce młodzieżowej najłatwiej zapomnieć, że na boisku nie biega „projekt”, tylko człowiek. Skauting jest po to, by znaleźć talent – ale jeszcze bardziej po to, by znaleźć drogę, na której talent nie zgaśnie pod presją. A w tej drodze, jak pokazuje Sekuła, najważniejsze są relacje: klub-dziecko-rodzic-region. Bo jeśli one działają, dziecko ma szansę nie tylko lepiej grać, ale też lepiej dorastać.

17 grudnia 2025 roku Akademia Piłkarska FKS Stal Mielec otrzymała Złoty Certyfikat PZPN. Jest to najwyższy możliwy poziom certyfikacji w prestiżowym Programie Certyfikacji Szkółek i Akademii, prowadzonym przez Polski Związek Piłki Nożnej.



Wywiad przeprowadziła

Kamila Bik
Redakcja: Hej Mielec

 @Kamila44954123



A&K
HURT-MARKET



SKLEP
FKS STAL MIELEC
WWW.SKLEP.STALMIELEC.COM

FKS STAL MIELEC ISOTONIC DRINK

SPONSORZY I PARTNERZY



NCMETAL



TOYOTA SACAR
Mielec



enervigo

MAJA STRZELCZYK - NAJSŁYNNIEJSZA KOBIETA DZIENNIKARSTWA SPORTOWEGO Z PODKARPACIA

Maja Strzelczyk to dziś jedna z najbardziej rozpoznawalnych twarzy kobiecego dziennikarstwa sportowego w Polsce. Pochodzi z Podkarpacia – jej rodzinnym miastem jest Kolbuszowa, a bliska rodzina mieszka m.in. w Mielcu i Rzeszowie. Choć karierę zawodową rozwija w ogólnopolskich mediach sportowych, wciąż podkreśla swoje silne związki z regionem. Pracowała dla stacji Canal+ Sport, od kilku lat jest dziennikarką TVP Sport. Spotkać ją można na stadionach PKO BP Ekstraklasy, meczach Ligi Mistrzów czy podczas zgrupowań reprezentacji Polski. W rozmowie z Mateuszem Prokopiakiem opowiada o pasji, która napędza jej pracę, blaskach i cieniach zawodu reporterki piłkarskiej, a także o emocjach i kulisach swojej codzienności. Nie brakuje wątków mieleckich – Maja zdradza, co ceni w swoim rodzinnym regionie i dlaczego chętnie wraca na stadion Stali Mielec.

Korzenie z Podkarpacia

Mateusz Prokopiak: Na początek naszej rozmowy chciałbym zapytać ile w Tobie pozostało z Podkarpacia? Mimo że pracujesz już w ogólnopolskich mediach, czujesz się wciąż dziewczyną stąd?

Maja Strzelczyk: Oczywiście bardzo dużo. Przede wszystkim ogromnie lubię wracać do domu. Cała moja najbliższa rodzina jest na Podkarpaciu – rodzice mieszkają w Kolbuszowej, babcia w Mielcu (niedaleko stadionu!), brat w Rzeszowie. Tam są moje korzenie. Nawet mój piesek aktualnie przebywa „na kolonii” u dziadków (śmiech). Zawsze byłam lokalną patriotką i nadal w jakimś sensie nią jestem. Wiadomo, że z biegiem lat perspektywa się zmienia – kiedyś po przyjeździe w rodzinne strony od razu umawiało się ze wszystkimi znajomymi i tydzień schodził na spotkaniach. Teraz tego czasu mam mniej, znajomi porojeżdżali się lub mają swoje rodziny, więc skupiam się na czasie z najbliższymi. Ale to chyba naturalne: skąd się jest, stamtąd się zawsze będzie. To nigdy nie przemija. Można mieszkać gdzie indziej, nawet za granicą, ale ja wiem jedno – kiedy zadzwoniłeś w sprawie naszej rozmowy, nie było opcji, żebym, mieleckim, klubowym mediom odmówiła. Mam do tego stosunek emocjonalny – inny niż do czegokolwiek innego.

Mateusz Prokopiak: Twoja babcia mieszka tak blisko stadionu Stali, że podobno z jej okien widać jupitery. To prawda?

Maja Strzelczyk: (uśmiech) Trochę naciągana teoria. Z okna babci widać może czubki stadionowych reflektorów, jeśli się mocno wychylisz – bo inne budynki trochę zasłaniają. Na pewno za to podczas meczu słysząc co się dzieje na stadionie. Zawsze gdy jestem u babci i gra Stal, to idę pieszo na stadion – pięć minut spacerem. Ta odległość jest naprawdę minimalna, rzut beretem.

Mateusz Prokopiak: Perspektywa, że babcia mieszka tuż obok stadionu, coś zmienia w Twoim patrzeniu na Stal Mielec? Gdy idziesz do pracy na stadion w Mielcu, czujesz, że to coś więcej niż zwykła reporterska robota?

Maja Strzelczyk: Zdecydowanie tak. Mój dziadzio zawsze kibicował Stali Mielec, oboje rodzice pochodzą z Mielca – mam w sobie kawał tej historii. Kiedy Stal awansowała do PKO BP Ekstraklasy, byłam wniebowzięta. Najchętniej jeździłabym wtedy na wszystkie mecze w Mielcu – bo raz, że mogłam przy okazji odwiedzić rodzinę, a dwa, że ten swojski klimat jest absolutnie niepodrabialny. Pamiętam, że żartowaliśmy w redakcji z powiedzonka „organizacja Stal Mielec” – no wiesz, sugerującego prowincjonalny bałagan – a kiedy zaczęliśmy naprawdę jeździć na mecze Stali, okazało się dokładnie odwrotnie. W niewielu miejscach tak nas ugoszczono jak w Mielcu. Zawsze można się było gdzie ogrzać, napić czegoś ciepłego, zjeść coś pysznego – od początku do końca czuliśmy się zaopiekowani. Pomimo że Wasz klub nie ma wielkich struktur kadrowych, komunikacja zawsze działała świetnie, wszystko dało się sprawnie zorganizować. Naprawdę na mieleckim stadionie nigdy nam niczego nie brakowało.

Mateusz Prokopiak: Co Cię uderzyło najbardziej gdy zaczęłaś przyjeżdżać na mecze Stali? Co z uśmiechem na twarzy wspominasz?

*Całkiem niedawno
ukończyłam studia podyplomowe
z psychologii sportu, aby jeszcze
lepiej poznać ten świat*

Maja Strzelczyk

Maja Strzelczyk: Pierwsze, co przychodzi do głowy, to pizza (śmiech). Przyjechałam kiedyś na mecz do Mielca i po zakończonym spotkaniu tradycyjnie czekała na nas w biurze pizza. Nie zjadłam, bo była z mięsem – a ja od osiemnastu lat nie jem mięsa. Wspominałam o tym chyba tylko raz. Od tamtej pory za każdym razem czekała na mnie informacja, że jest też pizza wegetariańska. To jest tak miłe, że naprawdę nie wiem, czy coś może to



przebić! Drobny gest, a pokazuje ogromną troskę o gościa. I właśnie informacja o tym jak Stal Mielec dba o komfort pracy dziennikarzy, jak stara się im zapewnić jak najlepsze warunki do pracy i po prostu traktuje ich jak dobrych znajomych, a nie pracowników stacji telewizyjnej szybko rozeszła się po korytarzach Canal Plus. Na początku gry Stali w PKO BP Ekstraklasie, nie było wielu chętnych na wyjazdy do pracy do Mielca, głównie przez logistykę z dojazdem z Warszawy, dlatego bardzo łatwo było mi zapisać się na listę na taki wyjazd. Jednak tak jak wspomniałam, informacja jak naprawdę wygląda organizacja Stal Mielec szybko sprawiła, że bardzo wielu komentatorów i reporterów chciało udać się w weekend właśnie na Solskiego 1.

Mateusz Prokopiak: A potrafiłabyś wskazać jeden element, który tworzy ten wyjątkowy klimat Stali Mielec? Ten magnes, dzięki któremu – jak mówiłaś – nawet w Canal+ coraz więcej ludzi zaczęło się wyrwać na delegację do Mielca?

Maja Strzelczyk: Myślę, że chodzi o ludzi i serce, jakie nam okazywano. Mam tu na myśli i Prezesa Stali Mielec – Jacka Klimka i Przewodniczącego Rady Nadzorczej – Krzyska Kapinosa, którzy zawsze dbali o to, abyśmy czuli się można powiedzieć jak w domu. W moim przekonaniu to oni stanowili o sile mieleckiej gościnności. Bardzo przyczynili się do tego, że Stal jest mi tak bliska – bo to ludzie tworzą klimat. Stal to nie klub o wielkich strukturach, lecz tutaj zawsze każdy dziennikarz może liczyć na pomoc i życzliwość wszystkich pracowników w biurze. Poza tym na początku moich wizyt w Stali grało tam kilku zawodników, których znałam osobiście. Siłą rzeczy kibicuje się wtedy nie tylko klubowi, ale i tym konkretnym ludziom. Jeśli ci ludzie stanowią oś zespołu, to automatycznie człowiek jeszcze mocniej trzyma kciuki za Stal Mielec.

Początki kariery dziennikarskiej

Mateusz Prokopiak: Kiedy pierwszy raz pomyślałaś, że chcesz zawodowo zajmować się piłką nożną – dziennikarstwem sportowym? Skąd to się w ogóle wzięło?

Maja Strzelczyk: Szczerze mówiąc, nie pamiętam dokładnie, kiedy ta myśl pojawiła się po raz pierwszy. Wszystko zaczęło się tuż po maturze. Wtedy z prywatnych powodów znalazłam się w Warszawie i trafiłam do redakcji stacji Orange Sport. Poznałam tam kilka osób. Ponieważ naprawdę interesowałam się piłką, to zostało szybko zauważone. Chłopaki z Orange Sport – m.in. Łukasz Wiśniewski „Wiśnia” – zachęcili mnie, żebym wysłała swoje CV. Początkowo potraktowałam to dość niepoważnie. Nawet moje CV było dość zabawne... Nie spodziewałam się, że faktycznie dostanę szansę. A jednak – zaproszono mnie na rozmowę. Przyszłam do gabinetu Janusza Basałaja i Marcina Serafina (czyli słynnego „Szafy”). Przepyтали mnie krótko, a tydzień później jechałam już na swoją pierwszą transmisję. Był to mecz Lechii Gdańsk z Villarreal w Gdańsku – pamiętam, że oprócz relacji meczowej przeprowadziłam wtedy rozmowę m. in. z Markusem Senną. Po tej pierwszej transmisji byłam zachwycona, że wykonałam duży krok w swojej karierze. Następnie spędziłam całe wakacje w Warszawie na czymś w rodzaju stażu. Przychodziłam codziennie do redakcji, jeździłam na różne materiały i transmisje. Tak to się zaczęło – jeszcze przed studiami złapałam bakcyła. Później już w trakcie studiów kontynuowałam współpracę z Orange Sport: w weekendy jeździłam na mecze, w miarę możliwości

także w tygodniu. Mieszkalam wtedy w Łodzi, więc obsługiwanie transmisji z Łodzi było najłatwiejsze logistycznie, ale jeździłam też dalej, gdy była okazja. I tak minęło kilka lat w Orange Sport – od tego wszystko się zaczęło.

Mateusz Prokopiak: Na ile w tamtym starcie pomogła Ci znajomość języka hiszpańskiego? Wiem, że perfekcyjnie mówisz po hiszpańsku.

Maja Strzelczyk: Hiszpański bardzo mi pomógł już przy tej pierwszej transmisji, bo – tak jak mówiłam – mecz był z Villarrealem. Dzięki językowi mogłam bez problemu porozumieć się z piłkarzami z Hiszpanii i przeprowadzić wywiady. Później też, pamiętam, gdy młodzieżowa reprezentacja U-21 grała z Hiszpanią (to była ta kadra, w której występował m.in. Bojan Krkić), język dał mi możliwość swobodnej komunikacji. Nie ma co się oszukiwać: znajomość języków obcych jest niesamowicie ważna w tej pracy.

Oczywiście sama znajomość języka to nie wszystko – nie zastąpi innych kompetencji – ale na pewno jest ogromnym plusem. Choć oczywiście trudno jest mi przekazać uniwersalne rady, bo niezmiennie się uczę to pierwsze, co przychodzi mi do głowy, to właśnie: uczenie się języków. Uważam, że jeśli ktoś ma smykałkę do pracy w mediach – nie tylko sportowych, ale jakichkolwiek – to ją ma, bo tego fachu w pewnym sensie nie da się wyuczyć od zera, trzeba mieć pasję. Natomiast języków można się nauczyć i one naprawdę bardzo, bardzo pomagają. Otwierają mnóstwo drzwi. Wiem to z autopsji i stale tego doświadczam.

Pasja i wyzwania

Mateusz Prokopiak: Gdybyś miała w jednym zdaniu – albo jednym słowem – określić swoje podejście do pracy w piłce, co by to było?

Maja Strzelczyk: Jedno słowo? Myślę, że pasja. Pewnie brzmi to banalnie, ale gdybym nie lubiła tego, co robię – gdybym nie interesowała się piłką, sportem ogólnie i ludźmi – być może nawet mogłabym tę pracę wykonywać, ale na pewno nie z takim efektem i nie z taką przyjemnością, jak teraz. Pasja to w moim odczuciu klucz do wszystkiego. Oczywiście nie chcę tu wyskakiwać z banałem, że „rób to, co kochasz, a nie przepracujesz ani dnia”, bo to nieprawda – każda praca, nawet wymarzona, wymaga wielu wyrzeczeń. Nasza również. Ale koniec końców daje niesamowitą satysfakcję. Na koniec dnia człowiek czuje, że robi coś, co go spełnia. Miałam w swojej drodze momenty trudne: jeździłam non stop na mecze, omijały mnie różne prywatne wydarzenia – wiesz, weekendy to jest ten czas, gdy „normalni” ludzie mają wolne, a ja wtedy pracowałam. Było zimno, czasem coś się nie udawało, bywał stres i nawet łzy. Niejednokrotnie naprawdę bardzo mi się nie chciało ruszać w trasę, szczególnie gdy pogoda dawała w kość. Ale potem, gdy już wykonałam swoją pracę, uczucie satysfakcji było nieporównywalne z niczym innym. To wszystko dzięki pasji. Dzięki niej trwam w tym zawodzie i wciąż chcę się rozwijać. Apetyt rośnie w miarę jedzenia – teraz, żeby poczuć taką satysfakcję jak na początku, potrzeba mi znacznie więcej. Ale to dobrze, to naturalny proces. Pasja sprawia, że człowiek chce iść dalej, robić więcej.

„Po wykonanej pracy uczucie spełnienia jest nieporównywalne z niczym innym.”

Mateusz Prokopiak: Co w pracy reporterskiej w terenie jest dla Ciebie najbardziej wymagające? Mam na myśli takie czysto techniczne czy fizyczne aspekty: choćby niesprzyjająca pogoda, czy świadomość, że za chwilę masz wejście na żywo i wszystko pójdzie w świat bez powtórki?

Maja Strzelczyk: Akurat pracę na żywo bardzo lubię. Towarzyszy jej adrenalina i zupełnie inny poziom koncentracji. Zauważyłam, że kiedy czasem zdarza się nagrać coś wcześniej (bo przy dużych transmisjach nie zawsze wszystko da się puścić na żywo i czasem jakiś wywiad czy wejście nagrywa się parę minut przed anteną), to świadomość możliwości powtórki obniża poziom skupienia. Jest mniejsza presja i stres – ale paradoksalnie efekt końcowy bywa gorszy niż na żywo. Gdy pracujesz na żywym organizmie, w bezpośredniej transmisji, nie ma odwrotu. Jeśli masz doświadczenie, wiesz, że świat się nie zawali, gdy się przejeźdzysz czy popełnisz drobną pomyłkę. Jeśli jesteś przygotowana, to żadna kardynalna pomyłka raczej Ci się nie zdarzy, a nawet jeśli – umiesz z niej wybrnąć. Wiesz, że to nie wynika z Twojego nieprzygotowania, tylko z czynników losowych. To nie jest tragedia, świat się nie kończy – i tak sobie to tłumaczysz. Dlatego po tylu latach mam już wysoką adrenalinę przed każdym wejściem, ale nie odczuwam paraliżującego stresu. Tuż przed wywiadem czy „wejściem” serducho zawsze mocniej bije – nigdy nie mierzyłam tętna, ale na pewno skacze (śmiech). Organizm zaczyna pracować na najwyższych obrotach. Jednak ta adrenalina jest przyjemna, bo wiesz, że nagrodą będzie satysfakcja po udanej transmisji. Jeśli chodzi o nieprzyjemne strony, to na pewno pogoda. Może zabrzmiałoby to banalnie – w końcu wszystkich czasem złapie deszcz czy mróz – ale uwierz mi, praca na dworze w ekstremalnych warunkach bywa ciężka. Zrobić notatki w ulewie albo wytrzymać na mrozie, nie myśląc o tym, że marzną Ci palce... to jest wyzwanie. Dziś jest łatwiej niż kiedyś: stadiony są lepiej wyposażone, a i my mamy swoje patenty – ogrzewacze do butów, do rąk, ubrania termiczne. Technologia pomaga, tak jak i mi odmieniła życie na nartach (śmiech). Ale nadal czasem nawet najlepszy sprzęt nie wystarczy. Czasami również kwestie techniczne przeszkadzają w komforcie pracy. Bywa, że stracisz łączność z bazą – np. przestajesz słyszeć reżyserkę w słuchawce. Nikt nie zawinął, po prostu pracujemy na różnych stadionach, w różnych krajach i warunkach, i takie rzeczy się zdarzają. Wtedy trzeba stanąć na wysokości zadania i zachowywać się, jakby wszystko było okej, nawet jeśli Ty nagle nie słyszysz nic w odsłuchu. Ale to są, powiedziałabym, wkalkulowane niedogodności. Jeśli pytasz, co bywa najtrudniejsze, to wielu osobom przeszkadzałoby chyba po prostu brak regularnego życia domowego. Kiedy ma się bardzo dużo wyjazdów, cierpi życie prywatne. Jedni muszą organizować opiekę do dzieci, inni – do zwierzątek. Ciągłe wyjazdy nie wszystkim pasują. Jesteśmy młodzi, więc pozornie powinniśmy to łatwo znosić, ale ciągłe podróże prędzej czy później odbijają się na zdrowiu. Niewyspanie, kłopoty z bieganiem po lotniskach... Dlatego nie raz po takich weekendach korzystam z pomocy osteopaty. Ale umówmy się – w wielu zawodach są takie minusy. Ktoś, kto siedzi po 10 godzin dziennie przy komputerze, też ma trudno. Ryzyko zawodowe – i tyle. W gruncie rzeczy uważam, że nasza praca i tak jest pod tym względem trudna w porównaniu z wieloma innymi.

Mateusz Prokopiak: A co najbardziej przeszkadza Ci podczas samej transmisji? Coś, co obniża komfort Twojej pracy w dniu meczu?

Maja Strzelczyk: Czasami... logistyka stadionu. Już tłumaczę, o co chodzi. Gdy jadę na jakiś mecz, zwłaszcza międzynarodowy – powiedzmy Liga Mistrzów albo mecz kadry na wielkim stadionie – często jest tak, że reporter ma swoje miejsce na trybunie i jednocześnie musi zdążyć na murawę albo do strefy wywiadów na końcówkę meczu. I tu zaczyna się bieżanina. Na niektórych stadionach organizacja jest kiepska: żeby się dostać z trybuny na poziom boiska, trzeba wyjść wcześniej.

Czasem żeby dotrzeć do flash-zony, muszę wyjść przed ostatnim gwizdkiem. Schodzę z trybuny, lecę do windy... No i oczywiście wtedy los potrafi spłatać figla – pada gol w doliczonym czasie! Miałam takie sytuacje nawet w Ekstraklasie, ba – w 1. lidze. Jeśli akurat jestem w windzie albo kluczę pod trybunami, to nie widzę bramki. Nie słyszę komentara, tracę łączność. Jak nie zerkam akurat na tablicę z wynikiem, to mogę przegapić zmianę rezultatu. To brzmi nieprawdopodobnie – „jak to, nie wiesz, że padł gol?” – ale naprawdę nikt Cię o tym nie poinformuje, jeśli sam tego nie ogarniesz. My, reporterzy, nie mamy podglądu akcji jak w VAR, nie nosimy minitelowizorów ze sobą. Czasami osoby ze sztabu pytają nas, czy np. była ręka w polu karnym – a ja widzę tyle co oni, albo i mniej (śmiech). Cudów nie ma. Jedyne, co mogę zrobić, to szybko skontaktować się przez telefon z kimś od nas i zapytać, co komentatorzy powiedzieli o tej sytuacji. I tę wiedzę ewentualnie przekazać trenerowi w wywiadzie pomeczowym. Nic więcej. To na pewno utrudnia życie. W idealnym świecie życzyłabym sobie unikać takich pielgrzymek z trybuny pod murawę, żeby nie tracić łączności i niczego nie przeoczyć – bo przecież końcówki spotkań bywają najbardziej kluczowe, a nas czasem omijają. No ale cóż, tak bywa i musimy sobie radzić. Nie narzekam, bo rozumiem, że inaczej się nie da. Ale przyznam, że nieraz w duchu mówię: „serio, gol akurat wtedy, gdy na pół minuty spuściłam wzrok z boiska?” (śmiech).

Kulisy telewizyjnej pracy

Mateusz Prokopiak: Kibice widzą efekt końcowy – Twoje wejście na antenę, gotowy wywiad, rozmowę w studiu. A co dzieje się powiedzmy na pół godziny przed Twoim wejściem na wizję? Jak wygląda Twój czas tuż przed anteną?

Maja Strzelczyk: Ogólnie rzecz biorąc, jeśli mówimy o pracy reporterskiej przy meczach (bo praca w studio telewizyjnym rządzi się trochę innymi prawami), to na stadionie trzeba być minimum dwie godziny przed transmisją. Rozmowy z trenerami przedmeczowe nagrywamy dużo wcześniej – widzowie mogą nie zdawać sobie sprawy, ale trener pół godziny przed meczem to już jest myślami gdzie indziej i raczej nie ma czasu na wywiady. Wszystko więc musi być gotowe z wyprzedzeniem. W gotowości jesteśmy sporo przed meczem i przez ten czas... w zasadzie niewiele się pozornie dzieje, bo większość zadań jest już zaplanowana. Po prostu wszystko dogrywamy z wydawcą transmisji – każda transmisja ma nieco inny scenariusz, inne elementy. Czekamy na sygnał, kiedy wchodzimy na antenę. Cały czas jednak jesteśmy pod prądem. Nie da się wyluzować, bo sytuacja bywa dynamiczna. Zdarzają się może mecze proste, gdzie nagrasz, co trzeba i potem czekasz do gwizdka, ale częściej bywa różnie. Teraz, w TVP, pokazujemy bardzo dużo różnych rozgrywek i każdy ma swoją specyfikę. Inaczej wygląda nasza praca przy meczu PKO BP Ekstraklasy, inaczej przy Lidze Mistrzów, jeszcze inaczej na zgrupowaniu reprezentacji. Weźmy kadrę narodową – wtedy na stadionie jesteśmy niemal cały dzień. Jest studio przedmeczowe na YouTube, są wywiady na bieżąco... ciągle coś się dzieje. Nie chcę wchodzić w nadmierne szczegóły, ale generalnie to, co widzisz na antenie, to jest już ukoronowanie długich przygotowań. Przygotowania zaś polegają na tym, że jeśli nawet prowadzisz studio, to musisz zaprosić gości, zgrać ich obecność czasowo, przygotować z wydawcą scenariusz, przemyśleć pytania, grafiki, materiały wideo do zagrania. Widzisz przecież nieraz w studiu mnóstwo elementów: łączenia z reporterami w różnych miejscach, wywiady nagrane wcześniej, analizy wideo, ciekawostki statystyczne. Ktoś to wszystko wymyśla i układa. Reporterzy na stadionach łączą się z nami na żywo, czasem nagrywają coś wcześniej, co emitujemy – aktywności jest naprawdę sporo. Kluczowe jest też przygotowanie merytoryczne do meczu. Nawet jeśli reporter ma być tylko chwilę na antenie, to musi poświęcić wiele godzin, żeby się przygotować. Jeśli poważnie podchodzi do swojej pracy,

to chce wiedzieć, co się dzieje. Przykład: wiem, że za tydzień mam mecz Betclit 1. ligi, więc przez ten czas staram się śledzić pierwszą ligę, żeby być na bieżąco. Jak mam PKO BP Ekstraklasę – śledzę Ekstraklasę. Ligi zagraniczne – podobnie. Kadre – obserwuję kadrowiczów w klubach. W praktyce musisz śledzić prawie wszystko, choć oczywiście nie da się dosłownie wszystkiego, więc trzeba mieć strategię. Rozplanować sobie pracę tak, by być na bieżąco akurat z tym tematem, który będzie na tapecie danego dnia. Do tego dochodzi własny research – telefony, które wykonujesz, wywiady i artykuły, które czytasz, konferencje prasowe, które oglądasz. Każdy ma swój styl pracy, ale mogę zdradzić, że przygotowanie do jednego meczu potrafi zająć naprawdę wiele godzin.

Mateusz Prokopiak: To prawda. Jeśli ktoś pracuje tylko przy jednej lidze, np. ciągle komentuje PKO BP Ekstraklasę, to chłonie ją na bieżąco i jest mu łatwiej – może skupić się na smaczkach, ciekawostkach. Ale gdy masz na głowie PKO Ekstraklasę, Betclit 1. ligę, kadre i Ligę Mistrzów na raz, to nie sposób wszystkiego śledzić w 100%.

Maja Strzelczyk: Otóż to. Dlatego wtedy trzeba obrać odpowiednią strategię – i to, siłą rzeczy, jest bardziej czasochłonne. Ja czasem mam tydzień, gdzie codziennie jest inna liga czy rozgrywki. W poniedziałek magazyn o PKO BP Ekstraklasie, we wtorek studio Ligi Mistrzów, w piątek Betclit 1. Liga. Nie było takiej sytuacji dosłownie, ale bywa blisko (śmiech). W każdym razie w tej pracy multitasking merytoryczny to spore wyzwanie.

Sztuka wywiadu na żywo

Mateusz Prokopiak: Chciałbym zapytać o wywiady na żywo. Jakie pytania NIE powinny paść w takiej rozmowie przed kamerą? Czy są tematy tabu, których lepiej nie poruszać, nawet jeśli „wiszą w powietrzu”?

Maja Strzelczyk: Nie powiedziałabym, że istnieje uniwersalne tabu – każdy klub czy rozmówca może mieć swoje czułe punkty. Natomiast ja przyznam, że nikt nigdy nie naciskał na mnie, bym jakiegos tematu nie poruszała. Z redakcji nigdy nie dostałam instrukcji: „o to nie pytaj”. Bardziej to we własnej głowie musisz wiedzieć, jak zadać trudne pytanie, żeby rozmówca Ci nie uciekł sprzed mikrofonu albo się nie obraził. Czyli przede wszystkim: nie zaczynać od kontrowersji. Najpierw trochę rozmówcę „rozgrzać”, zyskać jego zaufanie, a dopiero później – najlepiej pod koniec wywiadu – w taktowny sposób ugryźć trudny temat. Wiadomo, że są po prostu kiepskie pytania, których zadawać nie warto. Ale jeśli mówimy o poważnych tematach, to ja wychodzę z założenia, że od tego jesteśmy, by pytać, a nie udawać, że czegoś nie ma. Oczywiście w telewizji sportowej nie poruszamy tematów religii czy polityki – bo po co, kiedy skupiamy się na meczu. Ale jeśli jest trudny wątek sportowy, to trzeba umieć go podjąć. Może ktoś nie będzie chciał odpowiedzieć – ma prawo. Naszym zadaniem jest jednak spróbować. Nam przecież zależy, by wydobyć od rozmówcy konkrety, więc czasem trzeba okiełznać,

sprytnie – ale pytać. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek musiała uciekać od jakiegoś pytania. Czasami widzowie zarzucają dziennikarzom, że coś przemilczeli, ale moim zdaniem to rzadko wynika z tchórzostwa czy autocenzury. Raczej z tego, że wiemy, iż i tak nie dostaniemy odpowiedzi. Jeśli selekcjoner kadry z góry zapowiada, że nie będzie komentował jakiejś decyzji, to można oczywiście zapytać – ale on i tak powie swoje, a my stracimy cenny czas antenowy. Czasem więc nie warto, zwłaszcza gdy sprawa jest świeża i wiadomo jak wpłynie na rozmówcę. Generalnie jednak staram się niczego nie zamykać pod dywan.

Mateusz Prokopiak: Zdarzają się też trudni rozmówcy. Pamiętam wywiad z Ilją Shkurinem, wtedy już napastnikiem Legii, który dość niechętnie odpowiadał na pytania reportera Canal Plus. Czy przed wywiadem starasz się zdobyć informacje, który zawodnik chętnie rozmawia, a którego lepiej unikać na żywo?

Maja Strzelczyk: Zawsze, zawsze tak robię. Nie da się osobiście znać wszystkich zawodników w PKO BP Ekstraklasie czy Betclit 1. lidze, gdzie ta rotacja jest duża. Możesz ich kojarzyć z boiska, ale nie wiesz, jak wypadają w rozmowie. Zatem za każdym razem, zanim wybiorę rozmówcę, podpytuję ludzi z klubu – rzecznika, kogoś ze sztabu, kogo tylko znam. Pytam: który z tych dwóch jest bardziej wygadany?, który chętniej mówi, a który jest mrukiwy?, czy ten zawodnik lubi takie a takie tematy, czy raczej lepiej nie brnąć? Dostajesz wtedy cenne wskazówki. Po to robisz research, żeby uniknąć wpadki. Czasu antenowego jest mało, więc szkoda go marnować na „wyciąganie słów z gardła”. Jeśli wiem z góry, że ktoś jest małomówny albo w złym humorze, to wolę poprosić o wywiad kogoś innego. Albo przygotować inne pytania, żeby go ożywić. To wszystko jest częścią przygotowań. Gdy mam potwierdzone informacje, że pewnego tematu na pewno nie ugryzę, bo nic z tego nie będzie – to szukam innej drogi. Albo próbuję pytanie zadać inaczej, jeśli mocno wierzę w swoją siłę perswazji (śmiech). Generalnie jednak wolę pytać o rzeczy, na które mam szansę uzyskać odpowiedź. Jeśli wiem, że dany piłkarz nie jest rozmowny, to potem nie mam rozczarowania – bo byłam przygotowana, a nie zawsze jest plan B.

Kobieta w świecie futbolu

Mateusz Prokopiak: Czy masz czasem poczucie, że jako kobieta w świecie piłki nożnej musisz być bardziej przygotowana niż mężczyzna, żeby być traktowana na równi przez odbiorców?

Maja Strzelczyk: Szczerze? Nie wydaje mi się. Oczekiwania wobec nas są podobne, ale paradoksalnie uważam, że w pewnych aspektach jest mi łatwiej. Mam wrażenie, że od mężczyzn w tej branży wymaga się – nie wiem, czy takie słowo istnieje – „wszystkowiedza”. Kibice czy widzowie są chyba mniej wyrozumiali na pomyłki panów. A ja mam takie podejście: od tego są pytania, żeby się czegoś dowiedzieć. Nie muszę wiedzieć wszystkiego i nie udaję, że wiem. Piłka nożna czy sport nie są tylko dla ekspertów. Często wpadamy w pułapkę myślenia: „a, to już gdzieś było powiedziane, więc nie ma sensu o to pytać”. A skąd pewność, że nasz widz o tym słyszał? Naszym zadaniem jest czasem powtórzyć rzecz oczywistą, bo dla kogoś innego może ona wcale oczywista nie być. Ja jestem od zadawania pytań – mam prawo czegoś nie wiedzieć. Oczywiście nie mam prawa głosić nieprawdy czy powielać plotek. Muszę weryfikować informacje i być rzetelna. Ale naprawdę nie czuję, żebym



miała trudniej tylko dlatego, że jestem kobietą. Konkurencja wśród mężczyzn w mediach sportowych jest znacznie większa, bo mężczyźni w tym zawodzie jest po prostu więcej. Więc im, paradoksalnie, nie ułatwia to zadania. A ja... Może to zabrzmiało mało feministycznie, ale mam odmienne zdanie niż ci, którzy mówią, że kobiecie jest trudniej. Ja uważam, że bycie kobietą może być atutem – to korzystać, z której nauczyłam się korzystać. Nie jestem i nie muszę być „ekspertem od wszystkiego”. Jestem dziennikarką (i to z wykształcenia nawet nie dziennikarką, tylko z zawodu). Wymagam od siebie pełnego przygotowania, jasne – ale od bycia alfą i omegą są eksperci, których mamy w redakcji znakomitych. To ich zaprasza się do studia czy do komentarza, bo to oni mają przedstawiać widzom tę najgłębszą, specjalistyczną wiedzę. Ja mam wydobyć z nich tę wiedzę i przekazać ją widzom. I to mi wystarcza.

„Nie uważam, żebym jako kobieta miała trudniej – przeciwnie, to atut, z którego umiem korzystać.”

Edukacja zamiast dziennikarstwa

Mateusz Prokopiak: Wspomniałaś, że nie kończyłaś studiów dziennikarskich. Zresztą jak się przejrzy czołówkę polskich dziennikarzy sportowych, to większość z nich też nie ma dyplomu z dziennikarstwa. Jaki kierunek studiowałaś i czy pomógł Ci on w pracy?

Maja Strzelczyk: To prawda, w naszym środowisku jest wiele ścieżek edukacji. Ja po maturze nawet niespecjalnie miałam sugestie, żeby iść na dziennikarstwo. Skończyłam filologię hiszpańską, a potem jeszcze kognitywistykę – taki interdyscyplinarny kierunek łączący psychologię, neurobiologię i nauki o poznaniu. To były najlepsze studia, jakie mogłam wybrać. Wiedziałam, że mi pomogą w życiu i w pracy – i rzeczywiście pomagają na co dzień. Co więcej, nie poprzestałam na tym: całkiem niedawno ukończyłam jeszcze studia podyplomowe z psychologii sportu, aby jeszcze lepiej poznać ten świat. Udało mi się ją obronić w zeszłym roku.

Mateusz Prokopiak: Gratulacje! Chyba jestem pierwszą osobą, której publicznie o tym mówisz.

Maja Strzelczyk: (śmiech) Chyba faktycznie jeszcze nigdzie o tym nie mówiłam. No to masz newsa. Ale tak serio – ta podyplomówka była dla mnie bardzo ważna i cieszę się, że ją zrobiłam. Kognitywistyka i psychologia sportu mocno się uzupełniają, bo kognitywistyka w dużej mierze opierała się na neurobiologii, na zrozumieniu procesów zachodzących w mózgu. A że ja ze sportem jestem tak związana, to taka wiedza psychologiczna na pewno mi się przyda. I nie myliłam się – już widzę, że to procentuje.

Mateusz Prokopiak: W pracy dziennikarskiej też w sumie psychologia się przydaje, prawda? Bo polega na rozmowie z ludźmi – a do tego potrzebne są umiejętności miękkie, pewna wiedza o człowieku.

Maja Strzelczyk: No właśnie. Moje studia może nie były dziennikarskie, ale bardzo mi pomogły, także w tym zawodzie. Nauczyły mnie patrzeć szerzej, rozumieć różne perspektywy. A co do umiejętności miękkich – pewne cechy trzeba po prostu mieć, a pewnych rzeczy można się nauczyć. Psychologia choćby w minimalnym stopniu powinna być znana każdemu, kto pracuje z ludźmi. Ja czuję, że ta wiedza procentuje podczas wywiadów czy nawet budowania relacji zawodowych.

Audiochwile - podcast Mai Strzelczyk, w którym zupełnie niepiłkarsko przybliżyła nam wyjątkowych ludzi z różnych dziedzin życia

Powrót na Podkarpacie

Mateusz Prokopiak: Jakie to uczucie, przyjechać do Mielca już w roli dziennikarki sportowej na mecz? Co Cię uderza najbardziej, gdy pracujesz na dobrze znanym Ci stadionie jako reporterka?

Maja Strzelczyk: (uśmiech) O pizzy już mówiłam... A tak serio, chyba właśnie ten ludzki klimat. Twarze wielu kibiców w Mielcu są mi znajome albo okazuje się, że ktoś jest znajomym moich znajomych – Podkarpacie to mały świat. Z trybun nieraz ktoś mnie zawołał, zagadał, czasem okazywało się, że to kolega kuzyna czy sąsiad babci. Taki stadionowy folklor zawsze mnie cieszy i wywołuje uśmiech na twarzy. Uwielbiam to poczucie, że jestem u siebie. Inaczej się pracuje, gdy obok jest rodzina, przyjaciele z dawnych lat, kibice, których rozpoznaję. Te emocjonalne więzi z miejscem dodają mi energii. Mielec to dla mnie nie jest anonimowy wyjazd – to powrót do domu.

Radości i frustracje

Mateusz Prokopiak: Co Cię obecnie w piłce najbardziej cieszy, a co – przeciwnie – frustruje z perspektywy dziennikarki?

Maja Strzelczyk: Najbardziej frustruje mnie czasem nasza niemoc dotarcia do pewnych informacji czy ludzi. Rozumiem to, ale mnie, jako reporterkę, potrafi to boleć. Mam na myśli coraz bardziej ograniczony dostęp do zawodników, do szatni, do zakulisowych spraw. Wiele rzeczy jest objętych kontrolą i kontraktami w klubach, sztaby są rozbudowane, polityka informacyjna szczelna. Wszystko natychmiast trafia do Internetu, więc kluby pilnują przekazu. W efekcie ciężko nieraz porozmawiać z piłkarzem czy trenerem szczerze, wprost, bo wielu rzeczy oficjalnie się nie powie, żeby się nie narazić. Rozumiem to – ale z perspektywy dziennikarza czasem bywa frustrujące, gdy chciałbyś zrobić świetny materiał, a ograniczenia są nie do przeskoczenia. Na szczęście w Polsce nadal mamy stosunkowo łatwiej niż za granicą. U nas piłkarze są bardziej dostępni, bardziej otwarci. Mimo to widać i u nas tę tendencję chowania ich pod kloszem.

Mateusz Prokopiak: A największa radość?

Maja Strzelczyk: Największą radość sprawia mi chyba... sama piłka. To, że wciąż autentycznie pasjonuję się tym sportem. Lubię, kiedy stadion wrze emocjami, lubię wielkie widowiska i te małe mecze też. A drugą rzeczą są ludzie – to, że dzięki tej pracy spotkałam tylu fantastycznych ludzi z różnych miejsc świata. Niektóre znajomości z boiska przerodziły się w znajomości prywatne. Czasem jadę na drugi koniec Europy, a tam podchodzi ktoś, kto mnie poznaje i serdecznie zagaduje. Te momenty uświadamiają mi, jak bardzo ten sport łączy ludzi.

Lekcje od ludzi

Mateusz Prokopiak: Przeprowadziłaś setki wywiadów, poznałaś tysiące osób. Jaka najważniejsza rzecz wynika z tych wszystkich doświadczeń? Czego nauczyłaś się o ludziach, pracując w mediach sportowych?

Maja Strzelczyk: Hmm... To trudne pytanie, bo życie uczy o ludziach wielu rzeczy, nie tylko wywiady (uśmiech). Na pewno utwierdziłam się w jednym: że nie liczy się metka piłkarza czy trenera,



tylko człowiek. Niezależnie od tego, w jakim klubie ktoś gra, ile zarabia, jak wielkie sukcesy ma – na końcu dnia to zwykły człowiek. I od jego charakteru zależy, jaki będzie dla Ciebie. Mam w pracy kontakt zarówno z zawodnikami z topowych lig, gwiazdami, jak i z piłkarzami pierwszoligowymi czy trenerami w niższych ligach. I wcale nie jest tak, że w “lepszach” klubach trafisz na zadufanych arogantów. Często jest odwrotnie: im wyższy poziom sportowy i życiowy ktoś reprezentuje, tym wyższą kulturę osobistą prezentuje. Oczywiście bywa różnie – niektórzy są odporni na sławę i pieniądze i pozostają sobą, a inni nie. Ale naprawdę zauważyłam, że największe gwiazdy potrafią Ci poświęcić czas i okazać szacunek dla Twojej pracy, choć wcale nie muszą. Ich praca jest inna, ich zarobki są niebotyczne, ich motywacje – również inne. A mimo to wielu z nich podchodzi do nas, dziennikarzy, z ogromną serdecznością i szacunkiem. Mnie czasem najbardziej boli brak tego szacunku. Ja też jestem w pracy, też wykonuję swój zawód i oczekuję respektu wobec mojej pracy. Nie wszyscy to rozumieją. Na szczęście trafiam też na osoby, które w pełni to szanują – i często są to właśnie ci wielcy. Dzięki nim nabieram znów wiatru w żagle, a tych, którzy mnie kiedyś zlekceważyli, odkładam mentalnie na półkę pod tytułem “czarna lista”. Choćby się chciało tego uniknąć, każdy z nas ma gdzieś tam taką listę w głowie... Im ktoś bardziej emocjonalny, tym trudniej zapomnieć urazy. Ja, będąc kobietą, może bardziej przeżywam pewne zadry. Jeśli ktoś mnie zlekceważył, nie dotrzymał danego słowa czy potraktował nie fair, to pamiętam o tym. Staram się jednak pielegnować w sobie przede wszystkim te dobre doświadczenia – bo one napędzają, zamiast zniechęcać.

Mateusz Prokopiak: Wspominałaś też kiedyś, że umawianie gości na wywiady to osobna bajka. Że bywa ciężko, ludzie odwołują, zapominają...

Maja Strzelczyk: Oj tak. Słowność w świecie show-biznesu (a sport jednak ociera się o show-biznes) to pojęcie względne. Nauczyłam się nie obrażać na to, bo sama czasem o czymś zapomnę – jesteśmy tylko ludźmi. Mnie się potem śni po nocach, albo budzę się późno w nocy bo przypomniałam sobie, że o kimś zapomniałam (śmiech). Ale doceniam ogromnie ludzi słownych – tych, którzy sami pamiętają o umówionej rozmowie, dotrzymują terminów, szanują Twój czas. To bardzo dużo mówi o człowieku.

Sukcesy i satysfakcje

Mateusz Prokopiak: Jaki moment swojej kariery uważasz za największą dotychczasową satysfakcję? Gdybyś miała wybrać jeden sukces zawodowy, to...?

Maja Strzelczyk: O nie, nie da się wybrać jednego! (śmiech) Naprawdę, na przestrzeni lat inaczej mierzy się sukcesy. Na początku cieszyłam się z rzeczy, które dziś wydają się małe. Pamiętam, że swój debiut antenowy traktowałam jak wielki sukces – i wspaniałe przeżycie. Potem był pierwszy samodzielnie poprowadzony magazyn czy studio w Canal+ – znowu ogromna radość i duma. Pierwszy wyjazd na El Clásico – coś niesamowitego dla mnie, bo przecież oglądałam piłkarzy Barcy w telewizji od dziecka, a tu pojechałam robić z tego transmisję. Kiedy przeszłam do TVP, znowu pojawiło się mnóstwo nowych wyzwań: nowe programy, nowe formaty, jeszcze większa widownia. Każda nowa rzecz cieszyła i nadal cieszy. Teraz wiele z tych rzeczy się powtarza – już któryś raz prowadzę studio, któryś raz lecę na mecz kadry – więc człowiek do tego dojrzewa i te sukcesy definiuje inaczej. Nie da się wskazać jednego, bo każdy kolejny krok naprzód dawał mi poczucie ogromnego spełnienia. Może kiedyś powiedziałabym, że takim momentem była pierwsza rozmowa z Xavim. To akurat pamiętam do dziś, bo Xavi był jednym z moich piłkarskich idoli z dzieciństwa. Rozmowa z nim była niesamowita. Ale potem pojawiali się kolejni i kolejni wielcy

piłkarze, z którymi mogłam stanąć twarzą w twarz. W pewnym momencie przestałam traktować to w kategoriach „osiągnięcia” – raczej jako wspaniałą część mojej pracy.

Mateusz Prokopiak: Sebastian Staszewski w rozmowie dla naszego kwartalnika opowiadał, że piłkarze, których kiedyś miał na plakatach nad łóżkiem, później byli już jego rozmówcami i kolegami. Też masz takie poczucie, że Twoi dawni idole stali się po prostu ludźmi, z którymi rozmawiasz normalnie?

Maja Strzelczyk: Wiesz, ja chyba nigdy nie miałam aż tak, żeby chcieć się zaprzyjaźnić z piłkarzem-idolem. Sebastian mówił o kolegach – ja nie mam ciśnienia, by piłkarze stawali się moimi kolegami (śmiech). Mam swoich przyjaciół spoza futbolu i nie zależy mi na tym, żeby zbierać „znajomych” wśród zawodników. Wiadomo, na początku to jest ekscytujące, gdy spotykasz kogoś znanego, kogo podziwiałas jako nastolatka. Ale jest takie powiedzenie – chyba o muzykach – że czasem lepiej nie poznawać swoich idoli, bo można się rozczarować. Myślę, że w sporcie podobnie. Nie chcę sobie burzyć pomników. Nie po to chcę z kimś pogadać, żeby od razu się kumpłować. Zresztą czasem te doświadczenia są pozytywne i to bardzo. Ale bywa i tak, że poznasz kogoś za kulisami i czar prysnie – okaże się zupełnie inny, niż się jawił w mediach. Miałam parę takich sytuacji (poza sportem nawet – spotkałam kiedyś kilku znanych muzyków od kuchni i stracili w moich oczach, choć prywatnie byli dla mnie okej, to po prostu byli inni niż ich sceniczny wizerunek). To trzeba brać pod uwagę. Na szczęście bywa też odwrotnie: ktoś, kogo sobie wyobrażałam jako mniej sympatycznego, okazywał się świetnym, ciepłym człowiekiem. Generalnie staram się podchodzić do każdego normalnie. Jeśli już jakaś znajomość się zawiąże – np. z którymś piłkarzem złapię wspólny język na gruncie czysto ludzkim – to super, to na pewno ta sympatia pomaga w pracy, ale musi być ona po prostu naturalna.

Audiochwile – pasja poza sportem

Mateusz Prokopiak: Wspomniałaś o show-biznesie i muzyce... To dobry moment, by zapytać o Twój autorski projekt Audiochwile. Prowadzisz ten podcast, w którym rozmawiasz nie tylko o sporcie i nie tylko ze sportowcami. To dla Ciebie odskocznia od piłkarskiego świata?

Maja Strzelczyk: Zdecydowanie tak. Poniekąd dzięki Audiochwilom ludzie poznali inną odsłonę mnie, bo Ty i wielu widzów znacie mnie głównie z piłki, ze sportu – stamtąd się wywodzę i mam łatkę dziennikarki piłkarskiej. Ale sport to tylko jedna z moich pasji, jedna z wielu. W Audiochwilach mogę dać upust tym pozostałym pasjom – i dlatego kocham ten projekt. Pomysł na podcast zrodził się z tęsknoty za radiem, ponieważ brakowało mi kameralnych rozmów przy mikrofonie. Projekt powstał gdy odeszłam z Newonce i dołączyłam do Foot Trucka. Miał on na celu zapełnić tę radiową „dziurę”. Audiochwile dają mi zupełnie inne emocje niż praca w telewizji sportowej. To pasja i odskocznia w jednym. Ogromna frajda, ale i wyzwanie, bo obecnie już sama za wszystko odpowiadam. Jednak satysfakcja jest dzięki temu jeszcze większa. W Audiochwilach mogę zaprosić kogokolwiek uznaję za interesującego – często są to ludzie związani z muzyką, którą kocham, z filmem, dziennikarstwem, literaturą. Czasem oczywiście pojawiają się i osoby ze sportu, ale nie tylko. Byli aktorzy, pisarze, muzycy, trenerzy, dziennikarze... Pełna różnorodność. Rozmawiam z nimi o życiu, pasjach, drodze twórczej – o wszystkim, co mnie ciekawi. Nawet jeśli zapraszam kogoś z branży, która mnie osobiście mniej interesuje, to fascynuje mnie fakt, że ten ktoś odnosi sukcesy w swojej dziedzinie. Uwielbiam to eksplorować. Chyba taka już moja natura – ciekawią mnie ludzie z pasją, niezależnie od branży. Audiochwile to taki mój mały skarb. Bardzo bym chciała, żeby ten projekt się rozwijał. Oczywiście, mając autorskie hobby obok etatowej pracy, nie jest łatwo – czasu zawsze brak. Ale dopóki sprawia mi to ogromną radość, dopóty będę to ciągnąć. Rozmowa z ciekawym człowiekiem – czy to o muzyce, czy o sporcie, czy o życiu – daje mi masę energii. To mnie poszerza horyzonty, rozwija, czasem inspiruje też do głównej pracy. Same plusy, minusów brak (uśmiech).

Mateusz Prokopiak: Na koniec naszej rozmowy dokończ zdanie: „Rok 2026 dla Mai Strzelczyk będzie...”

Maja Strzelczyk: Wspaniały. Kropka!

Mateusz Prokopiak: Kropka. (śmiech) Tego Ci życzę i bardzo dziękuję za rozmowę.

Maja Strzelczyk: Dziękuję również serdecznie. Wszystkiego dobrego!



Wywiad przeprowadził

Mateusz Prokopiak
FKS Stal Mielec

X @m_prokopiak

REPORTEREM JEST SIĘ PRZEZ *CAŁE ŻYCIE*

Sebastian Staszewski to publicysta sportowy z niemal dwudziestoletnim doświadczeniem, pracujący dla największych redakcji w Polsce. Autor bestsellerowej biografii *Lewandowski. Prawdziwy*, dzieli się swoimi spostrzeżeniami na temat blasków i cieni dziennikarstwa sportowego. W rozmowie z Mateuszem Prokopiakiem opowiada m.in. o tym, jak zmieniło się jego spojrzenie na sport przez lata pracy, jakie wyzwania napotkał kierując redakcją TVP Sport, dlaczego kluby powinny otworzyć się na media oraz jak narodził się pomysł napisania głośnej książki o Robertcie Lewandowskim.

Reporter z krwi i kości

Mateusz Prokopiak: Jak definiujesz swoją obecną rolę w dziennikarstwie sportowym? Jesteś reporterem, redaktorem, publicystą, a może pisarzem?

Sebastian Staszewski: Reporterem jestem od prawie 20 lat i to się nie zmienia, ponieważ bycie reporterem to nie praca, a natura człowieka. Zawsze lubiłem ludzi, lubiłem z nimi rozmawiać, podróżować, szukać newsów, przeżywać przygody – wydaje mi się, że to właśnie powinno cechować prawdziwego reportera. Zresztą taki zestaw cech bardzo pomaga podczas tworzenia dłuższych form, na przykład książki. A kim jestem teraz? Napisałem już trzy książki i po sukcesie *Prawdziwy* pojawiło się kilka kolejnych propozycji, więc na pewno rola pisarza będzie mi coraz bliższa. Ale nie wyobrażam sobie, aby nie pojawiać się wciąż na stadionach, gdzie rozgrywane są nie tylko mecze Ekstraklasy czy reprezentacji, ale i 1. Ligi.

Mateusz Prokopiak: Na przestrzeni tych lat co się w Tobie zmieniło najbardziej?

Sebastian Staszewski: Nie przytyłem szczególnie, nie urosłem (śmiech). Myślę jednak, że pod względem zawodowym dojrzałem, a wpłynęły na to doświadczenia zawodowe. Miałem możliwość spojrzenia na świat z różnych perspektyw: pracowałem na planach dwóch filmów fabularnych, byłem dyrektorem w TVP Sport, zaliczyłem kilka turniejów, napisałem książki, które okazały się bestsellerami. To wszystko wpłynęło na mój rozwój. Ale jako człowiek niewiele się zmieniłem. Najbardziej cieszę się z tego, że cały

czas mam dużą ciekawość świata, frajdę z rozmawiania z ludźmi i chęć poszukiwania historii.

Mateusz Prokopiak: Ale patrzysz teraz trochę inaczej na sport niż 10 lat temu?

Sebastian Staszewski: Nie, patrzę zupełnie inaczej. Kilkanaście lat temu patrzyłem na ludzi piłki jak na gwiazdy, herosów, plakaty na ścianie. Pamiętam, jak w 2007 roku pojechałem na zgrupowanie Legii w Mrągowie obejrzeć mecz towarzyski. Z tamtego dnia mam zdjęcia z Marcinem Burkhardtem, Rogerem Guerreiro, Dariuszem Wdowczykiem, z Łukaszem Surmą. Wtedy byłem tylko kibicem, a niedługo później oni wszyscy byli już moimi znajomymi. Kiedyś Krzysztof Stanowski powiedział, że im dłużej jesteś w tym zawodzie, tym mniej kibicujesz klubom, a bardziej kibicujesz ludziom. I ja właśnie mam ten etap: lubię ludzi niezależnie od tego, gdzie pracują. Niezależnie czy jestem na stadionie Jagiellonii, Lecha czy Stali – wszędzie czuję się równie dobrze jak w Warszawie. Bo jeżeli ludzie są fajni, to warto z nimi utrzymywać kontakt niezależnie od tego, gdzie pracują. To się bardzo przydało przy książce *Lewandowski. Prawdziwy*, bo nie ukrywam, że o pomoc w dotarciu do największych nazwisk światowego futbolu prosiłem właśnie znajomych. Czy to Dariusz Mioduski pomógł mi z Karlem-Heinzem Rummenigge, Łukasz Podolski – z Thomasem Müllerem, czy właściciel Radomiaka Radom – Grzegorz Gilewski – z Ivanem Perišićem. Różne kluby, różne osoby, ale pomogły mi w tym samym celu – to dobry przykład. I chyba największa zmiana jaka zaszła we mnie jeśli chodzi o postrzeganie branży.

Dziennikarstwo: wpływ i kondycja

Mateusz Prokopiak: A czy nie uważasz, że dziennikarstwo teraz to już nie jest takie dziennikarstwo,



które tylko opisuje sport, tylko dziennikarstwo, które realnie wpływa na wydarzenia i na to, co się dzieje w sporcie?

Sebastian Staszewski: Myślę, że zawsze tak było. Moja ukochana książka, Wszyscy ludzie prezydenta Carla Bernsteina i Boba Woodwarda, opisuje pracę w Washington Post przy aferze Watergate, gdzie dziennikarstwo realnie wpłynęło na to, co się wydarzyło w amerykańskiej polityce i po części doprowadziło do zmiany prezydenta USA. Zawsze dziennikarstwo miało duży wpływ na rzeczywistość. Przypominam sobie też „Listę Fryzjera”, którą w Przeglądzie Sportowym opublikowali Roman Kołtoń i Antek Bugajski – przecież ona też bardzo mocno wpłynęła na rzeczywistość. Kiedyś nie było mediów społecznościowych, więc media tradycyjne miały ogromną moc. Teraz jej część zabrały właśnie social media. Dzięki nim ludzie zaczęli śledzić konkretnych dziennikarzy, a przestawili ślepo wierzyć tradycyjnym mediom. Nastąpiła duża zmiana. Kiedyś kluczową rolę odgrywały gazety – np. Przegląd Sportowy, Gazeta Wyborcza, Rzeczpospolita. Dziś tak naprawdę mało kto zwraca uwagę, czy pracujesz w Przeglądzie Sportowym, czy nie. Jeżeli masz markę osobistą, to ludzie i tak będą cię śledzić, niezależnie od tego, gdzie jesteś. Myślę, że jestem dobrym tego przykładem – ostatni rok poświęciłem na pisanie książki i nie pracowałem na stałe w żadnej redakcji, a mimo to mam duże grono ludzi, które ufa mi choćby w kwestii newsów transferowych i gdzieś tam za mną podąża.

Mateusz Prokopiak: A jak oceniasz ogólnie poziom dziennikarstwa sportowego w Polsce? Mnie denerwuje ilość clickbaitów – pojawiają się informacje, które nie są do końca zweryfikowane. Jedna redakcja puści info a inne podają temat bez weryfikacji.

Sebastian Staszewski: Clickbait to nie kwestia dziennikarstwa per se – to kwestia świata, w którym żyjemy. On po prostu taki jest. Kiedyś, jeśli prześledzisz historię mediów, clickbaitem były wielkie czerwone tytuły w gazetach, które miały zachęcać do czytania. Nie wiedziałeś, co jest w środku, ale był krzykliwy nagłówek. Więc ja bym współczesnego clickbaitu nie demonizował – on zawsze istniał. To nie przypadek, że krzykliwy tytuł zawsze był numerem jeden na przykład w tabloidach. Jak popatrzyć na gazety z lat 80. czy 90., tam pełno było tego, co dziś nazywamy clickbaitem. To naturalna część dziennikarstwa. Inna sprawa, że niektórzy dziś przesadzają w tym szaleństwie – ale zawsze znajdzie się ktoś, kto przesadzi.

Natomiast większy problem jest taki, że dziennikarstwo w Polsce jest dziś bardzo nierówne. Są dziennikarze świetni, którzy w każdej rzeczywistości by się odnaleźli i byłiby filarami redakcji – tacy jak Tomek Cwiakła, Mateusz Świącicki, Tomek Włodarczyk, Piotrek Koźmiński. Ale zaniknęła klasa średnia. Są super rozwinięci dziennikarze, którzy znają języki, mają wiele umiejętności – nie tylko piszą, ale też ładnie mówią, komentują mecze, montują filmiki – ta Multi funkcyjność ich wyróżnia. A z drugiej strony nie ma klasy średniej, w związku z czym jest bardzo duża grupa młodych dziennikarzy, którzy zarabiają niewiele, a oczekuje się od nich bardzo dużo. Każdy portal, każda redakcja każe szybko nakręcać wyniki i w związku z tym zdarzają się rzeczy, o których mówisz. Mój największy zarzut do dziennikarstwa jest taki, że nikt już nie weryfikuje faktów. Nikt nie zadzwoni, nie zapyta, nie sprawdzi. Dlaczego tak się dzieje? Z dwóch przyczyn. Po pierwsze – brak czasu. To największa bolączka dziennikarstwa. Kiedy ja zaczynałem w 2008 roku, czas był

Jeżeli masz markę osobistą, to ludzie i tak będą Cię śledzić, niezależnie od tego, gdzie jesteś

Sebastian Staszewski

na wszystko. Teraz tego czasu nie ma, ponieważ trzeba dać news teraz, zaraz, i już pędzić do następnego. A po drugie – ludzie nie znają ludzi. Wielu dziennikarzy nie ma kontaktów, które pozwalają im coś sprawdzić. Kiedyś mówiło się, że gazeta żyje jeden dzień, a dziś news żyje kilka godzin. Więc niektórzy po prostu nie przykładają uwagi do tego, jak było naprawdę.

Jest krzykliwy tytuł, fajne zdjęcie, ciekawa historia – puszcza myślenie. Sam

się o tym przekonałem przy promocji książki Lewandowski. Prawdziwy. Gdy czytałem niektóre teksty, łapałem się za głowę, bo miałem wrażenie, że ktoś usłyszał dwa zdania z mojego wywiadu u Rymanowskiego czy Żurnalisty i na bazie tego budował narrację wokół 700-stronicowej książki, nawet nie mając jej w rękach.

Wyzwania dyrektora TVP Sport

Mateusz Prokopiak: Pracowałeś też jako dyrektor TVP Sport. Co na tym stanowisku było dla ciebie najtrudniejsze?

Sebastian Staszewski: Szczerze mówiąc, najtrudniejsze było wstawanie o szóstej rano. (śmiech) Mając już kilkunastoletnie doświadczenie w zawodzie, wiedziałem, czego można się spodziewać. W TVP odpowiadałem za treści merytoryczne i myślę, że robiliśmy bardzo ciekawe rzeczy. Między innymi słynne studio na Stadionie Narodowym, kiedy graliśmy na wyjeździe z Wyspami Owczymi. Zrobiliśmy to w amerykańskim stylu, na rozświetlonym Narodowym. Robiliśmy też bardzo interesujące studia tematyczne do europejskich pucharów – tzw. „studia czwartkowe”, jak obiady czwartkowe – serwowaliśmy w nich kibicom pucharowe uczty. Najważniejsze było to, że zadowoleni byli widzowie, bo w telewizji to dla nich pracuje każdy dziennikarz czy dyrektor. A z tego co wiem – byli zadowoleni.

Mateusz Prokopiak: Jaka była najtrudniejsza decyzja, którą musiałeś podjąć w tej pracy?

Sebastian Staszewski: Najtrudniejsze – a właściwie najbardziej kłopotliwe – są zawsze decyzje związane z przedłużaniem umów, z podwyżkami albo obniżkami pensji. Krótko mówiąc, decyzje personalne. Bo na końcu siadasz naprzeciw ludzi, których znasz, lubisz i szanujesz, i musisz podejmować trudne decyzje. Natomiast to też jest część tej pracy – zarządzanie zespołem i finansami. Myślę, że teraz przekonuje się o tym Kuba Kwiatkowski. Cały czas mamy dobre relacje i jak rozmawiamy, to nieraz ten temat się przewija. Kuba też ma podobne odczucia: z ludźmi, którzy dziś są twoimi pracownikami, spędziło się lata, ale teraz jest się w innej roli i trzeba podejmować decyzje, które nie każdemu się spodoba.

Kluby piłkarskie: otwartość i komunikacja

Mateusz Prokopiak: Dlaczego niektóre kluby są bardziej otwarte na dialog z mediami, a inne zachowują się jak twierdze? Czy to kwestia braku zaufania do dziennikarzy?

Sebastian Staszewski: Myślę, że to niezrozumienie materii, z którą się pracuje. Kluby zamykające się na media robią sobie krzywdę. I tak przecież o tych klubach

OKŁADKA: SQN

sqn
WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

LEWANDOWSKI

PRAWDZIWY

**SEBASTIAN
STASZEWSKI**

się pisze – klub nie musi współpracować z mediami, żeby o nim pisano. To nie jest tak, że jak klub schowa się pod kołdrę, to nikt nie widzi, że istnieje, i nikt nie będzie o nim pisał. Ale niektórzy tak sądzą. A ta postawa wynika w dużej mierze z pewnej niedojrzałości medialnej. Z mediami trzeba współpracować – to jest w interesie każdego klubu. Po pierwsze ze względu na ekwiwalent marketingowy, po drugie – ze względu na markę klubu, po trzecie – ze względu na relacje międzyludzkie, które są bezcenne. Nowocześni szefowie biur prasowych czy rzecznicy prasowi doskonale zdają sobie z tego sprawę. W ciągu ostatniego roku czy dwóch miałem kontakt z większością klubów PKO BP Ekstraklasy i z wieloma klubami Betclio 1 Ligi – i widzę, że to się bardzo pozytywnie zmienia. Ludzie, którzy dziś zajmują się mediami, wiedzą, że trzeba otworzyć się na dziennikarzy, bo tak naprawdę otwierasz się nie na swoich kibiców. Dziennikarz jest tylko przekątnikiem między klubem a kibicami. Jeśli nie chcesz współpracować z mediami, to trochę tak, jakbyś odwracał się od kibiców – bo kibic chce wiedzieć, co się w klubie dzieje, a klubowe media to za mało, żeby wszystko pokazać. Na szczęście w ostatnich latach nastąpiła zmiana i dzisiaj kluby znacznie lepiej rozumieją, jak działa ten rynek. Chociaż oczywiście cały czas jest dużo do poprawy.

Mateusz Prokopiak: Prowadziłeś szkolenia medialne w klubach. W tej chwili muszę wspomnieć, że u nas zgubiłeś portfel, ale na szczęście się znalazł – uczciwi ludzie są na Podkarpaciu! Ale powiedz mi, jak przeprowadziłeś szkolenia we wszystkich klubach PKO BP Ekstraklasy, to jaki największy błąd zauważyłeś w kwestiach komunikacji medialnej?

Sebastian Staszewski: Myślę, że największy kłopot cały czas dotyczy zarządzania

kryzysem. W wielu miejscach, kiedy pojawia się kryzys, pracownicy klubu najchętniej by go przeczekali – poczekali, aż sam się rozwiąże. A tak się niestety nie da. Jest kilka działań, które w większości sytuacji pomagają opanować kryzys – notabene skrócić jego trwanie. A ich brak sprawia, że pojawia się tylko coraz więcej problemów. Sztandarowy przykład to to, co Legia Warszawa zrobiła w przypadku Gonzalo Feio i tych słynnych już środkowych palców pokazanych po meczu z Brøndby. Kryzys trwał trzy dni, aż trener przeprosił, a przecież można było to zrobić od razu na konferencji pomeczowej i oszczędzić sobie tych trzech dni zamieszania. To był przykład tego, jak nie podejmowano decyzji. A w sytuacji kryzysowej decyzje trzeba podejmować, nawet jeśli są trudne. Wydaje mi się, że tu jest najwięcej do zrobienia. Jednocześnie trudno mi mieć pretensje do klubów, bo dotąd nikt ich tego nie uczył, nikt im nie tłumaczył – a to nie jest wiedza, którą znajdujesz na ulicy. Uważam więc, że to była bardzo dobra decyzja Ekstraklasy i prezesa Marcina Animuckiego, żeby przeprowadzić cykl szkoleń. Później, gdy rozmawiałem z ich uczestnikami, widziałem, że wiele informacji im się przydało. Zawsze przyjemniej jest, kiedy ktoś z boku pokaże, jak należy daną sytuacją zarządzać, niż uczyć się na własnych błędach.

Kulisy powstania biografii Lewandowskiego

Mateusz Prokopiak: W którym momencie podjąłeś decyzję, że napiszesz książkę o „Lewym” i dlaczego?

Sebastian Staszewski: Generalnie było w tym dużo przypadku. Byłem akurat w Porto na meczu Portugalia-Polska, niestety przegraliśmy 1:5, a Robert w ogóle w nim nie wystąpił. Miałem ze sobą książkę Guillema Balagué, nieautoryzowaną



FOTO: PIOTR KUCZA

biografię Cristiano Ronaldo, którą zabrałem, bo kolega poprosił mnie o zebranie kilku podpisów Cristiano. Wracając z meczu, zacząłem tę książkę przeglądać. Balagué – który napisał też biografie Messiego i Guardioli – na pierwszych stronach opowiadał o tym, jak chciał robić tę pozycję we współpracy z Ronaldo, ale w wyniku pewnego nieporozumienia to się nie udało i ostatecznie postanowił kontynuować pracę sam. Wyszedł z tego świetny materiał i bardzo fajna książka. I wtedy mnie olśniło: pomyślałem, że przecież można napisać szczerą i mocną książkę o Robertcie Lewandowskim bez Roberta Lewandowskiego. Niedługo później podpisałem umowę z wydawnictwem SQN i 1 grudnia 2024 roku zasiadłem do pisania. Więc było w tym trochę przypadku, ale – jak widać – przypadki potrafią wykreować fajne rzeczy.

Mateusz Prokopiak: Czy w czasie tworzenia tej książki pojawiły się u Ciebie jakieś wątpliwości?

Sebastian Staszewski: Nigdy nie miałem poczucia, że to się może nie udać. Miałem jednak pewne wątpliwości, czy Robert Lewandowski będzie chciał wypowiedzieć się w tej książce, bo nie był to jego projekt i nie miał interesu, żeby w ogóle wziąć w nim udział. Ale jestem zawsze pozytywnie nastawiony do życia. Wiedziałem za to, że wszystkie relacje nawiązane przez lata pomogą mi dotrzeć do świetnych rozmówców. Zależało mi, żeby to nie była książka opowiedziana tylko z polskiej perspektywy, ale też z perspektywy światowego futbolu. W książce pojawiają się więc Karl-Heinz Rummenigge, Uli Hoeneß, Joan Laporta, Gavi, Thomas Müller, Kingsley Coman, Ivan Perišić, Jérôme Boateng, Rafinha, czyli gwiazdy światowego futbolu i najważniejsze osoby w karierze Roberta. To ważne, bo chciałem, żeby czytelnik zrozumiał, jak wielką karierę zrobił Lewandowski, i poznał zagraniczny punkt widzenia, który dotychczas nie był znany polskim kibicom. Natomiast przyznaję, że siedzenie przez blisko 300 dni przed komputerem, praktycznie bez dnia wolnego, nie było przyjemne. Ale na szczęście udało się przetrwać ten rok.

Mateusz Prokopiak: Gdyby ktoś chciał – tak jak ty – napisać książkę o piłkarzu, jakąś jego biografię, to co byś mu radził? Powiedzmy, trzy pierwsze kroki.

Sebastian Staszewski: Ja mam tylko jedną radę: rób to! Nie ma innej drogi. Od pomysłu do realizacji w moim przypadku minęły tylko dwa tygodnie, bo stwierdziłem, że nie ma nad czym myśleć. Oczywiście pisanie w roli zawodowego pisarza różni się od pisania z doskoku. Zazwyczaj nie jest tak jak w moim przypadku, że siadasz i znikasz z życia na rok czy dwa, bo przecież każdy ma rachunki, leasing, czynsz itd. – trzeba na to wszystko zarobić. Więc takie pisanie pomiędzy normalną pracą na pewno nie jest łatwe, bo trzeba mądrze gospodarować czasem. Natomiast wciąż obowiązuje jedna prosta reguła: po prostu zacznij to robić. Rób to wolniej, rób to trzy godziny dziennie, rób to w inny sposób, ale rób to. Nie czekaj, nie myśl, nie zastanawiaj się – to moja główna rada. Jeśli chodzi o kwestię techniczną, nie

ma tu nic odkrywczego: trzeba wymyślić koncept, zrobić konspekt, spisać listę rozmówców, z którymi można porozmawiać. Trzeba przygotować plan podróży i – tak jak powiedziałem – zacząć pisać. To jest jak w piłce nożnej: co można zrobić, żeby być lepszym? Trenować i jeszcze raz trenować. Tak samo jest z pisaniem: pisać, pisać i jeszcze raz pisać. Czytać, dzwonić, rozmawiać, spotykać się. Nie siedzieć i nie czekać na wene, bo coś takiego jak wena nie istnieje – jest co najwyżej dobry albo zły nastrój. A czas niestety nieubłaganie płynie. Trzeba więc robić wszystko, żeby maksymalnie go wykorzystać.

Satysfakcja z pracy

Mateusz Prokopiak: Chciałbym się jeszcze dowiedzieć, z czego czerpiesz satysfakcję w pracy?

Sebastian Staszewski: Satysfakcję daje mi wykonywanie małych kroków. Jak wymyśliłem sobie, że chcę porozmawiać z Rummenigge, z Hoeneßem, z Laportą, z Watzkiem i z Rutkowskim – czyli z szefami najważniejszych klubów, w których występował Robert Lewandowski – to dążenie do tego było świetną zabawą. Wymyśliłem też, że chcę mieć w książce dwóch prezydentów: Andrzeja Dudę i Karola Nawrockiego, którzy z Robertem Lewandowskim mieli wspólne chwile. To też mi się udało. I właśnie odhaczanie takich małych rzeczy, daje mi radość. Bo to trochę jak w grze komputerowej – masz kolejny etap do zaliczenia i go zaliczasz. Drugą sytuacją, podczas której pojawia się uśmiech na twarzy, na pewno jest moment, kiedy otrzymujesz już gotową, wydrukowaną książkę do ręki i widzisz, że to, nad czym tyle pracowałeś, za chwilę trafi na półki sklepowe. To świetne uczucie.

Przyszłość dziennikarstwa sportowego

Mateusz Prokopiak: Jesteś dziennikarzem z ogromnym doświadczeniem zawodowym, który od wielu lat obserwuje i żyje w tym sportowym świecie. Jak według Ciebie będzie wyglądało dziennikarstwo sportowe w najbliższych latach?

Sebastian Staszewski: Uważam, że tak zwana elita dziennikarstwa nadal będzie sobie dobrze radziła i tworzone przez nią ekskluzywne treści cieszyć się będą zainteresowaniem i zawsze docenione przez czytelników. Natomiast to wspomniane w naszej rozmowie przepisywanie newsów i clickbait mogą zostać wyparte przez sztuczną inteligencję, ponieważ w takim kierunku zmierza cały świat – i uważam, że tutaj będzie największa zmiana. Nadal będzie utrzymywał się ten trend, o którym wspominałem – ludzie będą śledzić treści ludzi, a nie stricte danej redakcji, gdyż będą ufać konkretnym nazwiskom, a nie konkretnym tytułom. Ale kontent, którym portale muszą zapychać swoje łamy, będzie tworzyła AI.

*Ludzie, którzy dziś zajmują się mediami, wiedzą,
że trzeba otworzyć się na dziennikarzy, bo tak naprawdę
otwierasz się nie na swoich kibiców*

Sebastian Staszewski



Plany na 2026 rok

Mateusz Prokopiak: Na koniec naszego wywiadu powiedz, czego możemy się spodziewać po tobie w 2026 roku.

Sebastian Staszewski: Chciałbym wydać jedną książkę – jest plan, aby stało

się to jesienią. W tym samym czasie powinien pojawić się również duży projekt filmowy, w którym będę uczestniczył. Po sukcesie książki Lewandowski. Prawdziwy należy pójść za ciosem i tworzyć dalej, chociaż wiem, że postawiłem sobie wysoko poprzeczkę. Ale to super, bo to motywacja do dalszej ciężkiej pracy. Wiem też, że 2026 rok będzie bardzo pracowity również z powodu mistrzostw świata, na których – mam nadzieję – zobaczymy reprezentację Polski.



Wywiad przeprowadził

Mateusz Prokopiak
FKS Stal Mielec

X @m_prokopiak

„TRZY MINUTY PRZED ANTENĄ ZROBIŁEM 50 POMPEK”. MICHAŁ MITRUT O KULISACH KOMENTOWANIA, TREMIE PRZY EL CLÁSICO I TYM, DLACZEGO CZASEM NAJLEPSZE W TRANSMISJI JEST MILCZENIE

Są w Polsce głosy, które rozpoznaje się po jednym zdaniu. Nie dlatego, że są „radiowe”, tylko dlatego, że niosą emocje - tę prawdziwą, niepodrabialną, która rodzi się wyłącznie w danej chwili. Michał Mitrut należy do tej grupy komentatorów, którzy nie „czytają meczu”, lecz wchodzi w niego jak w żywioł i porywają nas w ten sportowy spektakl. W rozmowie poruszono kwestie związane z warsztatem, przygotowaniem, notatkach i komunikatach „na ucho”. Jest też o tym, czego widz nie widzi - że komentator musi być gotowy mentalnie bez względu na prywatne życie, że czasem walczy z mrozem jak zawodnik, i że istnieją takie sekundy, które są najdłuższe w życiu, ponieważ skomentował gola, którego nie było.

Od małej miejscowości do dużej telewizji. „Nikt nie był w stanie mi przetłumaczyć, że mi się nie uda”

Mateusz Prokopiak: Czy pamiętasz moment, w którym po raz pierwszy pomyślałeś: „chcę zostać komentatorem sportowym”? Skąd w ogóle wzięła się ta droga?

Michał Mitrut: Zaczęło się w gimnazjum, gdy coraz częściej słyszałem pytania dotyczące tego, co chcę robić w przyszłości. Na tamtym etapie nie chciałem się nad tym tak bardzo zastanawiać. Tyle, że pytania się mnożyły, sam na siebie nałożyłem presję i efekt był taki, że faktycznie zacząłem się głowić: co bym w życiu chciał robić. Można powiedzieć, że porwałem się z motylką na stołce, bo jako chłopak z małej miejscowości, która liczy około 1000 mieszkańców, wymyśliłem sobie, że chcę być komentatorem, że chcę relacjonować mecze piłkarskie. Oczywiście kiedy dzieliłem się tym pomysłem ze swoimi rówieśnikami w tym okresie, to praktycznie każdy z nich pukał się w głowę i stwierdzał, że to się nie uda. Wiadomo też – mentalność ludzi z małej miejscowości dyktowała trochę inne podejście do życia. Chyba wszyscy byliśmy trochę zahukani i w tamtych latach niezbyt mile widzianym było dzielenie się odważnymi. No ale ja marzyłem. Nikt nie był w stanie mi przetłumaczyć, że mi się nie uda. Krok po kroku dążyłem do celu. Można powiedzieć, że małymi krokami to wszystko się rozwijało. Najpierw jeszcze jako nastolatek zacząłem komentować z domu, z własnego pokoju, w radiu internetowym. Później, gdy poszedłem do liceum, związałem się ze studencką rozgłośnią radiową, gdzie już miałem do czynienia z profesjonalnym sprzętem i ludźmi, którzy byli ode mnie co najmniej kilka lat starsi, od których mogłem się dużo nauczyć. Długo tam nie podzielałem, bo tak naprawdę po roku wraz z rodzicami zdałem sobie sprawę, że więcej czasu spędzam w radiu niż w szkole i że złapałem takiego „bakcyła”, że właściwie musieliśmy było dojść do wniosku, że trzeba zmienić otoczenie i skupić się bardziej na szkole, żeby dobrze zdać maturę. Dlatego przeniósłem się do Włodawy – to miasteczko, w którym się urodziłem – i tam kolejne dwa lata szkoły, skupienie

właściwie tylko na tym. Następnie studia i angaż w lubelskiej telewizji internetowej. W tym czasie doszły mnie słuchy, że będzie powstawać duża telewizja sportowa w naszym kraju, a ja wiedziałem, że takie nowe rozdanie to często szansa dla dziennikarzy wcześniej nieznanym. Uderzałem drzwiami i oknami, aby dostać się na casting. Po przeprowadzonych rozmowach decyzją Patryka Mirosławskiego dostałem angaż w Eleven Sports. W 2021 roku nastąpił kolejny krok, krok milowy w mojej komentatorskiej karierze i od kwietnia – właściwie od dnia prima aprilis, od 1 kwietnia 2021 roku – spełniam swoje marzenia pracując w telewizji Canal +, dzięki szansie która dostałem od Michała Kołodziejczyka, Piotra Małkowskiego i Marcina Roślonia.

Widz słyszy głos. Nie widzi, jak wygląda „forma mentalna” komentatora

Mateusz Prokopiak: Kibic słyszy w telewizji pewny, energiczny głos. Czego – twoim zdaniem – najczęściej nie dostrzega, jeśli chodzi o kulisy tej pracy?

Michał Mitrut: Myślę, że najtrudniejsze w naszym zawodzie pod tym względem jest to, że my zawsze musimy być w wysokiej formie mentalnej. Widza nie interesuje to, czy jesteś w żałobie, bo odszedł ktoś z twojej rodziny, że masz gorszy nastrój, bo twoje dziecko choruje. Takie rzeczy się zdarzają, ale kiedy jesteśmy na antenie, musimy być pozytywnie nastawieni, nastawieni bojowo. Po prostu musimy dawać z siebie maksimum. Nie możemy dawać po sobie znać, że coś jest nie tak. Mamy oczywiście łatwiej niż ludzie pracujący w rozrywce – nie wiem – ludzie kabaretu, stand-uperzy albo ci wszyscy radiowi prezenterzy, którzy prowadzą poranne audycje nastawione na poprawianie ludziom nastroju. Tacy ludzie, nawet jeśli przeżywają ciężkie chwile, muszą w pracy wręcz udawać że są w nastroju do żartów. Myślę, że tego typu kwestie mogą być trudne, bo jeżeli popełnię jakiś błąd, oczywiście nigdy nie będę tego tłumaczył w taki sposób, że co się dzieje w moim życiu prywatnym – to zawsze będzie pozostawać tajemnicą. Z drugiej strony, jeśli komentujesz mecz, to

FOTO: ARCHIWUM PRYWATNE MICHAŁA MITRUTA



wchodzisz na inne poziomy koncentracji i percepcji. Zapomina się o wszystkim wokół.

„Trzy minuty przed anteną zrobiłem 40–50 pompek”. 0 mrozie, tremie i szybkich metodach na „wejście w mecz”

Mateusz Prokopiak: Są też rzeczy bardzo praktyczne – warunki na stadionie, temperatura, które również nie zawsze są „po Waszej stronie”.

Michał Mitrut: Pamiętam taką sytuację, która przerodziła się w anegdotę w redakcji Canal+. Było bardzo zimno. Może nie tak zimno jak teraz, ale na pewno koło zera, może nawet na lekkim minusie. Trochę się trząsałem. Żęby zgrzytały. Żeby było ciekawiej, chodziło o mecz w Mielcu. Chyba pierwsza kolejka wiosenna. Na pięć minut przed rozpoczęciem transmisji myślę sobie: No nie, no nie dam rady. Ręce mi się trzęsą, nogi mi się trzęsą, głos drży i w ogóle jakieś cieniutkie mam brzmienie na tym mrozie. Coś trzeba zrobić, by z typową dla siebie energią wejść w mecz. Sam wiesz, Mateusz, jak wygląda stanowisko w Mielcu. Na szczęście jest trochę zakryte. Ludzie nie widzą nas, lub przynajmniej nie widać nas w całości. Może jedynie moja głowa wystaje z tego balkoniku, gdzie komentuje się mecze na Stadionie Miejskim im. Grzegorza Łato w Mielcu. Zwłaszcza przy moim wzroście. Wtedy pomyślałem sobie, że skoro mam takie miejsce, gdzie jestem niewidoczny, mogę zrobić coś, co mi pomoże się rozgrzać. Piłkarzom taka temperatura, aż tak mocno nie przeszkadza. Dlaczego? Bo oni biegają, bo są w trakcie wysiłku. No więc też postawiłem na wysiłek. Zrobiłem sobie serię 40–50 pompek. Od razu zrobiło się cieplej. Organizm był już w innym stanie. Zapomniałem jak jest zimno. Spompowałem się mówiąc kolokwialnie, i mogłem z pełnym żarem komentować mecz. Oczywiście, mój współkomentator miał wtedy ze mnie niezły ubaw. Cała ta sytuacja szybko się rozeszła, ludzie w redakcji docinali. Marcin Roskoń do tej pory mi to przypomina. Tak, ludzie którzy słuchali wtedy mojego wstępu, nie mieli prawa wiedzieć że komentator dosłownie 3 minuty temu robił pompki. Jak się okazuje, rozgrzewka komentatorska wcale nie musi polegać na ćwiczeniach dykcyjnych.

Emocje „nie do podrobienia”. „W samochodzie nie umiem powtórzyć własnego głosu”

Mateusz Prokopiak: Komentowanie to z jednej strony rzemiosło, z drugiej – emocja. Jak ty to widzisz u siebie: ile jest w tym kontroli, a ile spontaniczności?

Michał Mitrut: Szczerze mówiąc jak słucham swoich komentarzy... ja nie wiem, jak to się dzieje. Co się dzieje, że mój głos wchodzi na takie rejestry, że brzmi tak, a nie inaczej. Gdy przykład jadę sam samochodem i chcę powtórzyć te dźwięki, które z siebie wydobyłem, krzyknąć podobnie - jak wtedy gdy padała jakaś fantastyczna bramka którą skomentowałem – to kompletnie mi to nie wychodzi. Nie potrafię wydobyć ze swoich strun tego samego głosu. Poziom emocji sprawia, że brzmienie jest inne. Mogę to zrobić tylko wtedy, kiedy go widzę, kiedy to wszystko dzieje się w ciągu sekundy, kiedy to wszystko mnie samego zaskakuje. To przekłada się na naturalne emocje.

Mateusz Prokopiak: A gdybyś miał odpowiedzieć wprost: komentowania można się nauczyć, czy trzeba mieć w sobie coś wrodzonego – ten nerw, dynamikę, temperament?

Michał Mitrut: Myślę, że trzeba mieć w sobie pewną eksplozywność, nutkę szaleństwa. To pokrywa się z oczekiwaniami współczesnego widza: kibic żąda emocji od komentatora. Kibic może ci wybaczyć jakiś błąd, przejęzyczenie, nawet

pomyłkę merytoryczną, ale nie wybacz ci, że przy голу jego drużyny nie dałeś z siebie maksa jako komentator. Kibic, który widział efektowną bramkę na stadionie, czasem chce do tego wrócić i odpalić wideo w social mediach. Jeśli usłyszysz, że to nie jest tak opakowane emocjami, jak on by chciał, to pewnie nie pozostanie dłużny i cię skrytykuje. Nie ważne: bramka dla Barcelony, bramka dla Puszczy Niepołomice, czy bramka dla Legii Warszawa, czy bramka dla Stali Mielec, czy dowolnej drużyny – dla danego kibica to jest najważniejsza drużyna na świecie, źródło najważniejszych piłkarskich emocji. Musimy mieć świadomość, że my 'ubieramy' w emocje wydarzenia, które towarzyszą ludziom nie tylko w czasie meczu, ale też długo po jego rozegraniu. Pod tym względem nie możemy zawieść oczekiwani.

Przygotowanie do meczu: „Jeśli dasz mi 30 godzin, to ja je wykorzystam”

Mateusz Prokopiak: Jak naprawdę wygląda przygotowanie do transmisji – i gdzie są granice, których perfekcjonista właściwie nie ma?

Michał Mitrut: Jeżeli widziałem na przykład, że dostaję mecz FKS Stal Mielec Mielec – Lech Poznań, to wiedziałem, że pewnie będę musiał kilkanaście godzin albo co najmniej kilka poświęcić na przygotowanie się do meczu. Oczywiście dużo zależy od tego, czy komentuję drużyny, do których mam bazę – to znaczy już je komentowałem, znam wszystkich zawodników – czy na przykład zaczynam niemalże od zera, kiedy jest początek sezonu PKO BP Ekstraklasy i mamy do czynienia np. z klubami które awansowały z Betclac 1 Ligi – wtedy wiadomo, że muszę poświęcić więcej czasu. Natomiast nawet jeżeli znam dobrze drużyny, to trzeba bardzo dobrze sobie przeanalizować ostatnie występy, wyciągać jakieś taktyczne niuanse. I uważam, że z każdego meczu można wyciągnąć coś istotnego. Nawet jeżeli ich ostatnie spotkania były nudne i kończyły się wynikami 0:0 to trzeba przynajmniej posłuchać tego, co miał do powiedzenia trener. Konferencje prasowe to są rzeczy, które zawsze trzeba odhaczyć, kiedy przygotowujesz się do meczu. Konferencje trwają 15-20 minut, a przy tym ty słuchasz je jednocześnie robiąc notatki – więc może się złożyć tak, że na konferencję potrzebujesz godzinę, żeby wyciągnąć najcenniejsze wypowiedzi i je sobie przygotować. Czasami jest tak, że jeżeli tylko przeczytam na jakimś portalu spisane konferencję, to odbieram ją zupełnie inaczej niż konferencję, którą osobiście obejrzałem. Kiedy dochodzi do tego dynamika trenera, jego mowa ciała – to wszystko czasami zmienia postać rzeczy. Kolejna kwestia to statystyki – tego też jest zawsze bardzo dużo i to trzeba tydzień po tygodniu aktualizować. Zawodnicy: ich też w kadrach meczowych każdej z drużyn zawsze jest około 20 i o każdym trzeba coś przygotować. Trzeba dobrze wiedzieć, kto gra regularnie, kto „dostaje ogony”. Jeżeli ktoś dostaje właśnie te przysłowiowe „ogony”, to warto wiedzieć dlaczego: czy jest kontuzja, czy inny zawodnik na tej pozycji i po prostu ze względów sportowych gra mniej. Na przygotowanie się do meczów składa się tak wiele drobnych rzeczy, że jeżeli podejść do tego perfekcjonistycznie – a ja często takie podejście mam – to jest to droga bez końca. Jeżeli dałbyś mi 30 godzin do przygotowania się do meczu, to ja bym te 30 godzin wykorzystał i mógłbym bez ustanku doszukiwać się kolejnych rzeczy, ciekawostek, faktów, które mogłyby być nam potrzebne podczas komentowania. Przygotowywanie się do meczu to studnia bez dna.

Wejście w transmisję: „Nie znoszę sztamkowych wstępów”

Mateusz Prokopiak: Masz też wyraźny styl „otwierania” meczu. Co jest dla Ciebie kluczowe w pierwszych zdaniach na antenie?

Michał Mitrut: Rzecz, do której przykładam wagę, jest właśnie to wejście w mecz. Nie znoszę sztamkowych wstępów. Nie chciałbym mówić pierwszym zdaniem: „zapraszamy państwa do Mielca, 14. kolejka Ekstraklasy” i tak dalej. OK, można to zrobić, pewnie mi się zdarza, ale lubię stawiać na większą kreatywność. Chciałbym jednak, zapraszając na mecz, rzucić kilka takich zdań, żeby to świadczyło o tym, że jest to nieschematyczne i że jest to spójne z tym, co dzisiaj się dzieje na danym stadionie. Zależy mi, aby po tych pierwszych zdaniach widz zauważył, że coś fajnego wymyśliłem, żeby utrzymać go przy ekranie i odpowiednio wprowadzić w sportowe zmagania.

Mateusz Prokopiak: Wokół twoich notatek nie sposób przejść obojętnie. Pamiętam, że zawsze miałeś przygotowane „ściągawki” wydrukowane małą czcionką, a było ich naprawdę bardzo dużo na dwóch kartkach A4. Jak z nich korzystasz, żeby nie wpadć w pułapkę „opowiadania z kartki” – i jednocześnie niczego nie zgubić?

Michał Mitrut: Korzystałem z nich często – raczej w dużym stopniu – natomiast korzystam z nich tylko kontekstowo. Jeżeli na przykład ktoś ma jeden z najlepszych wyników, jeśli chodzi o bramki zdobywane w ostatnim kwadransie, to taką ciekawostkę wykorzystywałem głównie wtedy, kiedy faktycznie w ostatnim kwadransie strzelał gola. To powinno być kontekstowe, tożsame z tym, co się dzieje w meczu. Ja często żartuję, że przygotowuję sobie mnóstwo notatek, a potem jak się

zaczyna mecz, interesuje mnie tylko to, co dzieje się tu i teraz. Bo ja wolę opisać jakąś ciekawą akcję, która miała miejsce w środku pola, niż opowiadać z notatek o tym, co się działo dwa lata temu, gdy Stal mierzyła się z danym rywalem na swoim stadionie. Tak jak wspominałeś, miałem sporo notatek, ale maksymalnie zawsze dwie kartki: jedna poświęcona zawodnikom, druga zawierająca informacje drużynowe.

Najważniejszym kluczem w przygotowaniu było przeczytanie tego wszystkiego co sobie zanotowałem jeszcze raz zanim zacznie się mecz. Podczas meczu dzieje się tak wiele rzeczy, że doczytywanie czegoś w notatkach – zwłaszcza gdy ma się drobną czcionkę jak ja, jest bez sensu. Coś można przeoczyć, można się pogubić. Chodziło o to, żeby zebrać jak najwięcej danych, a potem te dane mieć w głowie. Jeśli pytasz mnie, czy korzystałem z notatek podczas meczu – odpowiadam: nie. Podczas meczu skupiam się tylko na boisku i na ekranie, gdy są powtórki.

„Na ucho”: odliczanie, VAR i niewidzialna praca ekipy transmisji

Mateusz Prokopiak: Jak wygląda komunikacja z realizacją w trakcie meczu? Czy dostajesz jakieś informacje „na ucho” i jak to wpływa na twoje decyzje na antenie?

Michał Mitrut: Oczywiście, że dostajemy informacje. Zaczę od tego, że dostaję informację, ile mam czasu na pierwsze wejście na antenę. Czasem jest to 30 sekund, czasem 20, czasem 10. Słyszysz odliczanie – 10, 9, 8, 7 – i wiesz, że za chwilę

Trzy minuty przed anteną zrobiłem 40-50 pompek

Michał Mitrut

będziesz na wizji. W czasie spotkania są komunikaty dotyczące zmian. Czasami są potrzebne, czasami niepotrzebne, bo komentator to widzi – zwłaszcza jeśli strefa zmian jest po tej samej stronie co stanowisko komentatorskie. Czasami też dostajemy informację, że sytuacja będzie sprawdzana na VAR-ze. To bardzo istotne, bo dużo rzeczy można przeoczyć. Również kwestie dotyczące tego, kiedy schodzimy, czy po meczu będą wywiady, czy komentatorzy od razu mają się zegnać – to też jest po stronie wydawcy, który kieruje transmisją. Nad realizacją meczu, który widz może sobie wygodnie obejrzeć w telewizorze pracuje co najmniej kilkadziesiąt osób, jeśli nie więcej.

Największa wpadka: gol, którego nie było i „najdłuższe trzy sekundy w życiu”

Mateusz Prokopiak: Każdy, kto pracuje na żywo, ma w pamięci moment, którego wolałby nie powtarzać. Jaka sytuacja była dla Ciebie najtrudniejsza na antenie?

Michał Mitrut: Ze względu na to, że komentuję już 10 lat, było mnóstwo. Począwszy od sytuacji, gdzie piłka trafiła w boczną siatkę, a ja byłem przekonany, że jest gol i informowałem widzów, że jest bramka. Jeśli chodzi o PKO BP Ekstraklasę, to chyba największą wpadkę zaliczyłem w Szczecinie podczas meczu Pogon Szczecin – Zagłębie Lubin, bo była taka sytuacja jak 'bramka widmo'. Ja skomentowałem gola, którego nie było. Co więcej – wtedy stanowisko w Szczecinie wyglądało tak, że siedzieli przede mną ludzie, rodziny zawodników i tak dalej. Oni siedzieli tuż przede mną. Jeżeli padała bramka Pogoni, ci ludzie wstawali, cieszyli się. Poszedł strzał na bramkę i z naszej perspektywy, z perspektywy tej trybuny wyglądało, na murowany gol. Co więcej, zdążyłem dojrzeć, że cała ławka Pogoni podnosi ręce i się cieszy – trener, zawodnicy rezerwowi. Wszyscy. Ludzie przede mną wstali i też zaczęli się cieszyć. No wszyscy widzieli gola. Ja też myślałem, że jest bramka. To trwało kilka sekund. Ludzie przede mną usiedli, bo oni zorientowali się szybciej, że bramki nie ma. Ja zorientowałem się dopiero, kiedy oni usiedli. Zamiast bramki piłka trafiła w boczną siatkę. Było mi naprawdę głupio i musiałem przeprosić widzów. Ale w tamtym meczu padła na szczęście dla mnie wspiana bramka Vahana Bichakhchyan – gol do którego lubię wracać. Po tym jak skomentowałem jego gol dostałem sporo pochwał. Kibice Pogoni wtedy dowiedzieli się, kim jestem, wysyłali do mnie miłe wiadomości. I szczerze powiem: ta bramka uratowała mi skórę. Gdyby ona nie padła, to ja myślę, że po tamtym meczu byłbym krytykowany i nawet wyśmiewany za tę wpadkę. A ten gol to przykrył. To był słodko-gorzki dzień: jednocześnie wielka wpadka, ale też coś, co zostanie w pamięci. Powiem więcej: niedawno podczas jednego z meczów ligowych miałem okazję porozmawiać z Vahanem i powiedziałem mu, że miałem wpadkę w tamtym meczu, ale jego gol mógł mi to wszystko przykryć i serdecznie mu za to dziękuję.

Sztuka milczenia: „Najbardziej dumny jestem z momentów, kiedy się nie odzywałem”

Mateusz Prokopiak: W komentowaniu równie ważne jak mówienie bywa milczenie. Jak wyczuwasz moment, w którym lepiej oddać głos stadionowi?

Michał Mitrut: Ja mam zasadę prostą. Jak słyszę, że kibice zaczynają jakąś przypiewkę, która podniesie się po stadionie, to jak najszybciej mój głos zmierza do kropki i po prostu się nie odzywam. To jest zaplanowana kropka. Nie mówię 'posłuchajmy kibiców', tylko po prostu się zamykam. Takie momenty pauzy są moim zdaniem najbardziej pożądane właśnie wtedy, kiedy na stadionie robi się głośniejsze. Wtedy nawet widz w telewizji może więcej zyskać, usłyszy atmosferę, która nie jest

zakłócona przez komentatora. To jest trudne, chociaż przyznam że mi to przychodzi dość naturalnie. Uważam, że komentator jest ważny, ale powiem więcej: czasami najbardziej jestem dumny w transmisji nie z tych momentów, kiedy mówiłem, tylko z tych momentów, kiedy się nie odzywałem.



FOTO: ARCHIWUM PRYWATNE MICHAŁA MITRUTA

El Clásico: radość, odpowiedzialność i „nogi jak z waty”

Mateusz Prokopiak: El Clásico to dla komentatora symboliczny sufit – mecz, którego nie da się potraktować jak „kolejnej transmisji”. Jak zareagowałeś, kiedy dowiedziałeś się, że po raz pierwszy je skomentujesz?

Michał Mitrut: To była sytuacja przemieszania lekkiego stresu z radosnym poczuciem odpowiedzialności. To nie jest tak, że jak dostajesz taki mecz, to jesteś tylko uradowany. Jest też taki moment, że trochę się pod tobą nogi uginają. Starsz się być pewny siebie i przebojowy, ale zastanawiasz się: „czy ja to dźwignę”. Dzięki rozmowom z moimi przełożonymi poczułem, że oni naprawdę we mnie wierzą. Jestem cholernie wdzięczny, że na mnie postawili, że ciągle na mnie stawiają, że wierzą w moje umiejętności. Bo z natury raczej jestem nieśmiały i jestem bardziej gościem, którego trzeba pompować niż hamować. Wydaje mi się, że prędzej popadnę w kompleksy, iż nie jestem tak dobry, jak jestem, niż to, że zacznę odpływać. Wracając do mojego El Clásico to przyznam, że nie przespałem wtedy dobrej nocy. Byłem wtedy jak dziecko w Disneylandzie – gdzieś gdzie spełniają się marzenia. Czuję, że jestem w centrum czegoś wielkiego i że nie mogę zaważyć. Uważam, że nie był to mecz doskonale przeze mnie skomentowany. W ogóle z tymi klasykami jest tak, że człowiek czasami bardzo chce i nie zawsze wychodzi tak, jakby się chciało. Czasami ta odpowiedzialność sprawia, że nie ma tak wielkiego efektu jakiego się oczekiwało wobec samego siebie. Co do samej decyzji przełożonych to był taki moment, że zdałem sobie sprawę: to już nie są żarty. Już nie jestem jednym z wielu. Jestem człowiekiem, na którym ta telewizja chce budować relacje. Reprezentuję

wielu ludzi z Canal+. Reprezentuję wielką firmę. I oczywiście — możemy mówić, że to jest ligowy mecz Hiszpanii rozgrywany dwa razy w sezonie — ale to jest jeden z najbardziej medialnych meczów na świecie. Możliwość komentowania tych wielkich piłkarzy. Moje pierwsze El Clásico to było coś, o czym będę pamiętać pewnie nawet w podeszłym wieku.

Mateusz Prokopiak: Co zostało w tobie po pierwszym El Clásico: pewność, ulga, a może właśnie większa pokora?

Michał Mitrut: Jeszcze więcej pokory. Bo nie byłem do końca zadowolony z tego, jak to wyszło. Wielkie mecze uczą. Ja ciągle chcę od siebie więcej. Jestem lepszym komentatorem niż 5 lat temu. Zrobiłem progres. To jest efekt nie tylko tego, że we mnie wierzyli, ale też tego, że sam pracowałem nad sobą i miałem więcej świadomości. El Clásico nie zmieniło mnie to jako człowieka, ale sprawiło, że jeszcze bardziej zrozumiałem, jak wiele trzeba poprawić, by osiągnąć zadowalający poziom.

Gdy mecz „na papierze” jest skromny: komentator musi go zbudować

Mateusz Prokopiak: Są mecze, które „sprzedają się same”, i takie, które na papierze wyglądają skromnie. Jak pracujesz, żeby te drugie miały swoją dramaturgię i sens?

Michał Mitrut: Cieszę się, że zadałeś takie pytanie. Powiedzmy, że miałem do skomentowania mecze drużyn, które z zewnątrz nie są najbardziej medialne — takich z dolnej części tabeli. I ktoś mógłby sobie pomyśleć: ‘z tego nic się nie ulepi’. Ale wspominałem już o tym, że przygotowanie trwa 15–20 godzin. Ja mam tak, że jak się przygotowuję do meczu, odkrywam kolejne rzeczy i ten mecz zaczyna mnie coraz bardziej interesować. Pojawia się jeszcze więcej pytań: czy ten młody chłopak znów zagra regularnie na dobrym poziomie? Co powie trener w wywiadzie przedmeczowym? Czy w końcu odpali zawodnik, po którym są wysokie oczekiwania? Czy trener pozostanie przy trzyosobowym bloku defensywnym, czy postawi inaczej? Tematów jest tak wiele, że jeżeli dobrze przygotujesz się do meczu, to masz głowę pełną pytań, jesteś podekscytowany. Dla kogoś obok to może być zwykły mecz, ale dla ciebie staje się interesujący, staje się czymś, na co czekasz, bo chcesz, żeby ktoś w końcu odpowiedział na te pytania na boisku.

Sympatia do gospodarzy? „Na ciszy po голу gości trudniej zbudować ten sam efekt”

Mateusz Prokopiak: Na stadionie naturalnie pracuje na ciebie również publiczność — zwłaszcza przy bramkach gospodarzy. Jak pilnujesz obiektywizmu i równowagi emocji?

Michał Mitrut: Ja zawsze miałem ten problem, że odnosiłem wrażenie na stadionach, że łatwiej jest podnieść się z rykiem, kiedy strzelają gospodarze, a trudniej, kiedy

robią to goście. Dlaczego? Dlatego, że kiedy strzela pięknego gola zespół gości, to często dzieje się to przy kompletnej ciszy. To jest taki cichy stadion. Jeżeli nie ma kibiców gości — albo jest tylko sektor wyjazdowy z 50–60 osób — to wiadomo, że ci ludzie siedzą po drugiej stronie i nie wydadzą z siebie takiego odgłosu, który niesie się po całym obiekcie. Dlatego kiedy strzelają gospodarze, ludzie wstają momentalnie i poziom emocji komentatora jest inny, bo tło kibicowskie robi robotę. Dlatego trudno jest skomentować to równie dobrze, gdy strzelają goście, i żeby to tak samo wybrzmiało. Bo prawda jest taka, iż tło kibicowskie jest bardzo istotne, gdy pada bramka.

Piłka i żużel: dwa światy, dwie dynamiki

Mateusz Prokopiak: Komentujesz także żużel — sport o zupełnie innej intensywności i innej akustyce. Czego cię nauczył?

Michał Mitrut: Komentowanie żużla jest bardzo trudne pod kątem orientacji. Masz czterech zawodników w wyścigu, gdzie może się zdarzyć, że ktoś z czwartego miejsca wskakuje na pierwsze, ktoś z drugiego spada na trzecie. Tasowanie pozycji w żużlu może nie jest częste, ale bywa. To są inne emocje. Motorsport dostarcza innych wrażeń i cieszę się, że działam przy dwóch sportach, które są tak różne.

Mateusz Prokopiak: Co najbardziej różni twoją pracę w piłce i w żużlu?

Michał Mitrut: Różni się to głównie tym, że kiedy w piłce idzie akcja podbramkowa, to słyszę swoje myśli. A w żużlu, jeżeli mam stanowisko odkryte, to nie słyszę swoich myśli, kiedy trwa wyścig. Ludzie czasami się zastanawiają, dlaczego komentator się tak wydiera — podczas wyścigu zawodnicy jadą szybko i nawet jeśli pierwszy jedzie z dużym odstępem, to bierze się to z tego, że chcemy przebić się przez ryk silników. I to nawet nie zawsze jest efekt emocji, tylko tego, że jest głośno. Żeby być słyszalnym, trzeba mówić bardzo, bardzo głośno. Druga rzecz: format. Piłka: 45 minut, opowiadasz ‘longiem’, bez przerwy. Dopiero potem masz przerwę. A żużel to szybkie strzały: kilka serii po cztery biegi, przerwy, znów biegi. To trochę bardziej ‘amerykański’ sport w sposobie pokazywania: chwila emocji i przerwa.

Mateusz Prokopiak: Gdyby ktoś kazał ci wybrać — piłka albo żużel — co byś zrobił?

Michał Mitrut: Nie zrezygnowałbym z żadnego. Nigdy nie będę wybierał jednego sportu kosztem drugiego. Piłki nożnej i żużla potrzebuję w swoim życiu do szczęścia zawodowego. Oczywiście te sporty różnią się globalnością. Piłka jest sportem, który grzeje wszędzie. Jako komentator piłkarski możesz komentować z wielkich stadionów Hiszpanii, Anglii, Niemiec, Włoch. A jako komentator żużlowy możesz robić hity Ekstraligi — najlepsza liga jest w Polsce — jeździsz po kraju, ewentualnie czasem są turnieje w mniejszych miejscowościach w Szwecji czy Danii, gdzie stadion wygląda gorzej niż stadiony piłkarskie. Żużel jest bardziej niszowy, bardziej swojski.

Musimy mieć świadomość, że my ‘ubieramy’ w emocje wydarzenia, które towarzyszą ludziom nie tylko w czasie meczu, ale też długo po jego rozegraniu

Michał Mitrut

Ale kończąc: piłka nożna to jakby kawior, a żużel to gięta. MI to nie znaczy, że jedno jest lepsze od drugiego – i jednego, i drugiego warto skosztować.

Głos jako narzędzie pracy: „Nie da się codziennie biegać maratonów”

Mateusz Prokopiak: Głos jest twoim podstawowym narzędziem. Jak zarządzasz obciążeniem i czy zdarzały się sytuacje, w których organizm mówił: „stop”?

Michał Mitrut: Czasami struny się trochę ściągają i to nie brzmi tak, jakbym chciał. Ale żebym całkowicie stracił głos – nie sądzę. Komentator, który jest profesjonalistą, raczej do tego nie doprowadzi. Bo gdy stymulujesz głos, ale wydierasz się bez przepony, wtedy można to zniszczyć. Trenerzy, którzy krzyczą w strefie technicznej, potrafią pewnego dnia nie mieć głosu. U mnie bywało, że byłem zmęczony trzema, czterema kolejnymi transmisjami, dużo i głośno mówiłem, i następnego dnia przy mocnym krzyku mogłem delikatnie utracić barwę. Ale nie było tak, że nie mogłem mówić. Pamiętam jednak, że w poprzednim sezonie zdarzyło się tak, że poprosiłem o wolne od meczu żużlowego, bo 15 wyścigów dzień po dniu to było dla mnie za dużo. Nie straciłem całkowicie głosu, ale człowiek się męczy, eksploatuje. Struny głosowe są narzędziem, które też się eksploatuje. Nie można codziennie komentować na wysokim poziomie. To tak jak nie da się codziennie biegać maratonów.

Internet i opinie: „Každy czyta. Jak mówi, że nie – to kłamie”

Mateusz Prokopiak: Komentator jest oceniany natychmiast – w mediach

społecznościowych, na forach, w wiadomościach prywatnych. Czytasz komentarze na swój temat?

Michał Mitrut: Chciałbym, żeby wszyscy komentatorzy i dziennikarze odpowiadający na takie pytanie byli szczerzy, bo każdy czyta. I jeśli ktoś mówi, że tego nie robi, to raczej kłamie. Bo jak to można nie czytać tego, co ludzie piszą na twój temat, kiedy pracujesz dla widzów, dla ludzi, kiedy bardzo istotne jest to, co o tobie myślą, jak oceniają twoją pracę? Musisz to robić. Oczywiście dla mnie najważniejsze jest to, co ja sam sądzę na temat swojej pracy. Bardzo ważne jest też to, co myślą moi przełożeni. Ale w tym wszystkim istotna jest opinia kibica – nawet jeżeli bym nie chciał, to ona do mnie dociera, bo ktoś mnie oznaczy w serwisie X i ta opinia do mnie przychodzi. Dziękuję za wszystkie opinie, czy pozytywne, czy negatywne.

Mateusz Prokopiak: Na zakończenie. Czego sobie życzysz w tym 2026 roku?

Michał Mitrut: Mam nadzieję, że przyniesie mi dużo satysfakcji z życia, z pracy, że dalej będę się rozwijać. Korzystając z okazji, że rozmawiam Mateusz z tobą, a więc

rozmawiam też pośrednio z całą społecznością Stali, chciałem przede wszystkim życzyć Wam wszystkiego co najlepsze w roku 2026. Jak najwięcej powodów do zadowolenia z postawy drużyny, żeby ona się wydzignęła, żeby pięła się w górę. Bo nie ukrywam, że tęsknię za społecznością Stali Mielec. Mimo że to niewiele ponad pół roku od kiedy nie ma Was w PKO BP Ekstraklasie, to bardzo mi brakuje wyjazdów do was i kontaktu z Wami.

Piłki nożnej i żużla potrzebuję w swoim życiu do szczęścia zawodowego

Michał Mitrut



Wywiad przeprowadził

Mateusz Prokopiak
FKS Stal Mielec

X @m_prokopiak

KARNETY

Runda wiosenna 2025/2026

Karnety dostępne na
stronie **www.bilety.stalmielec.com**
oraz w **Sklepie FKS Stal Mielec**
przy ul. Solskiego 1.



SPONSORZY I PARTNERZY



NCMETAL



„PIŁKA MA BYĆ **PRZEWIDYWALNA**. RESZTA TO DETALE”

Michał Wiącek o kulisach współpracy SELECT z Betclit 1 Liga, technologii meczówek i tym, skąd bierze się różnica między „official match ball” a „Replika”.

Select to duńska marka vbogatą historią innowacji – jej założycielem był bramkarz Eigil Nielsen, który w 1962 roku opracował rewolucyjną futbolówkę złożoną z 32 paneli.

Ten klasyczny układ stał się standardem na dekady, zapewniając bardziej przewidywalny lot piłki i stały kozioł w każdych warunkach. Firma od lat jest obecna na międzynarodowej scenie piłkarskiej jako dostawca oficjalnych piłek meczowych w wielu ligach. Najsilniejszą pozycję wypracowała w Skandynawii – Select jest oficjalnym dostawcą futbolówek m.in. dla najwyższych klas rozgrywkowych Norwegii (Eliteserien, OBOS-ligaen oraz kobiecia Toppserien), Szwecji (Allsvenskan oraz Superettan) i Danii (3F Superliga oraz kobiecia A-Liga). Co więcej, należąca do Select niemiecka marka Derbystar od kilku sezonów dostarcza piłki dla Bundesligi i Eredivisie – łącznie Select Group obsługuje jedenaście lig europejskich, w tym tak topowe jak niemiecka i holenderska. W Polsce Select zadebiutowała jako partner techniczny zaplecza PKO BP Ekstraklasy w sezonie 2020/2021. Od tego czasu każdy kolejny sezon Betclit 1 Ligi rozpoczyna się prezentacją nowego modelu piłki meczowej dedykowanej rozgrywkom – kulminacją tej współpracy jest obecny sezon 2025/2026, na który po raz pierwszy przygotowano futbolówkę zaprojektowaną specjalnie z myślą o Betclit 1 Lidze. W poniższej rozmowie z Michałem Wiąckiem z przedstawicielem firmy Select w Polsce, rozkładamy tę futbolówkę na czynniki pierwsze: od znaczenia partnerstwa z ligą i opinii zawodników o piłce, przez technologię „Thermo Bonded” i testy FIFA Quality Pro, aż po wyjaśnienie, skąd bierze się duża różnica w cenie między topową meczówką a jej tańszą repliką.

Partner techniczny ligi: „dla Selecta – to zaszczyt”

Bartłomiej Płonka: Zaczniemy od pytania podstawowego. Jak duże wyzwanie dla producenta piłek stanowi fakt, że SELECT jest marką techniczną Betclit 1 Ligi?

Michał Wiącek: Szczerze? Dla Selecta to nie jest problem – to zaszczyt. To firma, która od lat jest partnerem technicznym różnych lig, ma doświadczenie w obsłudze rozgrywek na najwyższym światowym poziomie – zarówno w futbolu, jak i w innych dyscyplinach. Select to marka „z boiska”, nie tylko „ze sklepu”. Jeśli spojrzymy szerzej, to SELECT jest bardzo mocny w Skandynawii – choćby w Norwegii jest oficjalnym dostawcą piłek ligowych (męska Eliteserien, OBOS-ligaen, kobiecia Toppserien). W Szwecji od kilku lat jest oficjalną piłką Allsvenskan i Superettan, a umowa była przedłużana na kolejne sezony. To pokazuje skalę i stabilność takich projektów. W Polsce współpraca ligi z SELECT trwa od sezonu 2020/2021, więc to też już nie jest „nowy” projekt – to coś, co zostało sprawdzone w czasie.

Bartłomiej Płonka: A na polskim rynku – to wyzwanie wygląda inaczej?

Michał Wiącek: Początki na pewno były wyzwaniem w sensie operacyjnym i logistycznym. Dla dystrybutorów to był duży kontrakt, bo wcześniej nie robiliśmy takiej skali. Natomiast bardzo szybko się to poukładało. Z mojej perspektywy pomogło też to, że ja i mój wspólnik jesteśmy związani ze środowiskiem piłkarskim – mamy kontakty w klubach, znamy realia, wiemy, jak wygląda świat piłki nożnej od kuchni. Dziś jest to zorganizowane w taki sposób, że działamy jako jeden z dwóch dystrybutorów SELECT w Polsce obsługujących kontrakt z Betclit 1 Liga, a kluby są „przypisane” do konkretnych opiekunów. FKS Stal Mielec jest pod naszą kuratelą – odpowiadamy za to, żeby od strony organizacyjnej wszystko grało i klub miał wsparcie w zakresie piłek meczowych i tego, co trafia do kibiców. I na ten moment mogę z całą pewnością powiedzieć, że ta nasza współpraca układa się bardzo dobrze.

Bartłomiej Płonka: A jak w ogóle wygląda droga do zostania partnerem technicznym ligi? To jest bardziej „przetarg”, jak w prawach TV?

Michał Wiącek: Jest to podobny mechanizm: liga ogłasza proces wyboru, firmy składają oferty, potem prowadzone są rozmowy z najlepszymi i wybierany jest partner. Nie mam pełnej wiedzy o całym formalnym modelu – mówię z perspektywy tego, jak to funkcjonuje u producenta i w praktyce rynkowej. Wiadomo natomiast jedno: skoro współpraca trwa od 2020/2021 i była przedłużana, to znaczy, że obie strony widzą w tym sens. A od sezonu 2025/2026 doszedł jeszcze element ważny wizerunkowo: po raz pierwszy powstała piłka z designem dedykowanym specjalnie rozgrywkom Betclit 1 Ligi (wcześniej były to piłki katalogowe z brandingiem rozgrywek).

Bartłomiej Płonka: Co ta zmiana oznacza dla ligi i kibiców?

**Mogę z całą pewnością powiedzieć,
że ta nasza współpraca układa
się bardzo dobrze**

Michał Wiącek

Michał Wiącek: To przede wszystkim potwierdzenie, że projekt dojrzeje. Własny design piłki to zawsze prestiż – kibice widzą, że 1 Liga ma swoją piłkę meczową, a nie tylko „przelakierowane” logotypem rozgrywek modele katalogowe. Dla nas – jako partnera technicznego – to też większe wyzwanie organizacyjne, ale i powód do

dumy. Widzimy, że ligi najwyżej oceniają personalizację: skoro dla 1 Ligi zrobiono dedykowany projekt, to znaczy, że zaplecze Ekstraklasy jest traktowane poważnie, a współpraca jest stabilna.

Bartłomiej Płonka: Czy kibice i kluby jakoś szczególnie zareagowali na tę nową piłkę?

Michał Wiącek: Odbiór jest bardzo pozytywny. Dostajemy sygnały, że taka „nasza” piłka dodaje rozgrywkom charakteru. Kluby chętnie eksponują ją w komunikacji – choćby przy okazji prezentacji piłek z herbem klubowym czy materiałów marketingowych przed sezonem. Kibice pytają o możliwość kupna, pojawiły się repliki w sprzedaży. To buduje zaangażowanie fanów, a o to przecież chodzi. Widzimy, że nie jest to tylko gadżet, ale element identyfikacji ligi. Sezon 2025/26 przyniósł Betclik 1 Lidze premierę unikatowej futbolówki Select Brilliant Super TB V25, zaprojektowanej wyłącznie dla polskich rozgrywek. To topowy model z 32 paneli zgrzewanych termicznie, utrzymany w biało-czerwonej kolorystyce nawiązującej do logotypu i barw ligi. Dzięki takiej konstrukcji piłka praktycznie nie chłonie wody i zachowuje pierwotną wagę nawet na mokrej murawie. Nowa mikrostruktura materiału zewnętrznego gwarantuje stabilną trajektorię lotu oraz poprawia tarcie między piłką a butem, co ułatwia kontrolę – a bramkarze docenią lepszą przyczepność futbolówki. Pierwszoligowi piłkarze mogą więc rywalizować piłką technicznie identyczną jak ta w topowych ligach Europy.

Co mówi o piłce prawdę: feedback zawodników

Bartłomiej Płonka: Jak w praktyce ocenia się, czy piłka „pracuje” dobrze? Co jest dla Was najważniejsze?

Michał Wiącek: Najlepszy wskaźnik to zawsze feedback od zawodników i trenerów, bo to oni są tymi, którzy naprawdę czują piłkę: w pierwszym kontakcie, przy dośrodkowaniu, w uderzeniu z dystansu, przy przyjęciu na śliskiej murawie. I powiem tak: z tego, co słyszymy w rozmowach z piłkarzami i trenerami klubów pierwszoligowych, feedback jest bardzo pozytywny. Nawet zawodnicy, którzy wcześniej grali w PKO BP Ekstraklasie i mają w nogach inne piłki, mówią, że nie odczuwają jakiegś realnej różnicy jakościowej między tym, czym grali wcześniej, a tym, czym gra się w Betclik 1 Lidze. Dla nas to jest najważniejsza informacja: że produkt jest na poziomie, którego zawodnicy nie kwestionują. To też jest logiczne: gdyby piłka „przeszkadzała”, gdyby była problemem, trudno byłoby utrzymać takie partnerstwo w czasie.

Bartłomiej Płonka: Jakie w ogóle mogą być zastrzeżenia piłkarzy do piłki? Co jest najczęstszym „punktem zapalnym”?

Michał Wiącek: Przede wszystkim przewidywalność. Każdy pamięta piłki z turniejów, o których mówiło się: „dziwnie lata”. Ja sam, jako ktoś, kto kiedyś

grał, pamiętam sytuacje, gdy piłka potrafiła polecieć i nagle zmienić tor lotu. I wtedy cierpią wszyscy: strzelający, bramkarz, obrońca – bo futbol przestaje być „uczciwy”. Dziś produkcja topowych piłek poszła w kierunku technologii bezszwowych: klejenie, zgrzewanie termiczne – każda firma nazywa to trochę inaczej. Klucz jest taki, że piłka ma być stabilna w locie, ma zachowywać się w sposób przewidywalny i nie może „oszukiwać” przy uderzeniu. (Dopowiedzenie redakcyjne: Na mundialu 2010 głośno krytykowano oficjalną piłkę Adidas Jabulani (8 paneli) za nieprzewidywalny lot – bramkarze skarżyli się, że zbyt gładka piłka „myli” tor niczym knuckleball w baseballu. Późniejsze badania fizyków potwierdziły, że zarówno Jabulani, jak i jej 14-panelowy poprzednik Teamgeist (MŚ 2006) zachowywały się w powietrzu bardziej kapryśnie niż tradycyjne futbolówki 32-panelowe. Producenci wyciągnęli wnioski: kolejne modele wyposażano w mikrostrukturę na powierzchni (np. Bazuca 2014 miała tylko 6 paneli, ale pokrytych setkami wypustek dla zwiększenia stabilności). Z kolei Select chwali się, że jego flagowa piłka Brilliant Super TB osiąga znakomitą stabilność aerodynamiczną – w testach tunelowych na Uniwersytecie Tsukuba wykazano, iż klasyczna konstrukcja 32-panelowa stawia opór powietrza nieco później w locie niż konkurencyjne modele, dzięki czemu piłka dłużej utrzymuje wysoką prędkość i przewidywalną trajektorię. Wszystko po to, by futbolówka zachowywała się uczciwie wobec graczy.)



Bartłomiej Płonka: A skoro wspomnieliśmy o „przełomach” – czy zgadza się Pan z tezą, że mundial 2006 i Adidas Teamgeist był takim ważnym momentem dla technologii piłek?

Michał Wiącek: Tak, uważam, że to był przełom. To był czas, gdy piłki zaczęły mocniej odchodzić od tradycyjnego ręcznego szycia i wchodziła technologia klejenia/zgrzewania. Piłka stała się szybsza, „czystsza” w kontakcie, a produkcja poszła w stronę nowoczesności. Dziś Select ma też piłki szyte ręcznie, bo są tacy, którzy bardzo je cenią – choćby za trwałość, np. Bundesliga wołała grać piłkami meczowymi od Derby Star by Select szytymi ręcznie. Natomiast jeśli mówimy o topowych meczówkach, to kierunek jest jasny: piłki klejone albo – jak robi to Select – zgrzewane termicznie.

W przypadku Brilliant Super „TB” to właśnie oznacza: połączenie paneli jest termiczne, bez klasycznych szwów.

TB, mikrostruktura, FIFA Quality Pro: co to realnie znaczy?

Bartłomiej Płonka: Kibice często słyszą hasła: „Thermo Bonded”, „FIFA Quality Pro”, „mikrostruktura”. To brzmi jak marketing. Co to znaczy w praktyce?

Michał Wiącek: Zacznijmy od TB. W Select oznaczenie TB (Thermo Bonded) wskazuje konstrukcję bezszwową – panele są łączone w technologii termicznej. Dzięki temu piłka mniej chłonie wodę i lepiej trzyma swoje parametry na mokrej murawie. To jest ważne, bo kiedyś piłki potrafiły robić się ciężkie w deszczu i nagle „przestawały być tą samą piłką”. Dziś ten problem jest marginalizowany właśnie przez takie rozwiązania. Co do testów: Select ma swój system testowania piłek, a przy najwyższym standardzie wchodzi też certyfikacja FIFA. Tam nie ma „uznaniowości”

– jest zestaw badań, które sprawdzają, czy piłka jest równa, czy trzyma wagę, czy nie traci powietrza i czy zachowuje kształt. To jest twarda rzecz. FIFA Quality opisuje konkretne testy laboratoryjne futbolówek – sprawdzane są m.in. waga, obwód, okragłość, wysokość i spójność odbicia, chłonność wody, utrata ciśnienia oraz zachowanie kształtu i rozmiaru. Tylko piłki, które pomyślnie przejdą wszystkie siedem prób, mogą otrzymać certyfikat jakości FIFA. Co więcej, odznaczenie FIFA Quality Pro – najwyższy standard – wymaga zdania tych testów w jeszcze bardziej wyśrubowanych warunkach (np. dopuszczalne odchylenia wymiarów czy parametrów są mniejsze). Dzięki temu logo FIFA Quality Pro na piłce oznacza, że spełnia ona rygorystyczne normy i nadaje się do użytku w profesjonalnych rozgrywkach najwyższego szczebla.

Bartłomiej Płonka: Warunki pogodowe – mają dziś w ogóle znaczenie dla samej konstrukcji piłki?

Michał Wiącek: Dzisiaj w topowych piłkach meczowych absorpcja wody praktycznie nie jest problemem, właśnie przez konstrukcję bezszwową. Zimowe piłki różnią się zwykle przede wszystkim kolorystyką, żeby były lepiej widoczne na śniegu czy w gorszych warunkach. Natomiast materiał i powłoka zewnętrzna pozostają w podobnym standardzie. Wiatr? To już nie jest coś, co producent „ustawia” pod piłkę, bo tu kluczowe są normy dotyczące wagi i parametrów. Piłka nie może być raz taka, raz taka – musi trzymać zakresy. Wspomniana mikrostruktura powierzchni piłki to po prostu specjalna tekstura pokrywająca poszycie – ma ona zapewnić lepszą kontrolę i stabilny lot nawet w niesprzyjających warunkach. Oficjalny opis meczowej piłki 1 Ligi podkreśla właśnie tę mikrostrukturalną powłokę, gwarantującą powtarzalną trajektorię oraz optymalne tarcie piłka-but. Innymi słowy, piłka nie jest całkowicie gładka – drobne wypukłości czy wzory na powierzchni działają podobnie jak dołeczki na piłeczce golfowej czy wypustki Brazuki, stabilizując lot. Dzięki temu zawodnicy mogą liczyć na to, że piłka zachowa się tak samo przy każdym uderzeniu.

Meczówka vs replika: dlaczego cena tak się różni?

Bartłomiej Płonka: Pytanie, które słyszy każdy kibic: czym różni się oficjalna piłka meczowa od repliki?

Michał Wiącek: Przede wszystkim jakością i procesem produkcji. Replika to piłka wyraźnie niższej półki: inne materiały, inna grubość, inna „miękkosć” w kontakcie. Jest też inaczej produkowana – repliki bardzo często są szyte maszynowo, a meczówka w tym standardzie to piłka zgrzewana termicznie (TB). Chociaż wszystko oczywiście zależy od danego producenta.

Bartłomiej Płonka:
A przeciętny kibic – nie piłkarz – odczuje tę różnicę?

Michał Wiącek: Zdecydowanie. Nawet laik, biorąc piłkę do ręki, poczuje różnicę. Replika jest świetna dla kibica: do rekreacji, do gry „z ojcem i synem”, do treningu w młodszych grupach, do postawienia na półce z autografami. Ale to nie jest piłka, którą na co dzień powinien trenować senior na wysokim poziomie. Świetnym przykładem jest to, co robi wiele klubów w sklepach: kibic ma wybór kilku poziomów – meczówka, treningówka i replika – i każdy wybiera pod swój cel. *(Dopowiedzenie redakcyjne: Różnice między oficjalną piłką meczową a repliką widać też w cenie. Topowa meczówka (taka jak Select Brilliant Super TB z certyfikatem FIFA Quality Pro) to wydatek rzędu kilkuset złotych – przykładowo oficjalna piłka Betclic 1 Ligi kosztuje ok. 370 zł, natomiast jej replika jest dostępna za ok. 100 zł. Za wyższą ceną idzie jednak najwyższa jakość wykonania, trwałość i parametry gry potwierdzone atestami. Replika, choć znacznie tańsza, nigdy nie dorówna meczówce ani lotem, ani czuciem, ani żywotnością materiałów.)*

Select poza futbolem: „w ręcznej to hegemon”

Bartłomiej Płonka: Select kojarzymy z piłką nożną, ale firma robi też piłki do innych dyscyplin. Gdzie jest najmocniejsza?

Michał Wiącek: Historycznie Select jest bardzo silny w piłce ręcznej – to w Skandynawii jest dyscyplina numer jeden obok futbolu. W świecie piłki ręcznej SELECT rzeczywiście ma pozycję dominującą – od sezonu 2016 jest oficjalnym dostawcą piłek dla EHF Champions League, czyli elitarnej Ligi Mistrzów piłkarzy ręcznych (kontrakt niedawno przedłużono do 2028 roku). Nasza polska Orlen Superliga od czasu powstania w 2023 roku używa Select Ultimate jako piłki meczowej. Również wcześniej jako PGNiG Superliga korzystała z naszych piłek, współpraca ta trwa od 2010 roku, więc jesteśmy dumni ze współpracy już od 16 lat. Logo Select widnieje na piłkach w najważniejszych meczach klubowych tej dyscypliny, co podkreśla, jak mocno marka związana jest z handballem. Podobnie w futsalu – SELECT od lat produkuje specjalistyczne piłki o zmniejszonym kożłowaniu, wykorzystywane w ligach i turniejach halowych na całym świecie.

Bartłomiej Płonka: A z perspektywy technologii – czym najbardziej różni się produkcja piłki nożnej i ręcznej?

Michał Wiącek: Tu nie będę udawał eksperta producenta, bo dystrybutor nie zna wszystkich detali technologicznych. Natomiast z tego, co wiem, piłka ręczna długo opierała się o konstrukcję szyte ręcznie (choć pojawiają się też rozwiązania hybrydowe), podczas gdy w piłce nożnej topowe meczówki idą w stronę technologii bezszwowej i termicznej.

Jak mierzy się sukces „marki technicznej” – i co dalej?

Bartłomiej Płonka: Jak mierzy się sukces marki technicznej

W sezonie 2025/2026 po raz pierwszy powstała piłka z designem dedykowanym specjalnie rozgrywkom Betclic 1 Ligi

w rozgrywkach?

Michał Wiącek: Logicznie rzecz biorąc – rozpoznawalnością i sprzedażą w danym kraju: czy piłki „wchodzą” do akademii, czy kluby chcą nimi trenować, czy kibice je kupują. No i wracamy do punktu wyjścia: czy liga i zawodnicy są zadowoleni. Jeśli piłka nie spełnia oczekiwań, nie ma szans na dłuższą współpracę.

Bartłomiej Płonka: Jakie cele stawiacie sobie na 2026 rok?

Michał Wiącek: Z naszej strony – jako dystrybutora – najważniejsze jest utrzymać bardzo wysoki poziom obsługi klubów: kontakt, logistyka, dostępność piłek meczowych, treningowych i tych, które trafiają do kibiców. Chcemy, żeby współpraca dalej przebiegała tak dobrze jak dotąd i żeby feedback był pozytywny na wszystkich

poziomach.

Bartłomiej Płonka: A gdy Pan ogląda mecz – patrzy Pan na piłkę czy na samą grę?

Michał Wiącek: Zdecydowanie na mecz. Jestem „zawodnikiem i trenerem”, więc patrzę na futbol trochę inaczej: bardziej na taktykę, strategię, na zachowania zespołów. Piłka jest dla mnie smaczkiem – szczególnie w Betclie 1 Lidze, bo wiem, co to za produkt i jaką drogę przeszedł, zanim trafił na boisko.

Bartłomiej Płonka: Dziękuję za rozmowę.

Michał Wiącek: Dziękuję.

W Select oznaczenie TB wskazuje na konstrukcję beزشwową - panele są łączone w technologii termicznej

Michał Wiącek



Wywiad przeprowadził

Bartłomiej Płonka
Redakcja: Przegląd Sportowy

X @bart_plonka

„JEŚLI CHCESZ COŚ USTALIĆ W BETCLIC 1 LIDZE, NAJLEPIEJ MIEĆ MÓJ NUMER”

W tabeli wszystko wygląda prosto: kolejka, wynik, następny mecz. Od środka to zupełnie inna gra – sieć zależności, decyzji i detali, które muszą się spiąć, żeby liga działała: transmisja, infrastruktura, bezpieczeństwo, sponsorzy, komunikacja, procedury. Bartosz Wiśniewski opowiada o roli Dyrektora operacyjnego Betcllic 1 Ligi, o swojej drodze do ligi, o tym, jak gasi się pożary, których kibic nie ma prawa zauważyć, i dlaczego „terminarz” to nie złośliwość, tylko układanka.

„Wszystko, co można w lidze wymyślić, trafia do mnie”

Mateusz Prokopiak: Gdybyś miał w jednym zdaniu wytłumaczyć kibicom, czym zajmuje się dyrektor operacyjny Betcllic 1 Ligi – jak by to brzmiało?

Bartosz Wiśniewski: Jednym zdaniem – praktycznie wszystkim. Czyli od organizacji rozgrywek, przez kwestie licencyjno-organizacyjne, komunikację, współpracę z telewizją, sponsorami i PZPN-em. Czyli w praktyce wszystkie te rzeczy przechodzą przeze mnie i gdzieś na pewnym etapie je nadzoruję.

Mateusz Prokopiak: Potwierdzisz zatem tę tezę z życia: jeśli klub, sponsor albo ktoś „z zewnątrz” chce coś sprawnie ustalić w Betcllic 1 Lidze, to najlepiej mieć numer telefonu do Bartosza Wiśniewskiego?

Bartosz Wiśniewski: Można tak powiedzieć, natomiast nie oznacza to, że w lidze nie pracują również inne osoby – staram się dzielić odpowiedzialnością. Zespół systematycznie się rozwija, więc z roku na rok, z sezonu na sezon tych osób przybywa. I tak – ja uczestniczę w większości tych rozmów. Nawet jeżeli są jakieś rozmowy wstępne ze sponsorem, to najprawdopodobniej ja też przy nich biorę udział, żeby operacyjnie to wszystko zaopiniować, zobaczyć, jakie mogą występować problemy w realizacji i ewentualnie też coś doradzić sponsorowi, w którym kierunku możemy iść wspólnie. Jako Liga nie wychodzimy do sponsorów z zamkniętą, niezmienną ofertą. Podczas prowadzonych negocjacji zawsze szukamy pól wspólnych, w których możemy realnie wesprzeć siebie nawzajem. I często jesteśmy otwarci na różne pomysły, również te niestandardowe – i sądzę, że działa to też w drugą stronę. Podsumowując: jak ktoś do mnie zadzwoni w sprawie ligowej to zawsze pomogę, bo nawet jeżeli sam nie będę w stanie odpowiedzieć czy załatwić jakichś rzeczy, to jestem w stanie pokierować albo zorganizować spotkanie, żeby wszystkie kwestie zostały domknięte.

Mateusz Prokopiak: A jaki jest największy mit o pracy „w centrali” ligi – coś, co ludzie sobie dopowiadają, a rzeczywistość wygląda inaczej?

Bartosz Wiśniewski: Jednym z mitów jest przekonanie, że tych osób jest bardzo dużo: że pracuje tu 150 albo 200 osób. W samej lidze z pewnością

tyle nie ma – tyle może mieć cała federacja. Drugim takim mitem mogą być opinie kibiców, że ktoś komuś działa na niekorzyść: że centrala robi komuś na złość albo liga komuś działa na niekorzyść – jeżeli chodzi o decyzje terminarzowe czy regulaminowe. A z pełną odpowiedzialnością mogę stwierdzić, że tak nie jest.

Od dziennikarstwa do dyrektora operacyjnego

Mateusz Prokopiak: Jak wyglądała twoja ścieżka zawodowa do Betcllic 1 Ligi?

Bartosz Wiśniewski: Zaczynałem od dziennikarstwa – takie studia skończyłem. A w międzyczasie pracowałem w „Sportowych Faktach” i w „Tygodniku Kibica” i zajmowałem się klubami z Trójmiasta: Arka, Lechia. Później też z regionu: Chojniczanka, Bytovia – czyli klubami, które występowały na poziomie centralnym. W pewnym momencie pojawiła się oferta z Drutex-Bytovii, abym został rzecznikiem prasowym. Klub awansował do 1 Ligi i szukał pomocy, jak to wszystko komunikacyjnie zorganizować.

Po pewnym czasie pojawiła się oferta z Pierwszej Ligi Piłkarskiej od Pani Prezes Martyny Pajączek, więc zdecydowałem się wykonać kolejny krok na swojej zawodowej ścieżce. Dołączyłem do Mateusza Adamczyka, który był jedyną osobą w zespole, która pracowała w tamtym czasie w dziale komunikacji i marketingu. Wówczas byłem ja, był Mateusz, i był zarząd. Tak się zaczęła moja przygoda z ligą, gdzie w początkowym etapie byłem odpowiedzialny za komunikację, później za marketing, i tych obowiązków z roku na rok przybywało.

Mateusz Prokopiak: Ile to już lat?

Bartosz Wiśniewski: W lidze pracuje od lipca 2018 roku, więc to już ponad siedem lat.

*W lidze pracuje od lipca 2018 roku,
więc to już ponad siedem lat*

Bartosz Wiśniewski

Mateusz Prokopiak: Patrząc na całą twoją ścieżkę: co było najbardziej przełomowe?

Bartosz Wiśniewski: W mojej ocenie przejście do ligi było bardzo ważne. Ponieważ ja, jak pracowałem w Bytowie i Prezesem ligi była Martyna Pajączek, to ta liga raczkowała. Był pierwszy sponsor, firma Nice. Pojedyncze mecze



FOTO: ARCHIWUM PRYWATNE BARTOSZA WIŚNIEWSKIEGO

w telewizji Polsat- jeden lub dwa w kolejce. Były pierwsze spotkania rzeczników prasowych czy działów marketingu w Warszawie. Ostatnio wpadło mi w ręce zdjęcie z takiego spotkania, na którym jestem z Kubą Piekutem, który wtedy i teraz pracuje w Chojniczance Chojnice, a zdjęcie robiła Alicja Męczyńska z Chrobrego Głogów. Liga dynamicznie się rozwijała, a my jako przedstawiciele działów komunikacji w klubach staraliśmy się jak najlepiej realizować wszystkie nowe obowiązki, które się pojawiały.

Z pewnością tak jak już wspominałem przejście do Ligi to był duży krok na przód, a następnie praca w niej krok po kroku kiedy to z miesiąca na miesiąc te obowiązki były coraz większe. Na pewno takim kluczowym momentem pracy już w Lidze było zaproponowanie przez prezesa Janickiego, żebym został dyrektorem operacyjnym.

Mateusz Prokopiak: Co cię najbardziej zaskoczyło, kiedy wszedłeś „w ligę” i zacząłeś działać z poziomu rozgrywek, a nie klubu?

Bartosz Wiśniewski: W momencie mojego przyścia do ligi firma Fortuna została sponsorem tytularnym rozgrywek, produkt wciąż rozwijał się w telewizji Polsat.To z pewnością było dla mnie coś nowego. Trzeba było spojrzeć na ligę jako całość, przez pryzmat wszystkich osiemnastu klubów. Wcześniej w Drutex-Bytovii współpracowałem praktycznie tylko z jednym sponsorem, a w lidze ta drabinka sponsorów i partnerów rozwijała się dynamicznie.

Z perspektywy czasu z pewnością pozytywnie zaskakuje tempo, w jakim liga się rozwinęła. I ten czas COVIDowy – jak my jako liga na nim zyskaliśmy, bo wtedy odbyły się rozmowy, żeby wszystkie mecze 1 Ligi były transmitowane w internecie (wówczas na Ipli Polsatu) z jednej kamery, bez komentarza. Co rundę polepszaliśmy produkt: dokładaliśmy kamery, komentarz. PZPN dołożył system VAR. Z perspektywy czasu można powiedzieć, że COVID paradoksalnie bardzo mocno nam pomógł w kwestii telewizyjnej, chociaż oczywiście problemy z realizacją świadczeń sponsorskich mieliśmy, ale na szczęście ligę udało się dograć.

Weekend pod telefonem: „pożary”, których kibic nie ma prawa zauważyć

Mateusz Prokopiak: Jak wygląda twój „typowy” dzień pracy w trakcie sezonu? Co realnie zabiera najwięcej czasu?

Bartosz Wiśniewski: Z pewnością dużo czasu poświęcamy na bieżącą współpracę z naszymi partnerami, żeby ta współpraca z miesiąca na miesiąc wyglądała coraz lepiej. Dużo spotykamy się w naszym wewnętrznym gronie. Staramy się dobrze planować wszystkie procesy. Zespół jest tak zbudowany, że wszyscy znają swoje zadania, ale bardzo często pomagamy sobie nawzajem.

Ważne też są dla nas regularne spotkania ze wszystkimi sponsorami i partnerami rozgrywek. Współpraca ze sponsorem tytularnym firmą Betclitc była dla nas wyzwaniem. Wiemy, jak wygląda komunikacja firmy i jest ona dość bezpośrednio skierowana do kibiców. Na pewno musieliśmy się jej trochę nauczyć.

Mateusz Prokopiak: Jak podejmujesz decyzje pod presją – kiedy sytuacja wymaga

reakcji tu i teraz?

Bartosz Wiśniewski: Staramy się zawsze wypracować rozwiązanie razem z Prezesem, bo przy największych tematach Prezes jest osobą, która ma wiodący wpływ. Staramy sobie zawsze dać czas i jeśli sytuacja wymaga szybkiej reakcji, to ona następuje, ale jeżeli jest możliwość, żeby na spokojnie ochłoniąć i podjąć decyzję, to idziemy w tym kierunku.

Najwięcej tych pożarów czasami jest w dni meczowe, w weekendy: jeżeli dostaje informację od partnera telewizyjnego czy od klubów, jeśli chodzi o organizację dnia meczowego – opady śniegu, problemy infrastrukturalne, podnośniki, brak prądu, problem z oświetleniem i tego typu sytuacje. Wtedy staramy się działać we współpracy z klubem i szukać rozwiązań wspólnie i z obopólnym zrozumieniem. Najważniejsza w takich sytuacjach jest współpraca.

Mateusz Prokopiak: A co jest dla Ciebie prywatnie najtrudniejsze w tej pracy: tempo, odpowiedzialność, stres,

to bycie pod telefonem praktycznie 24/7?

Bartosz Wiśniewski: To, żeby ciągle być pod telefonem i pod prądem. Czasami jest tak, że człowiek ma zaplanowane kino w sobotę wieczór, wchodzi do sali kinowej i w tym momencie zaczynają się telefony – i już wie, że z tego wyjścia nic nie wyjdzie. Pracowałem w klubie, więc rytm weekendowy jest mi znany. Tylko w Bytowie miałem jeden mecz – jeden domowy do zorganizowania albo jeden wyjazdowy. A tu mam dziewięć spotkań i w każdym może się coś wydarzyć. Więc w mojej ocenie to jest najtrudniejsze: weekendowe pożary.

Mateusz Prokopiak: Najtrudniejszy pożar, z jakim się mierzyłeś – bez nazw klubów, bardziej sytuacyjnie?

Bartosz Wiśniewski: Czasami zdarzają się sytuacje w klubach, że pojawia się problem z transmisją. I wtedy minimalizujemy ryzyko wizerunkowe i operacyjne, żeby kibice nie zorientowali się, jak duży jest dany problem. Staramy się z Telewizją Polską albo z podwykonawcą działać tak, żeby kibic oglądający mecz nie był w stanie się zorientować, że coś jest nie tak. To są największe pożary, bo jest najmniej czasu na reakcję.

Oczywiście jeżeli jest trudna sytuacja pogodowa, to czasami niektóre kluby trzeba zmotywować do działania, nałożyć taką pozytywną presję w celu przygotowania boiska do gry np. podczas opadów śniegu. Ale jesteśmy na takim etapie rozwoju ligi, że wszyscy wiedzą, że nie mogą sobie pozwolić na zaniedbania. Oczywiście czasami sypie tak, że meczu nie da się rozegrać. Ostateczną decyzję zawsze podejmuje sędzia na miejscu, bo on widzi najlepiej, jak to wygląda.

Takiego konkretnego pożaru „katastrofalnego” na szybko sobie nie przypominam. Pewnie kilka razy mieliśmy problem z podnośnikami, które na stadionach gdzie są one wymagane, nie podjechały i obraz w telewizji nie wyglądał dobrze. Kilka razy zawiodła infrastruktura internetowa na niektórych obiektach. Ale większych pożarów nie było.

Trofea, helikopter i „produkt” ligi

Mateusz Prokopiak: A kiedy miałeś największą satysfakcję w tej pracy?

Bartosz Wiśniewski: Moment zakończenia rozgrywek: finał baraży poprzedniego sezonu, mecz Wisły Płock z Miedzią Legnica. Ta ceremonia wręczenia pucharu za awans. Organizacja takiego wydarzenia tworzona była etapami i z sezonu na sezon to rozwijaliśmy. Kiedyś liga i PZPN za wygranie czy za awans do Ekstraklasy nie przewidywały żadnego pucharu ani innego trofeum.

Razem z zespołem rozpoczynaliśmy te kroki. Najpierw każda drużyna otrzymywała te same puchary. Po jakimś czasie kibice zorientowali się, że to są puchary nie dedykowane, tylko katalogowe. Kolejnym krokiem było to, żeby trofea były więc jednak dedykowane i tutaj przysłała pomoc ze strony naszego sponsora tytularnego - firmy Betclit. I mamy teraz dwie patery: paterę za wygranie baraży, paterę za drugie miejsce i dedykowany puchar za wygranie ligi. Firma Betclit zrobiła też Trophy Tour, dzięki któremu kibice w każdym mieście w którym odbywają się rozgrywki Betclit 1 Ligi mogą zobaczyć ten puchar na żywo.

Cała ceremonia i zwieńczenie w Płocku wyglądało dobrze, chociaż było trudne do organizacji. To był mój drugi albo trzeci finał barażowy, w którym bezpośrednio uczestniczyłem i pomagałem w organizacji. Drużyna, która uzyskuje

awans, jest w takich emocjach, że bardzo trudno do nich dotrzeć i ciężko do nich „dochodzi” to, co się mówi. A do tego kibice wbiegli z całego stadionu na płytę – to było dużym wyzwaniem. Ale była też wielka satysfakcja z naszej strony, że udało się to zwieńczyć.

Również końcówka sezonu dała dużo radości, kiedy razem z Betclit zrobiliśmy akcję z helikopterem w ostatniej kolejce, gdzie trofeum miało polecieć albo do Stalowej Woli, albo do Niecieczy. To była akcja organizowana w dość szybkim tempie, ale ostatecznie wszystko się udało. Było też wartościowe zaangażowanie telewizji i całość dobrze opakowaliśmy. To zwieńczenie poprzedniego sezonu zostanie ze mną na długo.

Mateusz Prokopiak: I potwierdźmy: helikopter leciał z Mielca.

Bartosz Wiśniewski: Tak – helikopter leciał z Mielca. I tutaj czynna pomoc waszego klubu i waszego Prezesa Jacka Klimka. To był nasz pierwszy kontakt, bo poprosiliśmy o pomoc i z waszym wsparciem wszystko na szczęście się udało. Przyznam jednak, że gdy po raz pierwszy padł pomysł helikoptera, byłem szczerze mówiąc przerażony skalą logistyki i organizacji. Finalnie wszystko zagrało i doczekaliśmy się szczęśliwego zakończenia.

Mateusz Prokopiak: A w jakim miejscu jest dziś Betclit 1 Liga – gdzie dotarła i co jeszcze przed nią?

Bartosz Wiśniewski: Z pewnością duży nacisk kładziemy na rozwój działów sportu. Tych narzędzi

jest sporo: wcześniej był InStat, teraz jest Wyscout. Dołożyliśmy dwa lata temu centralnie nadajniki GPS dla wszystkich klubów. Teraz dołożyliśmy kamery taktyczne dla wszystkich klubów. Te nakłady na dział sportu są duże, więc to jest kierunek, w którym chcemy się rozwijać i w którym staramy się pomagać klubom, bo przy centralnych rozmowach jesteśmy w stanie wynegocjować pewne rzeczy, których pojedyncze kluby nie są w stanie wynegocjować.

Jesteśmy obecnie w takim miejscu, że dobrze przygotowujemy kluby do awansu do Ekstraklasy pod względem infrastrukturalnym czy wymagań marketingowo – sponsoringowych. Ale też jesteśmy coraz większym wyzwaniem dla klubów drugoligowych, które do nas awansują. Znajomi, którzy pracują w 2 lidze, mówią, że przeskok między 1 a 2 ligą robi się coraz większy.

Jesteśmy też najbardziej dostępną ligą sportową w Polsce, za darmo, bo wszystkie mecze można oglądać w internecie w TVP Sport: na aplikacji, w telefonie, czy w telewizorze. Oglądalności wyglądają naprawdę bardzo dobrze. Jesteśmy na trendzie zwykłym. Zobaczymy, gdzie jest limit, ale nie czujemy, żebyśmy byli blisko. Więc przed nami kolejne rozmowy o głównych partnerach: telewizji i sponsorze tytularnym – jak kolejne lata mogą wyglądać.

Mateusz Prokopiak: Co ma Betclit 1 Liga, czego nie ma PKO BP Ekstraklasa?

Bartosz Wiśniewski: Hasło „Pierwsza liga styl życia” jest z nami od początku, jeszcze za czasów Orange Sport, i jest nadal aktywne. My wewnątrz ligi staramy się budować taką narrację i może nie profesjonalizować się na siłę tam, gdzie to nie jest konieczne wymagane. I sądzę, że to hasło ma odzwierciedlenie na boisku i w całym środowisku: nie tylko kibicowskim, ale też pracowniczym. Bo często ten wątek się pojawia, jak się rozmawia z ludźmi – prezesami czy pracownikami klubów – że ta przyjazna, „rodzinna” atmosfera jest odczuwalna.

Terminarz i „prośby z życia”: układanka, nie złościwość

Mateusz Prokopiak: Skoro mówimy o pracy „od środka”, przejdźmy do tematu, który zawsze rozpala emocje: terminarz. Kibice mówią: „my ciągle w poniedziałki”, „oni ciągle w soboty”. Jak to wygląda z waszej strony i jak pogodzić kluby, kibiców i telewizję?

Bartosz Wiśniewski: Pierwsza rzecz przy tworzeniu terminarza to ogólna dostępność całosezonowa, którą kluby wysyłają do PZPN-u i do Ligi. To dostępność eventowa, bo część klubów ma stadiony obok hal, gdzie odbywają się inne wydarzenia sportowe albo komercyjne, jak np. koncerty. Druga rzecz: to, co się dzieje w mieście – np. maratony i inne wydarzenia sportowe też mają wpływ na organizację meczu. Kolejna rzecz: kolizje w niektórych miastach i – ze względów bezpieczeństwa – staranie się rozdzielić niektóre mecze domowe w miastach derbowych, takich jak Łódź, Kraków, Warszawa oraz ograniczać weekendy,

kiedy mecze miałyby na siebie nachodzić.

W czasie trwania sezonu analizujemy dostępność stadionów z miesięcznym czy dwumiesięcznym wyprzedzeniem na dane kolejki: kluby zgłaszają wszelkie kwestie, które w międzyczasie się wydarzyły i mogą przez to kolidować z rozegranie meczu danego dnia. Do tego mamy terminarz PKO BP Ekstraklasy, który w miastach derbowych jest kluczowy, bo nie możemy zrobić dwóch meczów w Krakowie jednego dnia, czy też w Warszawie, lub w Łodzi, ponieważ organy bezpieczeństwa by się na to nie zgodziły. Kolejna kwestia to wybór i zainteresowanie danymi meczami przez telewizję: telewizja typuje mecze do transmisji, a sloty telewizyjne są określone. To determinuje terminarz. Jeżeli mamy slot telewizyjny w piątek wieczorem, w sobotę wieczorem, w niedzielę o popołudniu i w poniedziałek wieczorem, to siłą rzeczy te sloty telewizyjne determinują ustalenie terminarza. Do tego dochodzi nasz projekt, uruchomiony w tym sezonie: Multiliga w sobotę o 19:30, czyli trzy mecze w jednym terminie w TVP3. Jak widać bardzo wiele kwestii nakłada się na siebie, aby powstał terminarz. My to oczywiście szczegółowo na bieżąco analizujemy na bieżąco i jeżeli widzimy skrajność, to staramy się to wyważyć.

Mateusz Prokopiak: No dobrze, ale „od kuchni”: te prośby klubów... Jak to wygląda? WhatsApp, telefony, wiadomości – i co ty sobie myślisz?

Bartosz Wiśniewski: Ubierzmy to w „nieoficjalne prośby”. One są coraz radsze. Kluby coraz bardziej mają świadomość, że to nie jest „gra na Orliku”.

Kiedy terminarz był wprowadzany taki sztywny, zwłaszcza w COVIDzie, gdy mecze musiały być o określonych w porach, żebyśmy realizacyjnie byli w stanie to zrobić – wtedy to był dla klubów duży problem. Prośb i rozmów było sporo. Sporo nauki, czasu i cierpliwości potrzebowaliśmy, żeby kluby nauczyły, że nie można meczów

rozgrywać w soboty o 15:00 i że liga czy PZPN się na to nie zgodzi, bo w niedzielę jest komunika syna prezesa. (śmiej)

A teraz tych prośb jest mimo wszystko mniej. Sądę, że zamykamy się w prośbach oficjalnych i są to jednostkowe przypadki. Kluby mają też świadomość, że zależnych jest tak dużo, że ciężko czasami coś zrealizować według wizji klubów. Oczywiście: jeśli mamy wartościowe akcje marketingowe i klubowi zależy na dobrej frekwencji, staramy się wyjść naprzeciw. Jeżeli wiemy, że mecz jest hitowy w danej kolejce i może być dobra oglądalność i frekwencja, staramy się z telewizją wyjść naprzeciw i szukamy czasami terminów, których pierwotnie nie zakładaliśmy.

Mateusz Prokopiak: Najbardziej absurdalna prośba, jaką dostałeś – bez nazwisk i klubów?

Bartosz Wiśniewski: Prośby typu: wesela, komunie – żeby coś na siebie nie nachodziło. To są takie klasyczne prośby.

Sędziowie, komunikacja i sponsoring – jak liga działa od środka

Mateusz Prokopiak: Jak wygląda wasza współpraca z Kolegium Sędziów i jak reagujecie na sytuacje kontrowersyjne?

Bartosz Wiśniewski: Żeby kibice mieli świadomość: PZPN jest organizatorem rozgrywek, a Pierwsza Liga Piłkarska jako stowarzyszenie zajmuje się działaniami marketingowo – komunikacyjnymi. My nie jesteśmy stroną do oceniania.

Na spotkaniu w Jachrance oczywiście zaprosiliśmy przewodniczącego Marcina Szulca na spotkanie z prezesami, żeby miał panel i przedstawił plany, pomysł na to, w którym kierunku sędziowanie w Polsce ma iść. Takie przestrzenie do dialogu

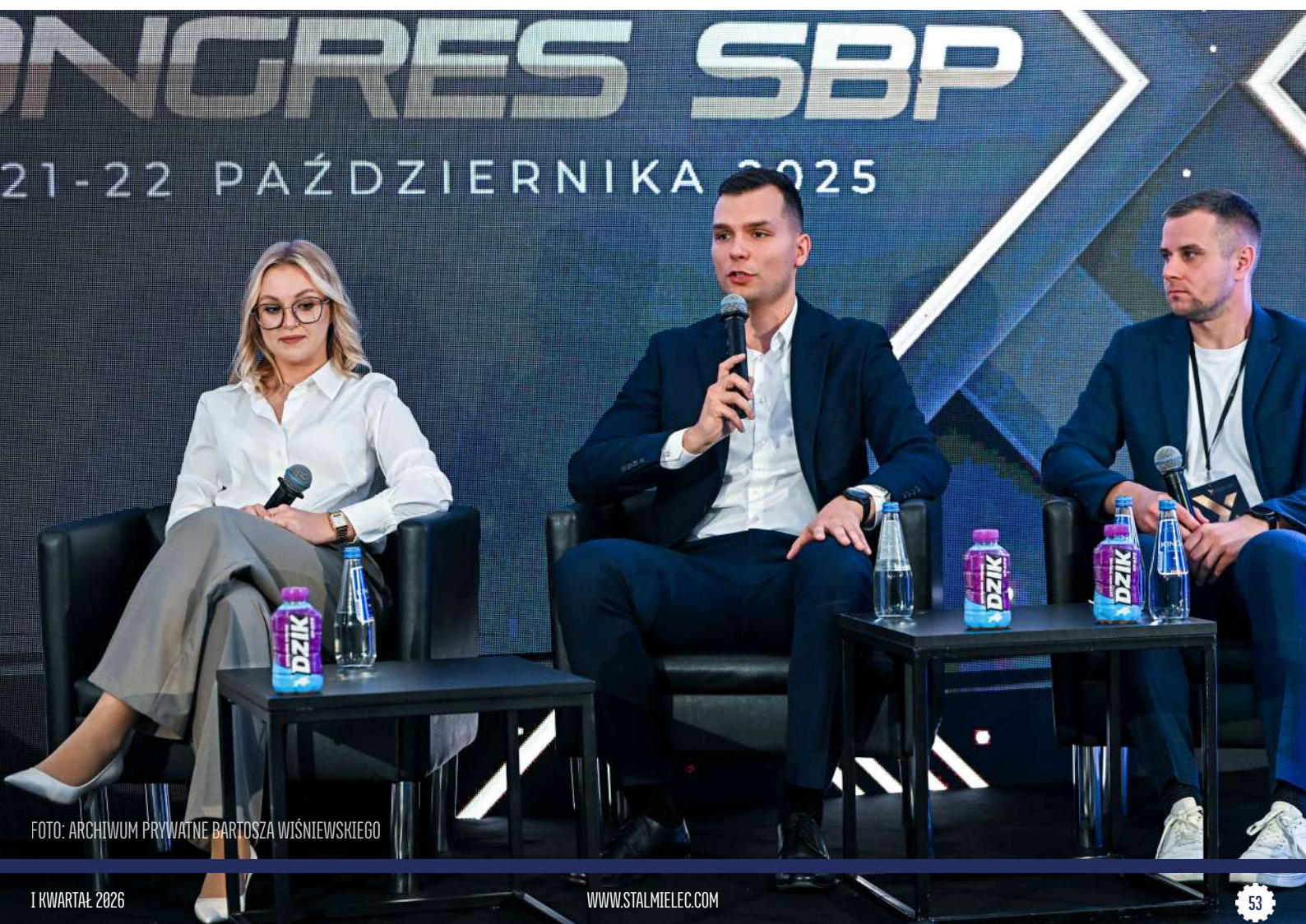


FOTO: ARCHIWUM PRYWATNE BARTOSZA WIŚNIEWSKIEGO

organizujemy, ale my nie jesteśmy jednostką ani do oceniania, ani do nakładania presji na kolegium, ani do nakładania presji na kluby ze strony kolegium. To osobne ciało funkcjonujące w PZPN-ie. Relacje z klubami muszą budować, a przewodniczący ma swoją wizję.

Mateusz Prokopiak: Jaka jest dziś rola mediów i social mediów w życiu ligi? W jakim kierunku idziecie?

Bartosz Wiśniewski: Jak wchodziłem do ligi, komunikacja szła w kierunku bardzo luźnym. Hasło „Pierwsza liga styl życia” odnosi się do naszej komunikacji i puszczania oka do kibiców i klubów: memy i tego typu rzeczy. Staramy się prowadzić komunikację swobodnie – pod kątem zaczepiania klubów, ale też sportowo. Bo gdybyśmy potrafili najlepiej grać w piłkę, to byśmy byli PKO BP Ekstraklasą. Patrzymy na to z przymrużeniem oka i sądzę, że to się dobrze wpisuje w komunikację we współpracy z Betclit. To jest kluczowe, że idziemy w tym samym kierunku. Sponsor ma jeszcze bardziej swobodną komunikację, a my w pewnych momentach musimy stawiać sobie ograniczenia. Ale interakcja z kibicami jest na dobrym, luźnym poziomie. Szczególnie, gdy witamy spadkowicza z Ekstraklasy – to się potrafi ponieść. Staramy się robić to swobodnie, ale ze smakiem. Niektóre brandy utrzymują taką komunikację głównie na TikToku, a my staramy się też na pozostałych platformach robić to ze smakiem, wyczuciem, bez nadmiernego zadęcia, z puszczaniem oka.

Mateusz Prokopiak: Co działało, gdy zaczynałeś budować komunikację i marketing Ligi, a co dziś już nie działa?

Bartosz Wiśniewski: Kiedy wchodziłem do Ligi, cały plan komunikacji i marketingu dopiero się budował: jak ma wyglądać tydzień i weekend. Wtedy brakowało nam treści wideo, bo mecze nie były transmitowane i prawa były mocno po stronie telewizji Polsat. To jest rzecz, która bardzo dużo nam dała: teraz wideo, które możemy publikować w weekend i praktycznie po zakończeniu meczu jest o wiele wiele większe. Kluby i my mamy możliwość wykorzystywania swobodnie tego wideo. To jest bardzo duża zmiana.

Wiemy też, że nie tylko oglądalność telewizji jest ważna, ale później liczby w socialach. Bramka, która robi wartościowe liczby w socialach, to też jest content, który generuje zasięgi. Konsumpcja piłki nożnej na przestrzeni lat zmieniła się w duży sposób i treści wideo jest u nas coraz więcej.

Na to kładziemy nacisk.

Mateusz Prokopiak: Jaki nacisk kładzie sponsor tytularny – co jest dla niego najważniejsze we współpracy z ligą?

Bartosz Wiśniewski: Sądzę, że współpraca z klubami i działania offlinowe, bo tych działań jest bardzo dużo: Trophy Tour, jacuzzi, Dinner in the Sky na meczu Wisły

Kraków. Betclit jest mocno zaangażowane w działania offlinowe, żeby pojawiać się na stadionach w spektakularny sposób.

W mniejszym stopniu, ale też, są działania komunikacyjne w socialach i świadczenia. To sponsor z bardzo dużą liczbą pomysłów i czasami trzeba wyważyć możliwości klubów i nastroje w klubach do chęci sponsora, ale w mojej ocenie, że dobrze nam się to udaje pogodzić.

Mateusz Prokopiak: Jak wygląda proces pozyskania sponsora – nie tylko tytularnego? Jak zaczynają się takie rozmowy i negocjacje?

Bartosz Wiśniewski: Sądzę, że podobnie jak w klubach. Są pierwsze rozmowy, gdzie próbujemy siebie przedstawić jako Liga: rzeczy ekwiwalentowe, jak chcemy się pozycjonować, lokalność, celowanie w rodzinę, jak wygląda komunikacja w socialach. Z drugiej strony zapraszamy do rozmów partnerów, gdzie widzimy punkty styczne: firma się rozwija, jest na fali wznoszącej – trochę jak my – i zależy jej na dotarciu do mniejszych ośrodków, a w Betclit 1 Lidze tych mniejszych ośrodków jest zdecydowanie więcej.

A później, jak złapiemy flow, schodzimy do świadczeń: co my jesteśmy w stanie zaoferować i co partner jest w stanie zaoferować. Fajnym przykładem była współpraca z firmą INEA dwa lata temu: partner internetowy w okolicach Poznania, który chciał wchodzić na pozostałe rynki. Udało się zrobić kilka fajnych rzeczy, jak miasteczka kibica na różnych stadionach, świadczenia stricte internetowe, bo byli też partnerem Fantasy 1 Ligi, a to produkt specyficzny. Z potencjalnym sponsorem musimy znaleźć wspólny punkt widzenia i mieć porównanie, co jesteśmy w stanie zrobić z mniejszym partnerem, a co z większym, bo trzeba to różnicować. Sponsor oficjalny nie może mieć takich świadczeń jak sponsor tytularny – więc to wszystko trzeba wyważyć.

Mateusz Prokopiak: Co daje liga klubom, dzięki czemu warto być w Betclit 1 Lidze?

Bartosz Wiśniewski: Z pewnością narzędzia do działu sportu. Kluby podkreślają, że to wartość dodana, bo klub nie musi się martwić o podstawowe rzeczy: analiza wideo,

Wyscout, transfery, GPS, kamery. To jest coś wartościowego.

I zdrowe podejście: zdarzają się sytuacje, że sponsorzy ligowi często odzywają się do klubów i szukają współpracy bezpośrednio. To dotarcie do sponsorów, którzy oferują rzeczy niezbędne w klubie piłkarskim – jak teipy i tego typu sprzęt dla fizjoterapeutów – to jest rzecz, którą klub i tak musi kupić, więc dlaczego nie dogadać współpracy ze sponsorem ligowym?

A jeśli chodzi o komunikację, to content wideo, który my mamy i kluby mają zagwarantowany. Zależało nam bardzo nad tym podczas negocjacji z TVP. To kluby doceniają – ten argument często się pojawia zarówno u klubów z 2 ligi, jak i z PKO BP Ekstraklasy, gdy do nas przychodzą.

Priorytety i rok 2026: liga, która myśli w cyklach

Mateusz Prokopiak: Trzy priorytety na najbliższe dwa lata: jeden sportowy, jeden operacyjny i jeden marketingowy.

Bartosz Wiśniewski: Marketingowo: chciałbym, żeby kluby doszły do etapu, żeby tych ludzi było wystarczająco w klubie do realizacji pewnych rzeczy. Operacyjnie w mojej ocenie, wszyscy rozumieją – kluby i my – gdzie jesteśmy i jak to wszystko może wyglądać. Sportowo- to największe wyzwanie, bo obecni beniaminkowie w PKO BP Ekstraklasie pokazują, że po awansie z Betclia 1 Ligi do PKO BP Ekstraklasie można się dobrze prezentować. Motor Lublin pokazał, GKS Katowice pokazał, że to jest realne. Poziom sportowy między dołem Ekstraklasie a czołówką 1 Ligi się zaciera. Ale żeby dalej się zacierał i żebyśmy mogli konkurować, liga musi zwiększać z roku na rok kwoty sponsoringowe, telewizyjne, od sponsora tytularnego i innych współprac, żeby móc konkurować wyżej.

Mateusz Prokopiak: Jaki to będzie rok 2026 dla Ligi – i jaki dla ciebie?

Bartosz Wiśniewski: Dla Ligi z pewnością ważny, bo pracujemy w takich cyklach, że już musimy myśleć o tym, jak prawa medialne mają wyglądać na kolejny okres – nie na następny sezon, tylko jeszcze na następny. To jest moment, w którym musimy rozmawiać z PZPN-em, usiąść do rozmów z obecnym partnerem telewizyjnym. To będzie wymagający czas. Musimy pamiętać, że długo współpracowaliśmy z telewizją Polsat i z Fortuną. Przed sezonem 2024/2025 zmieniliśmy sponsora tytularnego i partnera telewizyjnego, to dla mnie i dla ligi było bardzo dużo zmian naraz. Więc najprawdopodobniej to będzie największe wyzwanie: jak w kolejnym cyklu to wszystko pogodzić i w którą stronę pójść. To rok pod kątem przyszłości – nie kilku miesięcy, tylko kolejnych dwóch, trzech, czterech lat, jak liga może wyglądać.

Dla mnie prywatnie: ja w każdym miesiącu sporo się uczę. Organizacja terminarza, współpraca ze sponsorami – ciągle są nowe rzeczy. W piłce doświadczenie jest bardzo potrzebne. Na bazie doświadczenia jesteśmy w stanie unikać wielu pożarów czy rzeczy, które wydawały się nieuniknione. To moment, żeby dalej to doświadczenie zbierać: z klubów, od sponsorów, od mądrzejszych osób ode mnie, być w kontakcie, analizować, rozmawiać. To doświadczenie i zbieranie jest kluczowe.

Mateusz Prokopiak: I na koniec: co powiedziałbyś czytelnikom kwartalnika – dlaczego warto śledzić Betclia 1 Ligę?

Bartosz Wiśniewski: Bo jest nieobliczalna. Pogoń Siedlce w poprzednim sezonie pokazała, że jest nieobliczalna do ostatniej sekundy. Jeżeli matematycznie ma się szansę – w tym przypadku na utrzymanie – to wszystko jest możliwe. Ale też w drugą stronę: jeżeli chodzi o baraże, poprzedni sezon był dość spokojny, ale pamiętam sezony, gdzie 3/4 ligi grało o to, żeby być na szóstym miejscu, i do końca, do ostatniej kolejki, nie było wiadomo, kto zajmie szóste i piąte miejsce.

Ta liga jest nieobliczalna pod każdym względem. W tym sezonie również na przykład Znicz Pruszków, wskazywany jesienią „na pożarcie”, udowodnił, że serią dwóch, trzech wygranych meczów można się odbić w krótkim okresie. Różnice w tabeli są niewielkie i emocje są do ostatniej kolejki. W mojej ocenie formuła barażowa w perspektywie ostatnich kilku lat bardzo temu pomogła. To, że gramy po zakończeniu sezonu w PKO BP Ekstraklasie, sprawia, że jesteśmy rozgrywkami na świeczniku. To gradka dla kibiców i dla nas jako Ligi, żeby ten okres dobrze skonsumować. Te rozgrywki zawsze należy śledzić do końca – bo tu zawsze coś się dzieje i ktoś czegoś jest niepewny.



Wywiad przeprowadził

Mateusz Prokopiak
FKS Stal Mielec

X @m_prokopiak

„KIBIC MA POCZUĆ, ŻE JEST W *CENTRUM WYDARZEŃ*”

Betclit wszedł w polską piłkę szeroko: trzy poziomy ligowe, ponad sto klubów, aktywacje w miastach i projekty contentowe, które mają trwać dłużej niż jeden weekend. Szymon Stachowicz (Partnership Marketing Specialist, Betclit Polska) opowiada, jak marka łączy globalną strategię z lokalnym rynkiem, dlaczego w 2026 „dobry sponsoring” zaczyna się tam, gdzie kibic realnie coś przeżywa, i jak buduje się spójny system komunikacji wokół rozgrywek. W tej rozmowie jest o zaufaniu, autentyczności i kreatywności, o mobile’u jako naturalnym środowisku kibica oraz o tym, czemu Betclit 1 Liga ma być nie tylko nazwą, ale doświadczeniem - od stadionu po internet.

Mateusz Prokopiak: Zaczniemy od podstaw: jak Betclit chce być dziś rozumiany w Polsce – jako marka „od zakładów” czy jako marka „od sportu i emocji”?

Szymon Stachowicz: Zdecydowanie chcemy być postrzegani jako marka bliska sportowi i kibicom. Zakłady to nasz produkt, ale nie definiują tego, kim jesteśmy. Najważniejsze są emocje, bo to one napędzają sport, kibicowanie i budują więź z fanami. Dlatego wszystkie nasze działania skupiają się na tym, by kibic poczuł, że jest w centrum wydarzeń – niezależnie od tego, czy obserwuje mecz w telewizji, jest na stadionie, czy śledzi nasze aktywacje w social mediach. Chcemy dostarczać doświadczenia, które pozostają w pamięci: od nietypowych akcji na stadionach, po kampanie online i angażujące treści. W skrócie: Betclit w Polsce to przede wszystkim sport, emocje i bliskość z kibicami, a zakłady są tym, co te emocje jeszcze wzmacnia.

Mateusz Prokopiak: Jak wygląda Wasza struktura w Polsce: co jest lokalne, a co wynika z międzynarodowej strategii marki?

Szymon Stachowicz: Betclit jest marką globalną, więc naturalnie pewne obszary – przede wszystkim technologia, kierunki produktowe i standardy operacyjne – wynikają ze strategii całej grupy. Natomiast wszystko, co dotyczy marketingu, sponsoringu czy komunikacji, tworzymy lokalnie i dostosowujemy do polskiego rynku. Dobrym przykładem jest „Gra bez podatku” produkt, który w Polsce musieliśmy dopasować zarówno pod względem regulacyjnym, kreatywnym jak i preferencji użytkowników. To pokazuje, że mamy dużą swobodę w kreowaniu lokalnych działań i świadomie z niej korzystamy, żeby każda kampania, każda aktywacja była jak najlepiej dopasowana do polskich kibiców. Dzięki temu możemy działać szybko, testować nowe pomysły i wprowadzać rozwiązania, które naprawdę angażują lokalną społeczność sportową.

Mateusz Prokopiak: Co jest najtrudniejsze dla firmy bukmacherskiej w Polsce:

regulacje prawne, odpowiednie nasycenie reklamą, czy zbudowanie zaufania?

Szymon Stachowicz: Oczywiście regulacje są wymagające, a konkurencja na rynku bardzo duża, ale dla nas kluczowe znaczenie ma zaufanie i autentyczność. Polska branża bukmacherska jest przeładowana komunikatami, więc nie chodzi tylko o to, żeby być widocznym, chodzi o to, żeby być wiarygodnym i kreatywnym. Staramy się to udowodniać konkretnymi działaniami, które są lokalne, niestandardowe i bliskie kibicom. Przykładem może być projekt FANna – mobilne jacuzzi przy linii bocznej boiska, które angażuje fanów i sprawia, że nasze akcje nie są tylko komunikatem marketingowym, ale realnym doświadczeniem. Takie działania pomagają nam budować relacje z kibicami i pokazywać, że jesteśmy obecni tam, gdzie oni są, a nie tylko w mediach. Wszystko w ramach naszego hasła: Kibicem się jest.

Mateusz Prokopiak: Najważniejsza decyzja ostatnich lat: sponsoring Betclit 1., 2. i 3. Ligi. Dlaczego to był kluczowy krok?

Szymon Stachowicz: To była i nadal jest największa umowa sponsoringowa w historii Betclit w Polsce, a zarazem jedna z największych na rynku bukmacherskim w ogóle. Kontrakt obejmuje trzy poziomy rozgrywkowe i ponad sto klubów, co sprawia, że projekt jest długofalowy i kompleksowy. Dzięki temu możemy być blisko kibiców w każdym zakątku Polski – od dużych stadionów Betclit 1. Ligi po lokalne społeczności w mniejszych miastach. To tam rodzi się prawdziwa pasja do piłki, a my mamy szansę ją wspierać i wzmacniać poprzez nasze aktywacje, kampanie i działania marketingowe. Właśnie dlatego ta decyzja była dla nas tak kluczowa

- pozwala połączyć globalną strategię marki z lokalnym doświadczeniem fanów.

*To była i nadal jest największa umowa
sponsoringowa w historii Betclit w Polsce,
a zarazem jedna z największych na rynku
bukmacherskim w ogóle*

Szymon Stachowicz

Mateusz Prokopiak: Jedno zdanie, które najlepiej opisuje Waszą filozofię: co obiecuje



Hazard wiąże się z ryzykiem. BEM Operations LTD. to legalny bukmacher. Gra u nielegalnych grozi konsekwencjami. +18

użytkownikowi, kiedy wchodzi w kontakt z marką?

Szymon Stachowicz: Chcemy być blisko kibiców, bo kibicem się jest niezależnie od wyniku, miejsca w tabeli czy momentu sezonu. To bliskość, emocje i wspólne przeżywanie sportu sprawiają, że każdy kontakt z naszą marką ma znaczenie.

Mateusz Prokopiak: Jak wygląda Wasza definicja „dobrego sponsoringu” w 2026: co musi się wydarzyć, żebyście po sezonie powiedzieli: „to działa”?

Szymon Stachowicz: Dobry sponsoring to taki, po którym kibic naprawdę czuje, że coś się wydarzyło, że liga, klub czy mecz zyskali dodatkową wartość. Nie chodzi o to, żeby być tylko logotypem na bandzie czy koszulce, lecz o tworzenie realnych doświadczeń. Jeśli kibice rozpoznają nazwę rozgrywek i jednocześnie mają pozytywne emocje wobec marki, to znaczy, że nasze działania mają wpływ. Chcemy robić różnicę, zostawiać ślad i wzmacniać więź między sportem a fanami.

Mateusz Prokopiak: Jak bardzo w takim projekcie liczy się spójność: żeby Betclit 1 Liga nie była tylko nazwą, ale systemem komunikacji i aktywacji?

Szymon Stachowicz: Spójność jest dla nas absolutnie kluczowa. Traktujemy sponsoring ligi jako długofalowy projekt, który obejmuje branding, komunikację, akcje specjalne, eventy i współpracę z klubami. Każdy klub ma oczywiście swoją specyfikę, ale najważniejsze jest to, żeby kibice czuli się z tym dobrze i widzieli sens naszego zaangażowania. Chcemy, aby Betclit 1. Liga była spójnym doświadczeniem,

nie tylko nazwą na bandzie, ale kompletnym systemem działań, który buduje emocje i angażuje fanów na każdym poziomie.

Mateusz Prokopiak: W umowie sponsoringowej zawsze jest ryzyko, że kibic powie: „to tylko logo”. Jak odpowiadacie na ten zarzut, żeby obronić realną wartość dla ligi i fanów?

Szymon Stachowicz: Najprościej: działaniami. Projekty takie jak FANna, Trophy Tour, Dinner in the sky czy POLecimy do Mistrza to aktywności, które kibic może przeżyć

osobiście i które tworzą autentyczne doświadczenie. Dzięki temu sponsoring przestaje być tylko nazwą, a staje się realnym, angażującym doświadczeniem. W tym sezonie kibice mogą spodziewać się kolejnych niespodzianek, bo zależy nam, żeby każda aktywacja wzmacniała więź z fanami i pokazywała, że Betclit naprawdę jest blisko sportu. Co ważne skupiamy się nie tylko na fanach na stadionie, ale również tych, którzy szukają ciekawych treści w internecie. Jesteśmy największym medium bukmacherskim w Polsce i produkujemy treści, w których kibice znajdują coś dla siebie.

Mateusz Prokopiak: Jak sprzedajecie ligę, która jest „bramą do Ekstraklasy”: narracją o awansie, o miastach i klubach, o bohaterach, czy o dostępności dla kibica?

Szymon Stachowicz: Awans jest oczywiście ważnym elementem narracji, ale nie jedynym. W Betclit 1. Lidze grają kluby z ogromną historią i mocnym zapleczem, co sprawia, że liga ma duży potencjał medialny. Mamy świetne stadiony, znanych trenerów i zawodników, a lokalne społeczności angażują się w życie klubów. My mocno stawiamy na lokalność, ale też doceniamy, że te marki same bronią się historią, charakterem i fanami. Angażując się w ligę, pokazujemy zarówno emocje związane z awansem, jak i życie klubów, miasta, bohaterów i dostępność rozgrywek dla kibica.

Mateusz Prokopiak: Co jest Waszym zdaniem największym atutem Betclit 1 Ligi jako produktu medialnego: nieprzewidywalność, lokalność, emocje, stadiony, historie?

Szymon Stachowicz: Największym atutem są autentyczność i emocje. Każdy mecz ma znaczenie, tabela zmienia się z kolejki na kolejkę, a kibice są mocno zaangażowani. Do tego dochodzi coraz lepsze opakowanie medialne, infrastruktura stadionowa i profesjonalne transmisje. To bardzo solidny produkt, który chcemy wspierać i rozwijać, zarówno poprzez sponsoring, jak i angażujące aktywacje skierowane do fanów.

Mateusz Prokopiak: Jak myślicie, która reklama/pomysł na promocję Waszej marki przyniósł Wam największy rozgłos w ostatnim czasie?



Hazard wiąże się z ryzykiem. BGM Operations Ltd. to legalny bukmacher. Gra u nielegalnych grozi konsekwencjami prawnymi. 18+

Szymon Stachowicz: Jesteśmy zadowoleni z całej kampanii Kibicem się jest. To właśnie w jej ramach przeprowadziliśmy szereg aktywacji skupionych na fanach. Największy rozgłos przyniósł projekt FANna. Zaczęło się testowo, ale okazało się strzałem w dziesiątkę. Pomysł był prosty, ale niestandardowy, a kibice chętnie wchodzili w interakcje. Konkursy cieszyły się dużym zainteresowaniem, a reakcje były bardzo pozytywne. Do tego doszły kolejne akcje, takie jak POLecimy do Mistrza, Dinner in the Sky czy Trophy Tour. Wszystkie te projekty pokazują, że lubimy działać inaczej i tworzyć doświadczenia, które zapadają w pamięć.

Mateusz Prokopiak: Jak pracujecie z ligą nad tym, żeby identyfikacja (nazwa, oprawa, komunikacja) była konsekwentna przez cały sezon? Czy zostawiacie to do kontroli przez ligę, czy również na bieżąco monitorujecie działania klubów.

Szymon Stachowicz: Od początku mamy bardzo dobre relacje z władzami ligi. Wszystko, od nowej identyfikacji wizualnej, którą opracowywaliśmy wspólnie i trofeum, po aktywacje i kampanie niestandardowe, powstaje we współpracy i za

wiedzą organizatorów. Liga jest otwarta nawet na najbardziej kreatywne pomysły, a bez tej współpracy wiele projektów nie mogłoby się udać. Na bieżąco monitorujemy też działania klubów, tak aby cała komunikacja była spójna i zgodna z wizją Betcllic 1. Ligi, a kibice odczuwali ją jako jednolite i angażujące doświadczenie przez cały sezon.

Mateusz Prokopiak: Wasza przewaga konkurencyjna: co jest Waszym wyróżnikiem, jeśli nie możemy mówić o „bonusach” i „promkach” jako jedynym argumentem?

Dobry sponsoring to taki, po którym kibic naprawdę czuje, że coś się wydarzyło, że liga, klub czy mecz zyskali dodatkową wartość

Szymon Stachowicz

Szymon Stachowicz: Wierzymy, że naszymi przewagami konkurencyjnymi są produkt i marketing. Najważniejszym wyróżnikiem jest Gra bez podatku (No Tax). Wprowadziliśmy ją jako pierwsi i jedyni w takiej skali i bez

dodatkowych warunków, co pokazało, że możemy tworzyć realną wartość dla gracza. Do tego wprowadziliśmy rozwiązania takie jak „Bezpieczny Wynik”, który pozwala na wcześniejsze rozliczenie zakładu jako zwycięskiego po spełnieniu określonych warunków dla danej dyscypliny, „Multiboost”, zwiększający możliwe wygrane przy zakładach akumulowanych, czy „MyCombi”, łączący kilka zakładów w

FOTO: BETCLIC POLSKA

Hazard wiąże się z ryzykiem. BEM Operations Ltd. to legalny bukmacher. Gra u nielegalnych grozi konsekwencjami. +18



Hazard wiąże się z ryzykiem. BEM Operations Ltd. to legalny bukmacher. Gra u nielegalnych grozi konsekwencjami prawnymi. 18+

jeden na dany mecz. Całość wspiera nasza aplikacja - najlepiej oceniona w swojej kategorii w Polsce, która łączy produkt i komunikację w spójne doświadczenie dla użytkownika. Na polu marketingu wyróżnia nas kreatywność i wychodzenie poza utarte ramy działań w naszej branży. Jako pierwsi tak mocno zainwestowaliśmy w dotąd niespotykane obszary, takie jak sponsoring festiwali muzycznych, freestyle czy rap. Jesteśmy także producentem treści, a w ramach platformy Betclit Studios wyprodukowaliśmy w Polsce dziesięć dokumentów.

Za nami są dwie współpracy z ekipą PRO8L3M, w ramach których powstały teledyski do klipów „Nicea” i „Polsilver”. Nasze aktywacje sponsoringowe i projekty branded content zdobywają uznanie nie tylko branży, ale też gremiów jurorskich najważniejszych konkursów w Polsce i na świecie. Kampania „Płaciliśmy podatki od zawsze” oraz projekty „Foodball” i „Pani Renia” dominowały w konkursach takich jak Clio Awards, Golden Drum, KTR i wielu innych.

Mateusz Prokopiak: Które kanały są dziś dla Was najważniejsze: social, wideo, współprace, sponsoring, aplikacja - i jak te kanały się uzupełniają?

Szymon Stachowicz: Nie ma jednego „najważniejszego” kanału - wszystkie razem tworzą spójny ekosystem. Social media pozwalają być blisko kibiców i reagować na bieżąco, współprace pomagają opowiadać historie i budować

emocje, a sponsoring daje realną, fizyczną obecność na stadionach. Aplikacja spina wszystko w praktyce, pozwalając kibicowi doświadczać marki w różnych momentach i miejscach, ale zawsze w sposób spójny i przemyślany. Dzięki temu kontakt z Betclit jest konsekwentny, angażujący i naturalny.

Mateusz Prokopiak: Z Waszych obserwacji: więcej użytkowników korzysta z telefonu czy z komputera? I co to zmienia w projektowaniu oferty oraz komunikacji? (pytam o trend, bez liczb)

Szymon Stachowicz: Zdecydowanie z telefonu. Towarzyszy nam praktycznie zawsze, czasem częściej niż portfel. Obserwujemy, że kibic korzysta z niego, gdziekolwiek jest, w tym oglądając mecze w aplikacji Betclit. To naturalne środowisko kibica, dlatego projektujemy nasze produkty i komunikację przede wszystkim z myślą o mobilnym doświadczeniu, tak aby było szybkie, intuicyjne i angażujące w każdej sytuacji.

Mateusz Prokopiak: Jakie elementy produktu są dziś „must-have” w mobile: szybkość, UX, personalizacja, powiadomienia, streaming, live?

Szymon Stachowicz: Kluczowa jest szybkość działania, intuicyjna obsługa, personalizacja oraz dostęp do treści na bieżąco. Mobile to dla nas narzędzie, pozwala kibicom reagować natychmiast



które

Hazard wiąże się z ryzykiem. BEM Operations LTD. to legalny bukmacher. Gra u nielegalnych grozi konsekwencjami. +18

na wydarzenia, niezależnie od miejsca i czasu. Dzięki temu każdy użytkownik ma poczucie, że jest blisko wydarzeń i może w pełni korzystać z możliwości platformy.

Mateusz Prokopiak: Co dziś działa najlepiej w aktywacjach ligowych: konkursy, strefy kibica, content, influencerzy, współprace z klubami?

Szymon Stachowicz: Najlepiej działają te aktywacje, które angażują kibica bezpośrednio i pozwalają mu stać się częścią doświadczenia, zamiast tylko obserwować. Dzięki temu dają mu dodatkową wartość i podnoszą jakość doświadczeń dnia meczowego. To wszelkiego rodzaju konkursy, strefy kibica i niestandardowe aktywacje, o których wspominałem wcześniej, w których fan może wziąć udział, poczuć emocje i uczestniczyć w wydarzeniu w pełni.

Mateusz Prokopiak: Jakie macie podejście do contentu ligowego: czy Betclit chce być wydawcą treści, czy raczej katalizatorem współpracy ligi, klubów i mediów?

Szymon Stachowicz: To połączenie obu podejść. Chcemy być częścią ekosystemu ligi i klubów - wspierać współpracę, budować relacje i dostarczać wartość dodaną poprzez treści, które wnoszą coś nowego i angażują kibiców. Naszym celem jest tworzenie contentu, który jest zarówno użyteczny, jak i emocjonujący. Działamy w



FOTO: BETCLIT POLSKA

Hazard wiąże się z ryzykiem. BEM Operations LTD. to legalny bukmacher. Gra u nielegalnych grozi konsekwencjami. +18

Hazard wiąże się z ryzykiem. BEM Operations LTD. to legalny bukmacher. Gra u nielegalnych grozi konsekwencjami prawnymi. 18+

ten sposób od początku istnienia Betclit w Polsce. Nasze współprace realizujemy nie tylko poprzez branding, ale również w ramach crossdziałań komunikacyjnych. Jednocześnie pozostajemy jednym z kluczowych producentów treści w szeroko rozumianym środowisku sportowym, tworząc projekty, które mają realny wpływ na kibiców i społeczność sportową.

Mateusz Prokopiak: Czy planujecie formaty „długie” (np. mini-dokument, serial o kulisach), czy raczej stawiacie na szybkie formy pod social?

Szymon Stachowicz: Krótkie formy są dziś podstawą, bo pozwalają dotrzeć do kibica tam, gdzie spędza najwięcej czasu – w telefonie. Jednak dłuższe formaty również mają sens, jeśli opowiadają ciekawe historie i są dobrze osadzone w realiach sportu. Potwierdzają to projekty realizowane z naszymi ambasadorami czy w ramach Betclit Studios, gdzie pokazaliśmy sylwetki takich sportowców jak Karol Bielecki, Mateusz Gamrot czy Nela Adamczewska, osób kultury jak Sonya, Fuzi, Looney czy zjawisk jak freestyle.

Mateusz Prokopiak: Z perspektywy Betclit: co klub taki jak FKS Stal Mielec może realnie zyskać na tym, że gra w lidze z silnym sponsorem tytularnym?

Szymon Stachowicz: Najważniejsze jest wzmacnianie całych rozgrywek, co przekłada się na większe zainteresowanie kibiców i profesjonalizację ligi. Klub

może dzięki temu liczyć na lepszą oprawę marketingową, większą widoczność i dostęp do narzędzi, które pomagają budować relacje z fanami – zarówno obecnymi, jak i nowymi. Dobrym przykładem jest fakt, że oprócz naszej umowy liga podpisała kontrakt z TVP Sport, dzięki czemu transmisje meczów są szerzej dostępne, a rozgrywki zyskały większy zasięg medialny.

Jesteśmy otwarci na wszelkie formy współpracy. Nie tylko te, które inicjujemy sami, ale także te, które przychodzą bezpośrednio z klubów. Dzięki temu każdy zespół – w tym Stal Mielec – może wykorzystać nasze aktywacje i narzędzia w sposób dopasowany do swojej społeczności i lokalnych potrzeb.

Mateusz Prokopiak: Jak klub może najlepiej wykorzystać to marketingowo bez sztuczności: co działa lokalnie, a co nie działa nigdy?

Szymon Stachowicz: Podstawą są autentyczne działania osadzone w społeczności lokalnej, bez kopiowania schematów i bez sztuczności. Kluczowe jest dopasowanie aktywności do lokalnego klimatu i realiów miasta, bo to właśnie takie inicjatywy budują prawdziwe zaangażowanie kibiców.

Mateusz Prokopiak: Czy planujecie kolejne aktywacje, które schodzą do miast i społeczności klubów (nie tylko „centralnie”), żeby kibic czuł, że to jest też o nim?

Szymon Stachowicz: Tak, bo prawdziwa siła ligi tkwi w lokalnych kibicach i



FOTO: BETCLIT POLSKA

Hazard wiąże się z ryzykiem. BEM Operations Ltd. to legalny bukmacher. Gra u nielegalnych grozi konsekwencjami. +18



ich zaangażowaniu. To do nich trzeba docierać bezpośrednio. Nasze aktywacje w pierwszym sezonie cieszyły się ogromnym zainteresowaniem, a w kolejnych planujemy podtrzymać i rozwijać ten kontakt, tak aby każdy kibic czuł się częścią rozgrywek. W każdy weekend jesteśmy na kilku stadionach w Polsce, zapraszając naszych followersów za kulisy spotkań Betclic 1., 2. oraz 3. Ligi piłkarskiej. Współpracujemy z influencerami i lokalnymi bohaterami, którzy przejmują nasze konta społecznościowe i pokazują wydarzenia dnia meczowego ze swojej perspektywy. Ten kierunek będzie kontynuowany.

Mateusz Prokopiak: Jakie są dziś największe wyzwania dla takiej firmy jak Betclic?

Szymon Stachowicz: Dążymy do tego, by być niekwestionowanym liderem branży bukmacherskiej w Polsce. Największym wyzwaniem jest w tym kontekście budowanie marki, która na stałe zapisuje się w głowie i sercu kibica. Niezależnie od poziomu rozgrywek, dyscypliny czy miejsca na mapie, chcemy być obecni tam, gdzie są emocje i gdzie żyją kibice. Skupiamy się na dostarczaniu im dodatkowej wartości, bo wierzymy, że to właśnie dzięki temu można sprostać każdemu wyzwaniu i budować coś długofalowego.



Wywiad przeprowadził

Mateusz Prokopiak
FKS Stal Mielec

X @m_prokopiak

Hazard wiąże się z ryzykiem. BEM Operations Ltd. to legalny bukmacher. Gra u nielegalnych grozi konsekwencjami prawnymi. 18+



ZOSTAŃ SPONSOREM I DOŁĄCZ DO BIAŁO-NIEBIESKIEJ RODZINY



DAMIAN.GASIEWSKI@STALMIELEC.COM

SPONSORZY I PARTNERZY



NCMETAL



TOYOTA SACAR
Mielec



enervigo

„WARTO ZAWSZE WIERZYĆ W SIEBIE”

Nie każdy gol ma taką wagę, że zostaje w gablocie i w pamięci całego klubu. Łukasz Wolsztyński – były napastnik Stali Mielec – opowiada o momencie, który na zawsze wpisał go w historię, o organizacji i atmosferze w Mielcu, o odejściu (bez palenia mostów) i o tym, jak wygląda życie piłkarza, gdy zmienia kraj, język i codzienność całej rodziny. Jest tu piłka, jest tu życie – i jedna myśl, która wraca jak refren: warto wierzyć w siebie, nawet gdy inni nie wierzą.

„Moje nazwisko już na zawsze zapisało się w kronikach klubu z Mielca”

Maciej Decowski-Niemiec: Gdy słyszysz „tysięczny gol w PKO Ekstraklasie”, jaka jest twoja pierwsza myśl? Duma, niedowierzanie, czy to, że to właśnie ty to zrobiłeś? Oczywiście chodzi o tysięczny gol dla Stali w Ekstraklasie.

Łukasz Wolsztyński: Na pewno bardzo się cieszę, że to akurat na mnie padło, że ja strzeliłem tę bramkę i zapisałem się w historii Stali Mielec. Jestem ogromnie dumny, że dzięki tej bramce moje nazwisko już na zawsze zapisało się w kronikach klubu z Mielca.

Maciej Decowski-Niemiec: Masz w głowie ten moment jak klatkę z filmu czy raczej pamiętasz emocje i hałas stadionu?

Łukasz Wolsztyński: Pamiętam ten moment, jak to się wszystko wydarzyło. Na samym początku, jak strzeliłem tę bramkę, nie zdawałem sobie sprawy aż tak, że to jest ta tysięczna. Coś tam rozmawialiśmy wcześniej o tym na ławce rezerwowych, ale w ferworze walki i tych emocji nie myślałem od razu po oddanym strzale, że to właśnie ta tysięczna. Potem do mnie doszło, jak emocje się uspokoiły, mecz się zakończył i Prezes klubu wyszedł na środek murawy, żeby podarować mi tę paterę. Bardzo miło wspominać ten gest ze strony klubu. Moment zdobycia bramki pamiętam dokładnie, bo taki gol dla klubu zdobywa się tylko raz.

Maciej Decowski-Niemiec: Jaką anegdotę albo skojarzenie masz dziś z tym tysięcznym golem?

Łukasz Wolsztyński: Sama historia mojego transferu do Stali była raczej nieoczywista. Czytałem komentarze, portale – transfer nie był przyjmowany bardzo przychylnie. A na samym końcu ja strzelałem tę tysięczną bramkę. Jestem

w gabinecie Prezesa, a tam widnieje moje nazwisko. Mogę się cieszyć, że jestem strzelcem tej tysięcznej bramki dla Stali w PKO BP Ekstraklasie. To przewrotne, że nikt wcześniej by nie pomyślał, że w ogóle znajdę się w Stali Mielec, a teraz jestem na kartach historii. To do mnie wraca: warto zawsze wierzyć w siebie. Szczególnej anegdotki nie mam. To po prostu przyjemny moment. Fajnie było być w Mielcu, strzelać bramki, a na końcu być ważną częścią zespołu. Zawsze miło wracam do tych chwil.

Maciej Decowski-Niemiec: Taki gol zostaje w człowieku na zawsze?

Łukasz Wolsztyński: Oczywiście, że tak. Jak przechodzi się koło biura w Stali Mielec – wisi wielka patera za tysięczną bramkę, a na niej moje nazwisko. Także to na pewno miłe uczucie i zostaje w człowieku już na zawsze.

Maciej Decowski-Niemiec: Pamiętasz sam moment strzału? To była 91. minuta.

Łukasz Wolsztyński: Skierowałem ją lewą nogą do bramki i tak naprawdę to chyba uderzyłem piłkę piszczelą. Nie jest to może najpiękniejsza bramka, ale bardzo ważna w historii.

Maciej Decowski-Niemiec: A po meczu, kiedy schodzą emocje – „uratowaliśmy punkt” czy „zapisałem się w historii”?

Łukasz Wolsztyński: Na początku oczywiście, że dzięki walce do końca wyrwaliśmy punkt w meczu z Legią Warszawa w praktycznie ostatniej minucie meczu, bo drużyna i klub były zawsze dla mnie najważniejsze, ale przyznam, że gdzieś tam w perspektywie też człowiek myślał o tym, że zapisał się na kartach historii mieleckiej Stali.

Maciej Decowski-Niemiec: A sytuacja z wręczoną paterą? Jak ją wspominasz?

Łukasz Wolsztyński: Bardzo miło. W ogóle się nie spodziewałem, że coś takiego będzie miało miejsce, a tu od razu po końcowym gwizdku



wszystko przygotowane. Pan Prezes wyszedł na środek boiska i powiedział, że jest taka pamiątka przygotowana już dla mnie. Otworzyłem, zobaczyłem – wszystko dokładnie i staranie napisane. Zrobiło mi się naprawdę bardzo miło.

Stal Mielec: „pozytywne zaskoczenie” i organizacja „na ostatni guzik”

Maciej Decowski-Niemiec: Jak byś opisał jednym słowem Stal Mielec komuś, kto nigdy tu nie był – klub, miasto i ludzi?

Łukasz Wolsztyński: Pozytywne zaskoczenie.

Maciej Decowski-Niemiec: A co cię najbardziej zaskoczyło w Mielcu – sportowo albo życiowo?

Łukasz Wolsztyński: Organizacyjnie. Tak jak wszyscy wokół powtarzali od lat, że Stal Mielec kojarzyła się z tą negatywną stroną organizacyjną – a było zupełnie inaczej. W czasach, kiedy ja byłem, wszystko było dopięte na ostatni guzik. Nie było na co narzekać: od wynagrodzenia – zawsze na czas, nawet wcześniej. Jak człowiek tylko wystawiał faktury, już Pan Prezes wysyłał pieniądze. Śniadania, obiady w klubie – zawsze były. W klubie zawsze panowała pozytywna atmosfera, gdzie każdy z każdym rozmawiał. Nie było jakiś podziałów na sztab, zawodników, administrację i zarząd – w Stali wszyscy tworzyli jedną wielką sportową rodzinę. Naprawdę ciężko

mi znaleźć negatywy z okresu, w którym byłem. Oczywiście największym jest to, że nie udało się utrzymać w PKO BP Ekstraklasie. Ale jeśli chodzi o klub i możliwości, które stworzył zawodnikom, żeby nie musieli na nic narzekać – to wszystko było na bardzo wysokim poziomie.

Maciej Decowski-Niemiec: Który mecz najbardziej zapadł ci w pamięci – oprócz tego z Legią?

Łukasz Wolsztyński: Było kilka takich meczów było. Na pewno każdy, w którym strzeliłem bramkę oraz wszystkie zwycięstwa u siebie na Solskiego 1. Na pewno na wyjeździe mecz z Górnikiem, w którym strzeliłem bramkę – wracam sentymentem do Zabrze. Uratowałem punkt dla Stali i w tamtym sezonie po moim голу Stal matematycznie utrzymała się już w PKO BP Ekstraklasie. Strzeliłem gola w ważnym dla siebie miejscu – dlatego do tego wracam. Oczywiście mecz z Legią Warszawa. Miłym wspomnieniem jest też bramka z Lechią Gdańsk, bo bodajże po 30 sekundach jak znalazłem się na boisku, strzeliłem zwycięską bramkę dla Stali. Bramka z Cracovią – kolejne miłe wspomnienie. Jak powiedziałem: każdy mecz, w którym strzeliłem bramkę mile wspominam. Może najmniej ostatni mecz wyjazdowy z ŁKS-em, jeszcze w sezonie, który przegraliśmy 3:2 – bo ta bramka w sumie nic nie dała. Ale bramka jest bramka, zapisuje się na koncie i w historii.

Maciej Decowski-Niemiec: A twoje mieleckie rytuały w dniu meczu?

FOTO: ANNA JAKIEWICZ / FKS STAL MIELEC S.A.



Łukasz Wolsztyński: Większych rytuałów nie mam. Zależy, czy wyjazd, czy u siebie, czy było zgrupowanie. Jak nie było zgrupowania, to jadłem śniadanie w domu. Jak mecz był później, to zazwyczaj spotykaliśmy się w hotelu na obiad i potem chwilę „leżakowaliśmy”. Raczej normalnie: kawka, rozmowy z kolegami i do boju. Nie miałem jakichś wielkich rytuałów. Nie rozmyślałem wiele o meczu, ale już te dwie godziny przed rozpoczęciem spotkania przygotowywałem się z maksymalną koncentracją, aby być gotowym walczyć za Stal, za FKS.

Szatnia, ludzie i presja: „punkty budują wszystko”

Maciej Decowski-Niemiec: Kto był w szatni takim „klejem” drużyny?

Łukasz Wolsztyński: Było kilka takich osób: Krystian Getinger, Mateusz Matras („Matrix”), Piotrek Wlazło. Taki trzon zespołu – najstarsi wiekiem i też stażem w klubie. Do tańca i do różańca, można powiedzieć. Trzymali szatnię i humorystycznie, i piłkarsko. A potem pojedyncze jednostki się doklejały i razem to fajnie funkcjonowało. Tak jak już wcześniej wspominałem, nie było w szatni podziałów, w Stali powiedzenie „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego” było czymś prawdziwym.

Maciej Decowski-Niemiec: Kto ci na początku pomógł najbardziej?

Łukasz Wolsztyński: Matrixa znałem już wcześniej, więc z nim trochę rozmawiałem. Ale szatnia była tak otwarta i normalna, że od pierwszego dnia nie miałem żadnego problemu, żeby z kimkolwiek porozmawiać czy o cokolwiek zapytać. Pozytywne nastawienie zawodników i ludzi wokół klubu – wszyscy otwarci, skłonni pomóc i wyjaśnić. „Kiero” (kierownik drużyny) jeździł ze mną szukać mieszkania. To też u „Kiera” w biurze spotykaliśmy się na kawce codziennie przed treningiem i rozmawialiśmy. Zawsze będę wracał do tych momentów. Mimo że nie udało się uratować PKO BP Ekstraklasy, czas w Mielcu zawsze wspominam z uśmiechem na twarzy.

Maciej Decowski-Niemiec: Co było najtrudniejsze w twoim czasie w Stali – presja, wyniki czy twoja rola?

Łukasz Wolsztyński: Myślę, że wszystko po trochu. Rola w zespole – bo jak człowiek przychodzi, to zdaje sobie sprawę, jaką będzie pełnił rolę i jest na pewne rzeczy przygotowany. Ale ambicje są ambicjami – nikt nie przychodzi i nie mówi: „mam być trzecim napastnikiem, to sobie będę tylko trenował”. Od pierwszego treningu chciałem pokazać trenerowi, że się nadaję i w każdej chwili może na mnie liczyć. Wyniki w drugim sezonie nie były najlepsze, była sinusoida: zwolnienie trenera, potem drugiego trenera – to nie było łatwe. Najważniejsze są punkty. One budują atmosferę. W Stali jej nie brakowało, ale normalne jest, że jak wygrywasz, to radośnie przychodzisz na trening, a jak nie – myśli się kłębić: co zrobić lepiej, co poprawić. Potem niestety nie dało się tego uratować i spadliśmy. Presja? Kibicowsko też odczuwaliśmy. Było spotkanie z kibicami, ale taka normalna rozmowa, bo im też bardzo zależało, żeby uratować Stal.

Maciej Decowski-Niemiec: Jak wspominasz kibiców Stali? Co jest w nich

wyjątkowego?

Łukasz Wolsztyński: Kibice są z klubem i to widać. Zawsze byli zorganizowani, wspierali – chwala im, że walczą o klub, o to, żeby było jak najlepiej. Każdy klub ma fanatyków i tak samo było w Mielcu. Po wygranym meczu pochwały, po przegranym krytyka – normalne. O to też w piłce chodzi: o emocje.

Maciej Decowski-Niemiec: Miałeś moment, że pomyślałeś „tu jest jak w rodzinie”?

Łukasz Wolsztyński: Były takie momenty. Po wygranych meczach jechało się do jednego, drugiego kolegi, czasami ja zapraszałem chłopaków do siebie. Dało się odczuć fajną atmosferę, że to nie jest tylko drużyna na boisku, a po meczu każdy żyje osobno, tylko chcieliśmy spędzać ze sobą czas, choćby podczas niedzielnych obiadów. Było miło – taki rodzinny klimat.

Odeście i nowe życie: „nie spaliłem mostów”

Maciej Decowski-Niemiec: Czemu odszedłeś ze Stali Mielec? Po spadku szansa na grę pewnie byłaby większa.

Łukasz Wolsztyński: Złożyło się na to wiele elementów. Dostałem propozycję z Tatrana, w miejscu, w którym teraz jestem, i postanowiłem podpisać kontrakt. Dostałem lepszą finansową ofertę i skorzystałem. Dostałem kontrakt na dwa lata. W moim wieku to ważne – jestem już po 30.

Miałem dylemat, bo rodzinie czuliśmy się bardzo dobrze w Mielcu. Żona miała pracę, dzieciaki – córka i syn – chodzili do przedszkola. Przedszkole również wspominamy bardzo miło. Do dzisiaj piszemy od czasu do czasu z rodzicami dzieciaków czy z Paniami – „ciociami”, jak je nazywały dzieci. Zostały kontakty i wspomnienia. Ale życie prywatne i piłkarskie toczy się dalej. Rodzina jest ze mną, żyjemy w innym miejscu. Decyzja była ciężka, bo bardzo zżyliśmy się z Mielcem, mimo że byliśmy tam tylko dwa lata. To były bardzo fajne dwa lata i żal było opuszczać Mielec.

Maciej Decowski-Niemiec: Czyli kluczowe były długość kontraktu i warunki finansowe?

Łukasz Wolsztyński: Dokładnie. Gdyby to była taka sama oferta ze Stali Mielec jak z Tatrana, myślę, że dalej grałbym dla Stali Mielec, ale wiem, że Prezes i tak próbował zaoferować mi maksymalnie ile mógł.

Maciej Decowski-Niemiec: Zamknąłeś etap Stali, czy to zostaje w sercu?

Łukasz Wolsztyński: Myślę, że nie zamykam tego etapu. Jeżeli pytasz, czy gdyby kiedyś przyszła oferta ze Stali, to czy bym z niej skorzystał – nie zostawiłem spalonych mostów w Mielcu. Mimo że spadliśmy z PKO BP Ekstraklasy, moja osoba została dosyć pozytywnie zapamiętana – przynajmniej taką mam nadzieję. Żegnając się, mówiłem ludziom, że to były bardzo przyjemne chwile i te dwa lata. Nauczyłem się, że nie ma „nigdy”. W piłce już sporo widziałem. Wszystko się może zdarzyć. Dla mnie temat jest otwarty – gdyby oferta ze Stali była dla mnie satysfakcjonująca, jak najbardziej bym skorzystał.

Czas w Mielcu zawsze wspominam z uśmiechem na twarzy

Łukasz Wolsztyński

Słowacja od środka: język, organizacja i nowa energia

Maciej Decowski-Niemiec: Jakie były pierwsze wrażenia po zmianie klubu?

Łukasz Wolsztyński: Duże różnice. Zaczynając od języka – naturalne bo to przecież inny kraj. Preszów jest sporym miastem jak na Słowację, około 90 tysięcy, trzecie pod względem wielkości.

Maciej Decowski-Niemiec: Dogadujecie się po angielsku czy próbujesz słowackiego?

Łukasz Wolsztyński: Słowacki jest dosyć zrozumiały dla Polaka. Są niuansy, pojedyncze słowa, ale cały kontekst da się zrozumieć. Jak jest wielu niesłowackich zawodników, to po angielsku, ale ze Słowakami staram się po słowacku. Trenera i ludzi rozumiem. Po pół roku znam nawet te mniej zrozumiałe słowa. Tatrzan to zespół, który awansował do Ekstraklasy i w którym nastąpiło dużo zmian – pojawiło się dużo nowych ludzi. Oni tego topowego poziomu pod względem choćby organizacji muszą się nauczyć. W Stali miałem wszystko – Prezes starał się natychmiast pomagać. Tutaj jest troszkę gorzej, trzeba poczekać na pewne rzeczy. W Mielcu nie trzeba było się o nic prosić, a tutaj czasami trzeba. No i w Mielcu dostawałem wypłatę w złotówkach, a tutaj w euro. (Śmiech).

Maciej Decowski-Niemiec: Jaką rolę miałeś mieć w nowym klubie?

Łukasz Wolsztyński: Miałem być starterem, pierwszym napastnikiem i tak było. Do kontuzji grałem od początku każdy mecz. Teraz zobaczymy, jak będzie. Jestem po dłuższym urazie więc muszę spokojnie wrócić. O swoje umiejętności się nie martwię – będę walczył o miejsce w wyjściowym składzie.

Maciej Decowski-Niemiec: Czy coś cię zaskoczyło w klubie?

Łukasz Wolsztyński: Poozytywnie zaskoczyło mnie to, że to są bardzo pracowici ludzie – zawodnicy, sztab. Widać, że chcą być lepsi. Ciężko trenują i poświęcają czas, aby się rozwijać i podnosić swoje umiejętności. Tak jak wspominałem klub „uczy się” jeszcze tego TOPowego poziomu i nie wszystkie kwestie są od razu do spełnienia. Od pół roku gramy na nowym stadionie, więc np. nie wszystkie pomieszczenia zostały jeszcze na nim zagospodarowane.

Maciej Decowski-Niemiec: Czujesz nową energię po zmianie?

Łukasz Wolsztyński: Na pewno. Pierwszy raz w karierze jestem za granicą – co prawda niedaleko – ale pierwszy raz. To coś nowego



i fajnego dla mnie i rodziny. Jesteśmy w innym miejscu, musimy się otaczać nie-Polakami. To ciekawe, warto było spróbować. Co będzie dalej – zobaczymy. Mam nadzieję, że pozytywnie.

Maciej Decowski-Niemiec: Jak porównałbyś słowacką ligę do polskiej?

Łukasz Wolsztyński: Tutaj jest kilka drużyn – trzy, cztery, pięć – które są lepsze od reszty. Polska liga jest dosyć wyrównana: dzisiaj z kimkolwiek grasz, ciężko przewidzieć wynik. Patrzymy w tabelę – Legia na przedostatnim miejscu... (w momencie rozmowy). To pokazuje, że liga polska się mocno wyrównała. Dużo klubów ma dużo pieniędzy i robią transfery. Tutaj masz tylko cztery-pięć zespołów, które mocno się wybijają.

Zdrowie, hejt i charakter: co naprawdę decyduje

Maciej Decowski-Niemiec: Kontuzja – jak to wygląda dziś?

Łukasz Wolsztyński: Wracam już do treningu, wszystko jest okej. Mam nadzieję, że nie będzie większych problemów. Okres przygotowawczy to mikrourazy, ale mam nadzieję, że do ligi wszystko będzie już w stu procentach dobrze i będę mógł normalnie grać. W ostatnim czasie nie było mi to dane, a bardzo bym chciał się pokazać z jak najlepszej strony.

Maciej Decowski-Niemiec: Jak dbasz o ciało? Co jest twoim „must”?

Łukasz Wolsztyński: Wszystko po trochu. Lubię pośpać, więc sen jest ważny, ale dieta, siłownia, regeneracja – wszystko ma znaczenie. Bez tego dziś w profesjonalnej piłce szybko cię nie ma. Albo jesteś zdyscyplinowany i zdeterminowany, ale nie masz szans na odniesienie sukcesu.

Maciej Decowski-Niemiec: Hejt w internecie – jak sobie z tym radzisz?

Łukasz Wolsztyński: Totalnie na to nie reaguję. Są ludzie niezadowoleni ze swojego życia i próbują to wylewać na innych. My, jako osoby publiczne, musimy się z tym liczyć, ale nie można brać tego do siebie. Masz grono osób, z których zdaniem się liczysz: trener, rodzina i przyjaciele. Jako dojrzały zawodnik wiesz, czy krytyka jest adekwatna. Na końcu liczy się to, czy w następnym meczu wyjdiesz od początku, co trener powie na temat twojej gry i co masz poprawić. To jest najważniejsze. A to, co ktoś powie – jeśli jesteś inteligentny, bierzesz do siebie sensowne rzeczy, reszta nie powinna ci chodzić po głowie.



Maciej Decowski-Niemiec: Jakie były twoje najtrudniejsze momenty w karierze?

Łukasz Wolsztyński: Kontuzje. To najcięższe momenty – żeby się pozbierać i wrócić. Kontuzja przerywa wszystko. W moim przypadku kontuzje kolana sprawiały że należy wszystko „ponaprawiać”, żeby noga funkcjonowała na poziomie. Trwa to do roku – dla piłkarza to wieczność. Dochodzą kontrakty, kończą się umowy, musisz wracać, żeby coś pokazać, a kluby patrzą: byłeś kontuzjowany. Porażkę przełkniesz bo wiesz, że za tydzień masz mecz w którym możesz się pokazać z lepszej strony. Kontuzje zostają w tobie dłużej.

Dla młodych: talent, charakter i cierpliwość

Maciej Decowski-Niemiec: Talent czy charakter – co ważniejsze?

Łukasz Wolsztyński: Ciężko powiedzieć. Talent jest ważny bo możesz trenować, ale jak nie będziesz miał „tego czegoś”, to nic z tego nie będzie. Ale sam talent nie wystarcza. Najlepiej, jak masz talent i charakter do pracy: zasuwać na treningu, po treningu robić coś dla siebie, mieć w głowie, że sam talent nie wystarczy – taka samoświadomość. Nie ma wskazania na jedną stronę. Piłkarze bez talentu, z samym charakterem, do pewnego poziomu dojdą, ale dalej raczej nie „przeskoczą”. To musi być połączone. Idealnie, jeśli talent idzie w parze z pracą – wtedy możesz zrobić wielką karierę.

Maciej Decowski-Niemiec: Co pomaga przetrwać momenty, gdy nie idzie: cierpliwość, praca, pokora czy wsparcie?

Łukasz Wolsztyński: Wszystkiego po trochu. Potrzebujesz bodźca zewnętrznego, ale i zaparcia w samym sobie, żeby dalej w siebie wierzyć. Wsparcie trenera, rodzica, partnerki, brata – to wszystko jest bardzo ważne. Dobrze usłyszeć, żeby się nie poddawać, ale też sam musisz wiedzieć, że to przejściowy moment. Musisz pracować dalej, wierzyć, że zaraz wyjdzie słońce. Po słabszym okresie jest lepszy, jeśli pracujesz i wierzysz w siebie. Oczywiście również oprócz tej wspomnianej przeze mnie wiary musi być również ciężka, ponieważ jak rapował Wojtek Sokół: „Nie ma czasu na marzenia, albo sam pozmieniasz życie albo życie cię pozmienia”.

Maciej Decowski-Niemiec: Jakie według Ciebie są największe błędy młodych piłkarzy?

Łukasz Wolsztyński: Znowu wszystkiego po trochu. Nie da się zrobić awansu sportowego w miesiąc. Też miałem tak, że najpierw wszystko grałem, byłem wiodący, ale potem zmieniłem klub, większa rywalizacja – musiałem poczekać, nabrać pokory, zrozumieć, że życie piłkarskie nie jest usłane różami, trzeba wszystko

wywalczyć. Krok po kroku robisz postępy, ale nic nie przychodzi od razu. Ten, który dostaje wszystko na tacy, szybko tego nie docenia, może się rozleniwzić, nie pracuje i przychodzi stagnacja. A ten drugi, trzeci wybór – ciężko pracuje i czasem zastąpi pierwszego. Niezależnie, czy jesteś drugi czy trzeci w kolejce do wyjściowej jedenastki, musisz wierzyć i pracować, a sytuacja się odmieni.

Rodzina za granicą: „wszystko jest okej”, ale rutyna znika

Maciej Decowski-Niemiec: Jak rodzina odnajduje się za granicą? Żona, dzieci?

Łukasz Wolsztyński: Różnica jest taka, że żona nie pracuje, a dzieciaki nie chodzą do szkoły. Mam sześciolletnią córkę, która za rok pójdzie do pierwszej klasy. Postanowiliśmy, że będzie miała naukę domową, żeby nie mieszać jej w głowie w ostatnim roku przed pierwszą klasą w Polsce. Nowy język, alfabet – to mogłoby pomieszać. Ma wykupione podręczniki, uczy się w domu. Syn też zostaje w domu. Minus jest taki, że widzimy, że potrzebują wyjść do dzieciaków, do kolegów. Brakuje im tej codziennej rutyny i spędzania większej ilości czasu z dziećmi oprócz tego, co mają na podwórku – u Was „na polu”. Ale żona ma czas, żeby z nimi siedzieć i uczyć. Robią duże postępy. Rodzinie wszystko jest okej. Ja wracam popołudniu i szukamy atrakcji, bo jesteśmy w nowym miejscu i chcemy je poznać.

Szybka seria: stadion, rywal, niedoceniana rzecz

Maciej Decowski-Niemiec: Najlepszy stadion w Polsce, na którym grałeś?

Łukasz Wolsztyński: Lechia Gdańsk. Jak chodzi o samą budowlę, stadion Lechii robi największe wrażenie.

Maciej Decowski-Niemiec: Najtrudniejszy rywal?

Łukasz Wolsztyński: Zawsze chodzi mi po głowie starcia z Arkiem Głównackim jeszcze w Wiśle Kraków, więc mogę go wymienić.

Maciej Decowski-Niemiec: Najbardziej niedoceniana rzecz w piłce?

Łukasz Wolsztyński: Zdrowie. Wszyscy myślą, że to naturalne. Grać 90 minut w każdym meczu, cały sezon bez kontuzji. Dla mnie zdrowie i to, że możesz cały czas trenować i rywalizować sportowo, jest najważniejsze.

Maciej Decowski-Niemiec: Jedno słowo opisujące Stal Mielec?

Łukasz Wolsztyński: Organizacja.

*Nie ma czasu na marzenia, albo sam
pozmieniasz życie albo życie cię pozmienia*

Wojciech „Sokół” Sosnowski

Maciej Decowski-Niemiec: Jedno słowo opisujące Ciebie dziś?

Łukasz Wolsztyński: Pozytywny. Pozytywny cały czas patrzący do przodu, nie zamartwiający się tym, co było, tylko dążę do przodu i walczę dalej.

Maciej Decowski-Niemiec: Plany na 2026?

Łukasz Wolsztyński: Żeby po prostu grać, jak najlepiej się prezentować, strzelać bramki. Być zdrowym i jak najczęściej wychodzić na boisko i cieszyć się grą w piłkę nożną.

Maciej Decowski-Niemiec: I na koniec: nadal puszczasz głośną muzykę z rana?

Łukasz Wolsztyński: Oczywiście, że tak. Śmieję się, bo jestem z kolegą w pokoju i on już ma dość. Każda możliwa przerwa – włączony głośnik. Czy idę się kąpać, czy oglądamy telewizję, czy nawet jak rozmawiamy – po cichutku leci muzyka, żeby coś grało w tle. Bez muzyki nie byłoby mi tak dobrze. Muzyka jest częścią mnie. Bardzo lubię słuchać każdego rodzaju muzyki i ona mnie pozytywnie nakręca do działania.



Wywiad przeprowadził

Maciej Decowski- Niemiec
Redakcja: PodkarpacieLive

X @maciej_dn91

JEDENASTKA RUNDY JESIENNEJ BETCLIC 1 LIGI WEDŁUG SZYMONA JANCZYKA



JEDENASTKA RUNDY WIOSENNEJ BETCLIC 1 LIGI WEDŁUG SZYMONA JANCZYKA



NAJLEPSZY ZAWODNIK FKS STAL MIELEC WEDŁUG SZYMONA JANCZYKA



PAWEŁ
KRUSZELNICKI



Wywiad przeprowadził

Szymon Janczyk
Redakcja: Weszło

X @sz_janczyk

PAWEŁ GOŁASZEWSKI: CO PRZYNIESIE *RUNDA WIOSENNA* BETCLIC 1 LIGI

Wszystko wskazuje na to, że Wisła Kraków po czterech latach spędzonych w Betcllic 1. Lidze w końcu wróci do PKO Bank Polski Ekstraklasy. Pod Wawelem jednak dmuchają na zimne.

Z jednej strony są słabe wyniki w sparingach i tylko jeden transfer przychodzący, a z drugiej stabilizacja składu, utrzymanie kluczowych zawodników, powrót po kontuzji Alana Urygi i bezpieczna przewaga w tabeli. Drużyna Mariusza Jopa ma naprawdę mocne karty w ręku, algorytmy wyliczają jej blisko 99 procent szans na awans i naprawdę musiałaby się zdarzyć prawdziwa katastrofa, by Biała Gwiazda nie wywalczyła bezpośredniego awansu do PKO Bank Polski Ekstraklasy. Mając w składzie takie indywidualności jak Angel Rodado czy Mateusz Kuziemka krakowianie są na bezapelacyjnym polu position.

Przed rundą wiosenną najwyraźniej plecy Wisły widzą dwaj beniaminkowie – Polonia Bytom i Pogoń Grodzisk Mazowiecki. Bytomianie stracili jednak trenera, który przeszedł do Rakowa Częstochowa i zabrał część sztabu. Kluczowi piłkarze zostają, ale kiedy zmienia się dyrygenta należy liczyć się z tym, że orkiestra może przestać trafiać w nuty. I mimo tego, że nowy dyrygent, którym został Patryk Czubak, ma opinię zdolnego, ale jednak wciąż niesprawdzonego w bojach. Zbigniew Boniek przyznał ostatnio, że ta runda pokaże, czy bardziej opłaca się robić transfery zawodników czy szkoleniowców.

W Pogoni na razie rewolucji nie ma, choć wkrótce Piotr Stokowiec może stracić zab trzonowy w postaci odejścia Rafała Adamskiego. Napastnik prowadzi zaawansowane rozmowy z Legią Warszawa i lada chwila prawdopodobnie opuści beniaminka. Pytanie, jak długo na euforii ekipa z Grodziska Mazowieckiego będzie jeszcze grała. Gdybym miał typować, to jeden z tych dwóch beniaminków ostatecznie będzie walczył o awans. Raczej nie będzie to wojna o promocję bezpośrednią, ale poprzez mecze barażowe. Kto ma większe szanse? Wyżej w tabeli stoi Polonia, natomiast Pogoń na młodzieżniczej fantazji i doświadczeniu Piotra Stokowca może mocniej zamieszać.

Tym bardziej, że w Grodzisku Mazowieckim nie ma najmniejszego ciśnienia na awans. Kto zatem może dołączyć do Wisły? Moim zdaniem trzeci z beniaminków – Wieczysta Kraków. Kolejne transfery, wzmacnianie kadry i przede wszystkim trener na ławce, który ma doświadczenie w walce o Ekstraklasę – to wszystko sprawia, że Kazimierz Moskal i spółka są w stanie naprawdę namieszać i przebojem zaatakować drugą lokatę.

W naszym futbolu często tak bywa, że jeśli źle się dzieje w gabinetach, to na boisku w ogóle tego nie widać. Ta teoria sprawia, że mogą wzrosnąć akcje Śląska Wrocław, który znowu nie przeszedł pomyślnie procesu prywatyzacji. Ante Simundza jest jednak fachowcem, potrafi odnaleźć się w trudnych warunkach i idealnie pasuje do tej tezy. Stawiam jednak, że WKS powalczy o awans, ale przez baraże.

Argumenty w walce o baraże będzie miał też Ruch Chorzów, a najmocniejszą kartą Niebieskich jest Waldemar Fornalik. Doświadczony szkoleniowiec wprowadza swoje zasady na boisku, piłkarze wykonują je coraz lepiej i wydaje się, że chorzowianie mają bardzo duże szanse, by zakreślić się w szóstce. Komplet potencjalnych ekip walczących o baraże w moim rankingu uzupełnia Chrobry Głogów.

Na dole też będzie ciekawie. Ekipy walczące o utrzymanie dokonują ciekawych transferów, nikt nie wywiesił białej flagi, choć różnica pomiędzy czerwoną strefą, a bezpiecznym Zniczem Pruszków jest na razie wyraźna. Warsztat Ireneusza Mamrota i ciekawe transfery sprawiają, że w Mielcu można mieć realne nadzieje na utrzymanie. Znacznie poważniej wygląda sytuacja Górnika Łęczna, któremu niezwykle trudno będzie uniknąć degradacji. W Tychach zdecydowali się na rewolucję. Łukasz Piszczek na papierze wyglądał obiecująco, ale powitanie z Betcllic 1. Ligą wcale nie było zbyt przyjemne. Do tego dochodzi Znicz, w którym nie zmieniło się w zasadzie nic... Kto zatem ostatecznie może pożegnać się z zapleczem Ekstraklasy? W moim rankingu są to: Górnik, GKS oraz właśnie Znicz.

Paweł Gołaszewski



Paweł Gołaszewski
Redakcja: Piłka Nożna

X @gołaszewski_p

A&K
HURT-MARKET

PIWO BEZALKOHOLOWE STAL

JUŻ W SPRZEDAŻY!

SPONSORZY I PARTNERZY



NCMETAL



TOYOTA SACAR
Mielec



Jeśli dotarłeś do końca - to dopiero początek.
Kolejny numer już w przygotowaniu

SPONSORZY I PARTNERZY



NCMETAL



4F



efectivo



TOYOTA SACAR
Mielec

